

Nick Hornby

Wierność w stereo

Przekład Jędrzej Polak

Dla Virginii

kiedyś...

Na mojej liście pięciu najbardziej godnych zapamiętania rozstań wczeczasów (z dziewczynami, które chętnie zabrałbym na bezludną wyspę) znajdują się w porządku chronologicznym:

- 1) Alison Ashworth;
- 2) Penny Hardwick;
- 3) Jackie Allen;
- 4) Charlie Nicholson;
- 5) Sarah Kendrew.

Rozstania z nimi naprawdę bolały. Lauro, czy widzisz wśród nich swoje imię? Moim zdaniem mogłabyś wślizgnąć się do pierwszej dziesiątki, ale nie ma dla ciebie miejsca w górnej piątce. Górna piątka jest zarezerwowana dla rozstań prawdziwie bolesnych i poniżających, na jakie ciebie nie stać. Brzmi to okrutniej niżbym chciał, rzecz jednak w tym, że jesteśmy już zbyt dorośli, żeby się nad sobą litować – i tak jest dobrze, lepiej niż myślisz, więc nie bierz za bardzo do siebie tej porażki. Tamte czasy, kiedy smutek jeszcze coś znaczył, minęły i do diabła z nimi. Pozostał niesmak, jaki powoduje katar albo brak pieniędzy. Jeśli naprawdę chciałaś namieszać mi w życiu, powinnaś spotkać mnie wcześniej.

1. Alison Ashworth (1972)

Wieczorami rozbijaliśmy się w parku niedaleko ode mnie. Mieszkałem w Hertfordshire, choć równie dobrze mogło to

być każde inne przedmieście w Anglii: wszystko w okolicy było jak najbardziej typowe, włącznie z położonym o trzy minuty od domu parkiem sąsiadującym przez ulicę z niezbyt okazałymi pawilonami handlowymi (supermarket VG, kiosk z gazetami, monopolowy). W całej dzielnicy nie było niczego, co ułatwiłoby przybyszowi ustalenie własnego położenia geograficznego. Jeśli sklepy były akurat czynne (a zamykano je o piątej trzydzieści po południu; w czwartki o pierwszej, a w niedziele w ogóle ich nie otwierano), przypadkowy przechodzień mógłby zajść do kiosku i zerknąć na tytuł miejscowej gazety, co zresztą na niewiele by mu się zdało.

Mieliśmy po dwanaście, trzynaście lat i całkiem niedawno odkryliśmy, czym jest w życiu ironia (choć samo słowo było nam wówczas obce): pozwalaliśmy sobie bawić się na huśtawkach, karuzelach i innych pordzewiałych, służących dzieciom przyrządach jedynie pod warunkiem zachowania postawy skrepowanej, ironicznej wyższości. Składało się na to udawanie roztargnienia (wystarczyło gwizdać i przekładać z ręki do ręki niedopałek papierosa albo zapalki) bądź flirt z niebezpieczeństwami, co oznaczało zeskakiwanie z huśtawek w najwyższym położeniu, wskakiwanie na rozpędzone karuzele i bujanie się na łódkach rozkołysanych niemal do pionu. Gdy potrafiło się udowodnić, że infantylne rozrywki grożą śmiercią lub kalectwem, poświęcanie im czasu nie było naganne.

Brakowało nam autoironii, jeśli chodzi o dziewczyny. Nie mieliśmy czasu, żeby ją w sobie rozwinąć. Przedtem dziewczyny nie istniały, a jeśli już, to nie w takiej postaci,

jaka zwracałaby naszą uwagę; ale nagle zrobiło się ich pełno. Były wszędzie, w całej okolicy. Przedtem można było walnąć je w głowę za to, że są naszymi siostrami albo siostrami kumpli, a zaraz potem chciało się... w zasadzie nie wiedzieliśmy, czego moglibyśmy od nich chcieć, oprócz tego czegoś... czegoś... Niemal przez jedną noc wszystkie siostry (a nie było wśród nas innego gatunku dziewczyn – jeszcze nie wtedy) stały się kimś; przykuwały naszą uwagę, niepokoiły nawet.

Chodzi o to, że my wcale się nie zmieniliśmy i nie przybyła nam żadna rzecz, jakiej nie mielibyśmy wcześniej. Może poza piskliwymi, załamującymi się głosami, ale mutacja w niczym się nie przydaje, naprawdę! – sprawia, że człowiek brzmi absurdalnie i niezbyt pociągająco. Pierwsze włosy łonowe były tajemnicą – naszą i naszych slipów – i miały upłynąć lata, zanim przedstawicielka płci przeciwnej mogła zweryfikować ich prawidłowe rozmieszczenie. Dziewczynom natomiast wyrosły w tamtym tygodniu całkiem widoczne piersi, z czym wiązał się nowy sposób chodzenia: z ramionami zwisającymi z przodu lekko przygarbionej sylwetki, który ukrywając, jednocześnie zwracał uwagę na to, co się stało. Potem pojawiły się tanie perfumy i makijaż – tandetny, nałożony niewprawną ręką, co dawało czasami zupełnie komiczny efekt, będący jednak przerażającym znakiem, że sprawy idą do przodu bez nas, poza nami, za naszymi plecami.

Zacząłem chodzić z jedną... nie, to nie tak! Przecież nie miałem absolutnie żadnego wpływu na proces decyzyjny. Nie mogę również powiedzieć, że to ona zaczęła chodzić ze mną:

w zasadzie samo wyrażenie „chodzić” stanowi problem, bo zakłada pewną równość i partnerstwo zainteresowanych stron. A to, co się stało, wyglądało tak: Alison, siostra Davida Ashwortha, oderwała się pewnego razu od bandy dziewczyn gromadzących się co wieczór na ławkach, i zaadoptowała mnie, wsadziła sobie moją rękę pod ramię i odciągnęła od rozhuśtanych łódek.

Nie pamiętam już, jak to zrobiła. Nie sędzę, żebym wtedy potrafił w pełni ocenić to, co zaszło, bo w połowie naszego pierwszego pocałunku, mojego pierwszego pocałunku, poczułem (i to przypominam sobie doskonale) totalną dezorientację i absolutnie nie umiałem wytłumaczyć sobie, dlaczego Alison i ja to robimy. Nie byłem nawet pewny, w jaki sposób znalazłem się po babskiej stronie parku, z dala od jej brata, Marka Godfrey'a i całej reszty, ani jak zdołaliśmy im uciec, czy wreszcie – skąd wiedziałem, co mam robić, kiedy podstawiła mi usta. Cały epizod wymyka się racjonalnemu pojmowaniu. Ale takie rzeczy działy się i powtarzały... następnego dnia i podczas kilku kolejnych.

Co ja wtedy robiłem? Co ona robiła? Co nam się roilo w głowach? Kiedy dzisiaj całuję kogoś w taki sposób, to znaczy w usta, z językiem i całą resztą, robię to dlatego, że chcę także: seksu, piątkowych wieczorów w kinie, towarzystwa i rozmowy, połączonych sieci rodzin i przyjaciół, syropu przynieszonego do łóżka kiedy jestem chory, nowych uszu gotowych słuchać moich płyt i kompaktów, może małego chłopczyka o imieniu Jack i małej dziewczynki o imieniu Holly albo Maisie... tego jeszcze nie ustaliłem. Od Alison Ashworth nie chciałem żadnej z tych rzeczy. Ani dzieci, bo

sami nimi byliśmy, ani piątkowych wieczorów w kinie – bo chodziliśmy na poranki w soboty, ani syropu – bo dawała mi go mama, ani seksu, ba! żadnego seksu, Boziu, proszę, uchowaj od tego najohydniejszego i najbardziej przerażającego wynalazku wczesnych lat siedemdziesiątych.

Jakie znaczenie miał więc ów cmok? Żadnego, mówiąc szczerze. Miotaliśmy się w ciemności. Było to po części naśladownictwo (do roku 1972 widziałem sporo całujących się ludzi: Jamesa Bonda, Simona Templara, Napoleona Solo, Barbarę Windsor i Sida Jamesa, a może Jima Dale'a, Elsie Tanner, Omara Sharifa i Julie Christie, Elvisa i wiele, wiele innych czarno-białych postaci oglądanych chętnie przez mamę; aha! telewizyjni kochankowie – w przeciwieństwie do nas – nie kręcili głowami podczas pocałunków), po części hormonalne niewolnictwo, po części nacisk grupy rówieśniczej (Kevin Bannister i Elizabeth Barnes robili to już od kilku tygodni), po części zaś ślepa panika... akt ów bowiem odbywał się bez uczestnictwa świadomości, nie było w nim także pożądania ani przyjemności poza nieznanym i średnio, przyjemnym ciepłem w bebeczach. Zachowywaliśmy się jak małe zwierzątka, co zresztą nie znaczy, że pod koniec tygodnia zdzieraliśmy z siebie bieliznę. Mówiąc metaforycznie, zaczęliśmy jak zwierzątka obwąchiwać sobie pupki, i stwierdziliśmy, że bijąca stamtąd woń nie jest nam całkiem niemiła.

Posłuchaj, Lauro. Czwartego wieczoru od chwili nawiązania bliższej znajomości z Alison, pojawiłem się w parku, by stwierdzić, że moja dziewczyna siedzi na ławce i obejmuje Kevina Bannistera, a co gorsza – Elizabeth Barnes

jakby zapadła się pod ziemię. Nikt – ani Alison, ani Kevin, ani ja, ani tym bardziej banda nieświadomych seksualnie przyglupów wiszących na drabinkach – nie powiedział ani słowa. Ścierpła mi skóra, oblałem się rumieńcem i nagle zapomniałem, jak się chodzi bez zwracania uwagi na każdą poszczególną część ciała. Co robić? Dokąd pójść? Nie chciałem się bić; nie mogłem usiąść na ławce obok tych dwojga; pójście do domu byłoby ucieczką. Nie pozostało mi nic innego, jak wbić wzrok w puste opakowania po papierosach No. 6, wyznaczające ścieżkę od dziewczyn do chłopaków, i nie podnosząc głowy, nie oglądając się za siebie ani nie patrząc na boki, wrócić do zbitej ciżby samotnych mężczyzn wiszących na przyrządach gimnastycznych. W połowie drogi popełniłem błąd taktyczny: zatrzymałem się i spojrzałem na zegarek! Daję głowę, że nie wiem, co chciałem przez to osiągnąć ani kogo nabrać. Przecież to nie późna pora odciągała tego trzynastolatka od dziewczyny i nie dobranocka kazała mu wrócić na plac zabaw ze spoconymi dłońmi, walącym sercem i łzami napływającymi do oczu. Było wcześniej: czwarta pewnego wrześniowego popołudnia.

Wysepiałem peta od Marka Godfrey'a i poszedłem usiąść samotnie na karuzeli.

– Gówniarz – wypluł z siebie David, brat Alison, a ja uśmiechnąłem się do niego z wdzięcznością.

To wszystko. Gdzie popełniłem błąd? Nasz pierwszy wieczór wyglądał tak: park, pet, cmok. Drugi: tak samo. Trzeci: tak samo. Czwarty... czwartego nie było. OK, OK. Może nie zauważyłem znaków. Może sam się o to prosiłem. Teraz to pojmuję. Gdzieś tak koło drugiego „tak samo”

powiniennem się zorientować, że jesteśmy w dołku, a sprawy zaogniły się do tego stopnia, że Alison zacznie się rozglądać za innym. Ale przecież mogła mi powiedzieć! Mogła dać mi jeszcze kilka dni na naprawienie wszystkiego!

Mój związek z Alison trwał sześć godzin (spotykaliśmy się podczas dwugodzinnej przerwy pomiędzy szkołą a *Aktualnościami* – co trzeba pomnożyć przez trzy), dlatego nie mogę powiedzieć, że przyzwyczailem się do niej i nie wiedziałem, co bez niej robić. Szczerze mówiąc, prawie jej nie pamiętam. Była niska? Z pewnością niższa ode mnie. Miała długie, czarne włosy? Może. Skośne, niemal orientalne oczy i śniadą cerę? Tak, to chyba ona, choć kto wie, czy nie jakaś inna. Obojętne. Gdybym jako główne kryterium listy przyjął rozpacz, a nie chronologię, Alison znalazłaby się na wysokiej, drugiej pozycji. Przyjemnie byłoby powiedzieć sobie, że z wiekiem i upływem czasu moje związki z kobietami stały się bardziej wysublimowane, same kobiety mniej okrutne, moja i ich skóra grubsza, reakcje szybsze, instynkty pewniejsze. W rzeczywistości pierwszy wieczór z Alison jest we wszystkim, co przydarzyło mi się od tamtej pory, a pozostałe romantyczne opowieści są jedynie skrzywionym odbiciem tej pierwszej. Później nie musiałem już oczywiście pokonywać przepaści oddzielającej damską od męskiej strony parku, uszy już nigdy nie płonęły mi taką wściekłością i nie liczyłem opakowań po No. 6, żeby nie widzieć drwiących spojrzeń i powstrzymać łyzy... nie, naprawdę nie, przynajmniej nie tak jak wtedy. Choć czasem czuję się podobnie.

2. Penny Hardwick (1973)

Penny Hardwick była miłą dziewczyną; teraz interesują mnie wyłącznie miłe dziewczyny, ale wtedy było inaczej. Penny miała miłą mamę i miłego tatę, miły wolno stojący domek z ogródkiem, drzewami i stawem, fryzurę miłej dziewczynki (była blondynką i starała się nadać włosom modny, czysty i zdrowy wygląd, strzygąc je do połowy ucha wzorem ówczesnych przewodniczących samorządów klasowych), miłe, wesole oczy i miłą młodszą siostrę, która uśmiechała się uprzejmie, kiedy dzwoniłem do drzwi, i znikwała, kiedy sobie tego życzyliśmy. Penny była miła w obejściu – moja mama wprost przepadała za nią – i zawsze miała miłe wiadomości na koniec roku. Miła wyglądała, a jej pięcioma ulubionymi wykonawcami byli: Carly Simon, Carole King, James Taylor, Cat Stevens i Elton John. Lubiło ją wielu ludzi. W zasadzie była miła aż do przesady i chyba dlatego nie pozwalała mi wsadzić ręki pod biustonosz czy choćby położyć jej na nim. Musiałem z nią skończyć, ale oczywiście nie powiedziałem dlaczego. Płakała i znienawidziłem ją za to. Sprawiała, że czułem się podle.

Wyobrażam sobie, na kogo wyrosła Penny Hardwick: na ze wszech miar miłą osobę. Wiem, że studiowała w college'u i dostała posadę producentki radiowej w BBC. Domyślam się, że jest błyskotliwa, poważna – może niekiedy przesadnie – i ambitna, ale nie tak, żeby chciało się rzygać na jej widok. Miała w sobie to wszystko już wtedy, kiedy byliśmy razem, i na innym etapie mojego życia uznałbym jej przymioty za atrakcyjne. Jednak w czwartej klasie nie interesowała mnie

jakość, tylko cycki, dlatego Penny nie nadawała się dla mnie.

Chciałbym móc ci powiedzieć, że prowadziliśmy długie, ciekawe rozmowy i że byliśmy dobrymi przyjaciółmi przez całą szkołę – Penny miała zadatki na wspaniałą przyjaciółkę! – ale z tego, co pamiętam, w ogóle nie rozmawialiśmy. Chodziliśmy do kina, na prywatki i dyskoteki, a poza tym uprawialiśmy zapasy. Mocowaliśmy się ze sobą w jej sypialni, w mojej sypialni, w jej salonie, w moim salonie, w sypialniach podczas prywatek i w salonach podczas prywatek, a latem mocowaliśmy się na przeróżnych splechawkach trawy. Mocowaliśmy się ciągle w tej samej sprawie. Czasami miałem już tak serdecznie dosyć dobierania się do jej cyzków, że próbowałem dobrać się do jej majtek – gest tyleż absurdalny, co i dowcipny: zupełnie tak, jakbym chciał pożyczyć od kogoś pięć pensów, usłyszał odmowę i zamiast tego zażądał pięćdziesięciu funtów!

W mojej szkole chłopcy zadawali sobie następujące pytania (w szkole uczyli się sami chłopcy): „Dała ci potrzymać?“, „Pozwala ci potrzymać?“, „Daje ci potrzymać całą ręką?“ i tak dalej. Niekiedy zadawano je z szyderstwem w głosie, bo domyślano się odpowiedzi przeczącej: „Nie daje ci, co?“, „Nie pozwoliła ci jej nawet dotknąć, co nie?“ Tymczasem dziewczyny w rozmowach z nami zadowolaly się stosowaniem strony biernej. Penny używała wyrażenia „napadać“: – Nie lubię, jak się na mnie napada... nie teraz... – tłumaczyła mi cierpliwie i chyba ze smutkiem w głosie (wydawało się, iż rozumie, że któregoś dnia – nie teraz oczywiście – będzie musiała się poddać i wcale nie była zachwycona tą perspektywą), zdejmując po raz stutysięczny

moją rękę ze swej klatki piersiowej. Atak i obrona, napaść i odparcie... wyglądało to tak, jakby piersi były małymi nieruchomościami przywłaszczonymi sobie bezprawnie przez dziewczyny. Formalnie należały do nas i chcieliśmy dostać je z powrotem!

Na szczęście we wrogim obozie znajdowały się zdrajczynie – prawdziwa piąta kolumna obłapiania. Niektórzy chłopcy znali innych chłopców, których dziewczyny pozwalały im na wszystko; czasami ponoć nawet aktywnie uczestniczyły w akcie molestacji. Oczywiście nikt nigdy nie słyszał o dziewczynie, która posunęłaby się tak daleko, by zdjąć z siebie odzież czy choćby rozpiąć bieliznę. Nawet najśmielsze dysydentki nie zgodziłyby się na taką kolaborację. Z tego, co wiedziałem, apostatki układały się po prostu w pozycji ułatwiającej dostęp. – Wciąga brzuch i całą resztę – stwierdził kiedyś z aprobatą Clive Sterns, mówiąc o dziewczynie brata. Upłynął rok, zanim przekonałem się, jak ów manewr wygląda w praktyce. Nic dziwnego, że wciąż pamiętam imię kontorsjonistki (Judith); jest we mnie coś takiego, co chciałoby się z nią znów spotkać.

Otwórz obojętnie jakie pismo dla kobiet, a w dziale porad przeczytasz zawsze tę samą skargę: mężczyźni – ci sami mali chłopcy dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści lat później – są beznadziejni w łóżku. Nie obchodzi ich „gra wstępna”; nie chcą stymulować stref erogennych partnerek; są samolubni, zaborczy, niezdarni i niewyrafinowani. Skargi te, jak mi się zdaje, mają nieco ironiczny wydźwięk. W czasach, o których mówię, nie chodziło nam o nic innego, jak tylko o grę wstępną; wtedy jednak to one nie wykazywały

zainteresowania. Nie chciały być dotykane, pieszczone, stymulowane, podniecane; mówiąc szczerze, grzmociły nas po głowach, kiedy tego próbowaliśmy. Nikogo więc nie powinno dziwić, że nie jesteśmy w tym dobrzy. Przez dwa, a nawet trzy długie i niezwykle istotne dla naszego rozwoju lata mówiono nam – mało tego, podkreślano z naciskiem – że mamy w ogóle o tym nie myśleć. Pomiędzy czternastym a dwudziestym czwartym rokiem ludzkiego życia gra wstępna przechodzi metamorfozę: z zabawy, której domagają się chłopcy, a której dziewczyny nie chcą, staje się przymusem dla dziewczyn, a dla chłopców niespecjalnie. (Tak twierdzą chłopcy. Ja natomiast lubię grę wstępną – może dlatego, że wciąż mam żywo w pamięci czasy, kiedy gra była „wszystkim”.) Moim zdaniem, najlepiej pasują do siebie pod względem erotycznym czternastoletni chłopcy i panie w wieku balzakowskim.

Gdyby ktoś zapytał mnie wtedy, dlaczego tak bardzo zależało mi na dobraniu się do piersi Penny Hardwick, nie wiedziałbym, co odpowiedzieć. Założę się, że gdyby ktoś zapytał Penny, dlaczego mi nie pozwalała, ona również znalazłaby się w kropce. Co mogłem z tego mieć w tamtych latach? Na pewno nie zrewanżowałyby mi się równie zajadłą napastliwością – cokolwiek by to miało oznaczać. Dlaczego nie pozwalała mi stymulować swoich stref erogennych? Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że odpowiedzi na wszystkie trudne pytania nurtujące ludzi znajdują się w strasznej, nierządem stojącej krainie pierwszych włosów łonowych i pierwszych brudnych podpasek. Tam można je znaleźć – jeśli się chce.

Tak naprawdę nie wiem, czy istotnie zależało mi na wsadzeniu ręki pod biustonosz Penny. Może mamiałem siebie, że powinno mi zależeć? Może inni chcieli bardziej ode mnie, żeby mi się udało? Po kilku miesiącach zmagania na wersalkach w całym mieście miałem dosyć: wyznałem w chwili słabości (i jakże niemądrze! – stwierdzam z perspektywy czasu) koledze, że nic mi się nie udaje; kolega rzecz jasna opowiedział o tym innym, tamci jeszcze innym i wkrótce stałem się ofiarą nieprzyjemnych i okrutnych drwin. Dałem Penny ostatnią szansę. U mnie w sypialni (mama i tato byli w ratuszu na przedstawieniu miejscowego towarzystwa dramatycznego wystawiającego własną interpretację *O czym szumią wierzby*). Byłem tak zdesperowany i użyłem takiej siły, że każda dorosła kobieta osłupiałaby na miejscu – jednak na Penny nie zrobiło to żadnego wrażenia. Kiedy odprowadzałem ją do domu, nie odzywaliśmy się do siebie.

Podczas następnego spotkania traktowałem ją z góry, a gdy chciała mnie pocałować na pożegnanie, odsunąłem się. – Po co to robisz? – spytałem. – To i tak do niczego nie prowadzi. – Kiedy spotkaliśmy się po raz kolejny, zapytała, czy chcę ją jeszcze widywać. Odwróciłem głowę. Chodziliśmy ze sobą przez trzy miesiące, co w tamtych czasach stanowiło ewenement na miarę „trwałego związku”. (Jej mama i tato spotkali się nawet z moją mamą i ojcem i przypadli sobie do gustu.) Penny rozplakała się, a ja brzydziłem się nią, bo czułem się winny, choć to ona zmusiła mnie, żebym z nią skończył!

Zacząłem spotykać się z dziewczyną imieniem Kim, o której wiedziałem na sto procent, że była napastowana, i

która (jak słusznie przypuszczałem) nie miała nic przeciwko temu, żeby to powtórzyć; Penny zaczęła chodzić z Chrisem Thomsonem z mojej klasy – chłopakiem, który miał więcej dziewczyn niż wszyscy inni razem wzięci. Straciłem rozum, podobnie zresztą jak Penny. Któregoś ranka, w jakieś trzy tygodnie po moich ostatnich, nieudanych zapasach z panną Hardwick, Thomson wpadł do klasy i wrzasnął: Oj, Fleming, ty pokurczu! Zgadnij, kogo wczoraj przeleciałem?

Poczułem, że klasa zaczyna wirować.

– Przez trzy miesiące nie dała ci potrzymać cycka, a ja szturchnąłem ją po tygodniu!

Wierzyłem mu; wszyscy wiedzieli, że dostaje to, czego chce od każdej, która wpadnie mu w oko. Zostałem poniżony, pokonany, rozłożony na cztery łopatki; czułem się głupio, podle i o wiele, wiele dziecinniej od tego złośliwego, przerośniętego, gadatliwego kretyna. W sumie nie było się czym przejmować. Jeśli chodzi o sprawy cielesne – szczególnie te z dolnych partii tułowia – Thomson stanowił klasę dla siebie, a w całej 4b było mnóstwo fajtłapowatych flimonów, którzy nawet nie złapali dziewczyny za rękę. Dla nich mój znikomy udział we wdziękach Penny był czymś tak nieosiągalnym jak dla mnie wyczyn Thomsona. Nie straciłem więc twarzy. Wciąż jednak nie rozumiałem, co się stało. W jaki sposób dokonała się transformacja Penny? W jaki sposób Penny – dziewczyna nienadająca się do niczego – stała się rozpustnicą gotową na wszystko? Najlepszym wyjściem było nie myśleć o tym za dużo; nie chciałem żałować nikogo oprócz siebie. Penny wyrosła – jak mniemam – na porządną osobę; bo ja – wiem o tym na pewno – na taką wyrosłem.

Spodziewam się, że nawet Chris Thomson nie należy do najgorszych. Trudno wyobrazić sobie, by teraz wpadał do pracy – banku, agencji ubezpieczeniowej czy salonu samochodowego – rzucał teczkę na biurko i informował kolegę z obleśnym uśmiechem na ustach, że właśnie „szturchnął” jego żonę. (Łatwo natomiast wyobrazić sobie, że istotnie ją szturcha. Już wtedy wyglądał na takiego, który sypia z żonami kolegów.) Kobiety, które nie aprobują mężczyzn – a wiadomo, że jest w nas wiele rzeczy, które mogą się nie podobać – powinny pamiętać, jak zaczynaliśmy i jaką drogę musieliśmy przebyć od punktu wyjścia.

3. Jackie Allen (1975)

Jackie Allen była dziewczyną mojego przyjaciela Phila i odbiłem mu ją z premedytacją, robiąc to cierpliwie i bez pośpiechu przez kilka miesięcy. Rzecz nie była łatwa. Wymagała czasu, poświęcenia i sprytu. Phil zaczął chodzić z Jackie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ja spotykałem się z Penny, i nic nie wskazywało na to, że ma zamiar przestać: byli ze sobą przez rozchichotaną, kipiącą od hormonów klasę czwartą, trzymali się za ręce podczas piekła małej matury w końcowej piątej i trwali obok siebie w udającej dorosłą powagę niższej klasie szóstej. Byli naszą „stałą parą”, naszym Paulem i Lindą, Newmanem i Woodward; żywym świadectwem tego, że w wyzutym z wiary, kapryśnym świecie, można się zestarzeć, a przynajmniej dorosnąć, nie zmieniając kursu i zapatrywać co kilka tygodni.

Nie wiem, dlaczego chciałem im to wszystko spieprzyć. I nie tylko im – każdemu, kto pragnął, by zostali razem. Wiesz, to tak jak z podkoszulkami: widzisz je w sklepie przepięknie złożone, poukładane na półkach według rozmiarów, kolorów i nie możesz się oprzeć, kupujesz jeden. W domu koszulka przestaje ci się podobać. Zdajesz sobie sprawę – niestety zbyt późno – że wyglądała dobrze jedynie w sklepie, w otoczeniu innych podkoszulków. Z Jackie było podobnie. Miałem nadzieję, że kiedy zacznę z nią chodzić, spłynie na mnie jej aura pełnej godności matrony; lecz bez Phila szlag trafił aurę. Gęśli istotnie chciałem się w niej pławić, powinienem był zacząć spotykać się z obojgiem – co wcale nie jest łatwe nawet dla dorosłego; dla siedemnastolatka byłby to gwóźdź do trumny.)

W soboty Phil zajęty był pracą w męskim butiku, a ja przystąpiłem do ataku. Ci z nas, którzy nie pracowali, albo tak jak ja pracowali po szkole z wyjątkiem weekendów, spotykali się w sobotnie popołudnia na High Street, po której włóczyli się w tę i z powrotem, spędzając całe godziny (i wydając fortunę) w Harlequin Records i „częstując się nawzajem” (słowo „częstować” podchwyciliśmy nieświadomie z języka naszych matek, „częstujących” się przysmakami w powojennej epoce zaciskania pasa) kawą z ekspresu, którą uważaliśmy za ostatni krzyk francuskiej dekadencji. Czasami wpadaliśmy do butiku Phila; czasami Phil pozwalał mi kupować różne rzeczy na swoją zniżkę sprzedawcy. Nie przeszkodziło mi to jednak w pieprzeniu jego dziewczyny, gdy tylko odwrócił głowę.

Wiedziałem – dzięki doświadczeniom z Alison i Penny – że rozstania z dziewczynami są naprawdę żałosne, nie wiedziałem jednak, że bycie z dziewczyną może zamienić się w prawdziwy koszmar. Jackie i ja zachowywaliśmy się koszmarnie w podniecający, dorosły sposób. Spotykaliśmy się w sekrecie, dzwoniliśmy do siebie w sekrecie, w sekrecie uprawialiśmy seks i mówiliśmy do siebie w sekrecie „Co my w końcu pocznjemy?” Rozmawialiśmy ze sobą o tym, jak miło byłoby wyjść z podziemia. Nie zastanawiałem się, czy byłoby nam miło czy nie. Nie miałem czasu.

Starałem się nie deprecjonować zalet Phila – miałem i tak dosyć wyrzutów sumienia, pieprząc jego dziewczynę i tak dalej. Wkrótce jednak stało się to nieuniknione. Kiedy Jackie zaczęła wyrażać wątpliwości co do niego, musiałem je podsycać jak maleńkie płomyczki, które po jakimś czasie zamieniły się w potężne, huczące ogniska wyrzutów, obejmujące pożarem każdą naszą rozmowę.

Któregoś wieczoru na prywatce zobaczyłem Phila i Jackie stojących w rogu i dyskutujących zawzięcie. Phil wyglądał na bardzo zaniepokojonego, był blady i bliski łez, po chwili poszedł do domu, a następnego ranka Jackie zadzwoniła do mnie i zapytała, czy pójdę z nią na spacer, i poszedłem, poszliśmy razem, bo nie musieliśmy się już kryć; nie kryliśmy się ze sobą zaledwie przez trzy tygodnie.

Powiesz, Lauro, że to infantylne. Powiesz, że absurdem jest porównywać Roba i Jackie do Roba i Laury – ludzi po trzydziestce, ustosunkowanych, mieszkających razem. Powiesz, że dorosłe cudzołóstwo bije na głowę młodzieńcze cudzołóstwo i nie będziesz miała racji. Od tamtej pory

kilkakroć zdarzyło mi się być jednym z wierzchołków trójkąta, zapewniam cię jednak, że ten pierwszy wierzchołek był najostrzejszy. Phil nigdy już się do mnie nie odezwał; wędrujące w soboty po High Street tłumy także nie chciały mieć z nami do czynienia. Do mojej matki zadzwoniła matka Phila. Przez kilka tygodni szkoła była niezbyt przytulnym miejscem.

Wyobraź sobie (dla porównania), co by się stało, gdybym teraz narobił takiego bałaganu. Nic. Zmieniłbym po prostu puby, włączył automatyczną sekretarkę, częściej wychodził albo częściej zostawał w domu, pobawił się notatnikiem i przeciągnął na swoją stronę nowe kółko przyjaciół (zresztą i tak moi przyjaciele nie są zazwyczaj jej – kimkolwiek jest – przyjaciółmi), unikał rozeźlonych rodziców. W tamtych czasach nie mogłem zapewnić sobie takiej anonimowości. Musiałem trwać na posterunku i brać wszystko, co gotował mi los.

Najbardziej rozgniewało mnie jednak wszechogarniające rozczarowanie, które zawładnęło mną owego ranka, gdy zadzwoniła Jackie. Nie mogłem tego pojąć. Knułem i spiskowałem od miesięcy, a kiedy wreszcie wygrałem i wróg podpisał kapitulację, nie czułem niczego – a nawet jeszcze mniej! Oczywiście nie mogłem powiedzieć o tym Jackie, ale z drugiej strony nie potrafiłem okazać entuzjazmu, którego moim zdaniem potrzebowała, postanowiłem więc wytatuować sobie jej imię wzdłuż prawego ramienia.

Nie wiem. Okaleczenie się na całe życie wydawało mi się znacznie łatwiejsze niż powiedzenie jej, że zaszła groteskowa pomyłka i że po prostu wygłupiłem się; jeśli pokażę jej tatuaż

– myślałem kierowany jakąś szczególną logiką – nie będę musiał silić się na słowa, których nie potrafiłbym z siebie wydobyć. Powinienem wyjaśnić, że nie należę do zwolenników tatuażu; nie jestem i nie byłem rockandrollowym dekadentem z piekła rodem, ani tym bardziej mięśniakiem z piwnej eskadry. W tamtych czasach tatuaze cieszyły się w naszej szkole niezasłużoną popularnością i znam osobiście kilku mężczyzn – obecnie dobrze po trzydziestce – zajmujących odpowiedzialne stanowiska księgowych, nauczycieli, kadrowych, programistów komputerów, którzy do tej pory noszą odrażające napisy wypalone na ciele (SKUW-SYNU ZAJEBIE CIE NA ŚMIERĆ albo LYNYRD SKYNYRD).

Miałem zamiar wytatuować sobie dyskretne „J. KOCHA R.” na bicepsie, ale Victor, mistrz tatuażu, nawet nie chciał o tym słyszeć.

– Ona to która? „I.” czy „R.”?

– I ”

– Od jak dawna chodzisz z tą cipą na jot?

Byłem przerażony agresywną męskością salonu tatuażu – innymi klientami (wszyscy należeli do piwnej eskadry mięśniaków i wydawali się dziwnie rozbawieni moim widokiem), gołymi babami na ścianach, trupimi próbkami oferowanych usług, z których większość mieściła się dla wygody na ramionach Victora, wreszcie nieco obraźliwym językiem samego mistrza.

– Od dawna.

– Ja to, kurwa, osądzę, a nie ty!

Wypowiedź ta uderzyła mnie jako nieco dziwny wstęp do

dobicia interesu, postanowiłem jednak zachować to spostrzeżenie dla siebie.

– Od kilku miesięcy.

– I chcesz się z nią ożenić, co nie? A może zrobiłeś jej bachora?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Więc tylko chodzicie ze sobą? Nie jesteś uziemiony?

– Tak, to znaczy nie jestem...

– A jak ją poznałeś?

– Chodziła z moim kumplem.

– Naprawdę? A kiedy zerwali?

– W sobotę.

– W sobotę! – Roześmiał się jak obłąkany. – Wiesz co, nie chcę mieć na karku twojej mamuśki. Wypierdalaj.

Wypierdoliłem.

Victor trafił w sedno. Mówiąc szczerze, często kuśiło mnie, by odnaleźć jego zakład, kiedy trapiły mnie sercowe porażki. Victor po dziesięciosekundowej rozmowie powiedziałby mi, czy ktoś wart jest tatuażu czy nie. Phil i Jackie wrócili do siebie z ekstatyczną, łzawą rozkoszą, ale nie było już tak, jak kiedyś. Dziewczyny z jej szkoły i faceci z naszej doszli razem do wniosku, że Jackie wykorzystwała mnie, by renegocjować warunki swojego związku z Philem, mimo to sobotnie popołudnia w sklepach straciły swój urok. Przestaliśmy podziwiać ludzi chodzących ze sobą od dawna; mieliśmy do nich sarkastyczny stosunek, a oni odnosili się z sarkazmem do siebie. Przez kilka krótkich tygodni prysnął czar pseudomałżeństw, do których aspirowaliśmy wcześniej, a kultuwujące długie związki pary stały się obiektami drwin.

Mieliśmy po siedemnaście lat i byliśmy tak zgorzkniali i wyzuci z romantyzmu jak nasi rodzice.

Rozumiesz? Nie możesz – tak jak Jackie – odwrócić biegu spraw. Oboje próbowaliśmy tego zbyt często; pozostaje nam tylko wrócić do dawnych przyjaciół, starych pubów i życia, jakie prowadziliśmy przedtem. Musimy tak to zostawić i nikt nie zauważy różnicy. Chyba.

4. Charlie Nicholson (1977-1979)

Poznałem Charlie na politechnice. Studiowałem na wydziale środków przekazu, a ona była na projektowaniu. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, zdałem sobie sprawę, że jest dokładnie taką dziewczyną, jaką chciałem spotkać, odkąd tylko zacząłem myśleć o dziewczynach. Była wysoka, miała jasne, krótko przycięte włosy (mówiła, że знаła paru ludzi, którzy uczyli się w St. Martin's z przyjaciółmi Johnny'ego Rottena, ale nigdy ich nie spotkałem) i wyglądała inaczej – powiedziałbym dramatycznie i egzotycznie. Nawet jej imię wydało mi się inne – dramatyczne i egzotyczne – bo do tamtej pory żyłem w świecie, gdzie dziewczyny nosiły żeńskie imiona i w dodatku niezbyt ciekawe. Charlie dużo mówiła, co wyzwoliło mnie z konieczności uczestniczenia w długich, wymuszonych, milczących spotkaniach z dziewczynami z byłej szóstej klasy; w dodatku mówiła bardzo ciekawie: o swoim kursie, o moim kursie, o muzyce, filmach, książkach i polityce.

I lubiła mnie. Lubiła mnie. Charlie mnie lubiła. Lubiła. Przynajmniej tak mi się wydaje. Myślę, że tak było. Myślę,

że tak było. Itd. Wciąż nie wiem tak naprawdę, co kobiety we mnie widzą, wiem natomiast, że w stosunkach z nimi pomaga zapal (wiem o tym z własnego doświadczenia: nigdy nie potrafiłem oprzeć się komuś, kto uważa, że nie może mi się oprzeć), a ja, wierz mi, umiałem być żarliwy: nigdy się nie narzucałem... no, może pod koniec... i nigdy nie korzystałem z życzliwości dłużej niż to było konieczne... dopóki istniała życzliwość... byłem miły, szczery, rozważny, oddany i pamiętałem o drobiazgach związanych z jej osobą, i mówiłem jej, że jest piękna, i kupowałem jej prezenty nawiązujące do naszych niedawnych rozmów. I nic mnie to nie kosztowało, i nie robiłem tego z wyrachowania: łatwo zapamiętywałem fakty z jej życia, bo nie myślałem o nikim innym, naprawdę uważałem, że jest piękna, i nie mogłem się powstrzymać przed kupowaniem jej prezentów, i nie musiałem udawać oddania. Robiłem to bez wysiłku. Więc kiedy jedna z przyjaciółek Charlie, dziewczyna imieniem Kate, powiedziała kiedyś przy lunchu (z żalem w głosie), że chciałaby mieć takiego chłopaka jak ja, byłem zaskoczony i podekscytowany zarazem. Podekscytowany, bo Charlie siedziała z nami przy stole, słuchając słów przyjaciółki wypowiedzianych w dobrej wierze – co mnie zaskoczyło, bo wszystko, co robiłem, wynikało z egoistycznych pobudek. Wystarczyło jednak, bym stał się obiektem pożądania. Niesamowite.

Moja przeprowadzka do Londynu ułatwiła dziewczynom wyrobienie sobie o mnie dobrego mniemania. W domu знаła mnie większość mieszkańców Hertfordshire, a jeśli nie mnie, to mojego tatę i moją mamę – albo znała kogoś, kto mnie

znał, albo znał mojego tatę i moją mamę; znała mnie od dzieciństwa, w związku z czym, pokazując się tam na ulicach, zawsze miałem niezbyt przyjemne odczucie, że eksponuję przed światem wszystkie sekrety mojego dzieciństwa. Jak można zaprosić dziewczynę na niedozwolonego drinka do pubu, gdy w szafie wisi jeszcze harcerski mundurek? Dlaczego dziewczyna miałaby się z tobą całować, wiedząc (lub znając kogoś, kto wie), że jeszcze kilka lat temu obnosiłeś po całym mieście plakietki z Norfolk Broads albo Exmoor przyszyte do wiatrówki? W domu rodziców wszędzie wisiały zdjęcia, na których widniałem z odstającymi uszami, ubrany w katastrofalne ciuchy, siedzący na traktorach albo klaszczący w ręce z uciechy, gdy miniaturowe pociągi zatrzymywały się na miniaturowych stacjach; później – ku mojej rozpaczy – niektóre z dziewczyn twierdziły, że zdjęcia są „milutkie”, jednak uwiecznione aparatem zdarzenia były jeszcze zbyt bliskie, bym znalazł w tym pocieszenie. Upłynęło zaledwie sześć lat, odkąd z dziesięciolatka stałem się szesnastolatkiem. Sześć lat to za mało, by przeżyć transformację tego rodzaju! Kiedy miałem szesnaście lat, ta wiatrówka z naszywkami była za mała zaledwie o kilka numerów.

Na szczęście Charlie nie znała mnie jako dziesięciolatka, co więcej, nie znała nikogo, kto znał mnie w tym wieku. Dla niej byłem po prostu młodzieńcem. Kiedy ją poznałem, mogłem już głosować. Byłem na tyle dorosły, by spędzić z nią noc, całą noc, u niej w domu; by mieć własne zdanie, by kupić jej drinka w pubie bez obawy, że ktoś zwróci uwagę na przerobioną datę urodzenia na moim prawie jazdy... Byłem

wreszcie na tyle dorosły, by mieć własną historię. W domu nie miałem historii, tylko sprawy, które wszyscy znali i o których nie warto było mówić.

Mimo to czułem się jak oszust. Zachowywałem się jak ci wszyscy ludzie, którzy nagle ogolili głowy, po czym twierdzili, że zawsze byli punkami, byli punkami, zanim jeszcze wymyślono punk. Czułem się tak, jakby w każdej chwili groziła mi dekonspiracja, jakby za moment ktoś miał wpaść do studenckiego baru, wymachując moją fotografią w wiatrówce i wrzeszcząc: „Rob był chłopcem! Maleńkim chłoptasiem!” Wydawało mi się, że gdyby usłyszała to Charlie, na pewno by mnie rzuciła. Nie przyszło mi do głowy, że Charlie ma zapewne całe sterty ckliwych książeczek dla dziewcząt i śmieszne suknie koktailowe wiszące głęboko w szafie u rodziców w St. Albans. Z tego, co wówczas wiedziałem, panna Nicholson przyszła na świat z olbrzymimi kolczykami w uszach, w obcisłych, rurowatych dżinsach, pełna niezwykle wyrafinowanego entuzjazmu dla prac pewnego faceta, który chlapał wszystko pomarańczową farbą.

Chodziliśmy ze sobą przez dwa lata, a ja czułem się tak, jakbym stał na niebezpiecznie wąskim parapecie. Żadnej wygody! – jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie było miejsca, żeby się przeciagnąć i dać sobie luz. Martwiłem się brakiem wyrafinowania mojej garderoby. Obawiałem się, że nie sprawdzam się jako kochanek. Nie potrafiłem zrozumieć, co widzi w tym facecie od pomarańczowej farby, choć wyjaśniała mi to tysiąc razy. Wpadałem w depresję,

przypuszczając, że już nigdy nie powiem jej niczego ciekawego lub zabawnego na dowolny temat. Onieśmielali mnie inni mężczyźni chodzący z nią na kurs projektowania i nabrałem pewności, że prędzej czy później odejdzie z jednym z nich. Odeszła z jednym z nich.

Na jakiś czas straciłem wątek. Straciłem też wątki poboczne, scenariusz, ścieżkę dźwiękową, przerwę, torbę z prażoną kukurydzą i napisy końcowe. Włóczyłem się wokół domu, w którym mieszkała Charlie, aż w końcu przyłapał mnie jeden z jej przyjaciół, który zagroził, że mnie spierze, jeśli nie przestanę. Postanowiłem zabić Marco (Marco!), faceta, z którym odeszła, i poświęciłem wiele nocy na obmyślanie sposobu, jak to zrobić. Kiedy jednak spotykałem go przypadkowo, bąkałem pod nosem pozdrowienie i dawałem drapaką. Przez jakiś czas kradłem w sklepach – teraz nie umiałbym powiedzieć dlaczego. Przedawkowałem valium, ale już po minucie od połknięcia tabletek wsadziłem sobie palec w gardło. Pisałem do niej nieskończenie długie listy, niektóre nawet wysyłałem; pisałem też nieskończenie długie dialogi rozmów, których nigdy nie odbyliśmy. Kiedy doszedłem do siebie po kilku miesiącach ciemności, stwierdziłem, że wywalili mnie ze studiów i że pracuję w sklepie z taśmami i płytami w Camden.

Wszystko stało się tak szybko! Przedtem żywiłem nadzieję, że moja dorosłość będzie długa, brzemienna i pouczająca, a ona trwała tylko dwa lata! Czasami wydaje mi się, że wszystko, co wydarzyło mi się od tamtej pory (i wszyscy, którzy brali w tym udział), to tylko drobne rozterki. Niektórzy ludzie nie mogą zapomnieć lat sześćdziesiątych,

albo wojny, albo wieczoru, kiedy ich zespół wspomagał DrFeelgooda w pubie Pod Kotwicą i Nadzieją, i przez resztę życia idą tyłem; ja nigdy nie przebolełem Charlie i tego, co z nią odeszło... A były to rzeczy ważne, rzeczy określające mnie do tej pory.

Niektóre z moich ulubionych piosenek: „Tylko miłość lamie ci serce” Neila Younga; „Wczoraj śniłem, że ktoś mnie pokochał” The Smiths; „Wezwij mnie” Arethy Franklin; „Nie chcę o tym mówić” w dowolnym wykonaniu. A także: „Miłość rani” i „Kiedy miłość hamuje”, i „Jak naprawić złamane serce”, i „Szybkość dźwięku samotności”, i „Odeszła”, i „Po prostu nie wiem, co mam z sobą zrobić”, i... słucham tych piosenek przeciętnie raz w tygodniu (trzysta razy przez pierwszy miesiąc, potem coraz rzadziej), odkąd skończyłem lat szesnaście, dziewiętnaście i dwadzieścia jeden. I jak tu nie być pokaleczonym gdzieś w środku? I jak tu nie stać się osobą, która rozpada się w drobny pył, gdy jej pierwsza miłość znika z innym? Co było pierwsze: muzyka czy rozpacz? Czy słuchałem muzyki dlatego, że rozpaczałem? Czy może rozpaczałem dlatego, że słuchałem muzyki? Czy płyty zamieniają człowieka w melancholika?

Ludzie martwią się o dzieci bawiące się bronią i o nastolatki oglądające przemoc na filmach; obawiamy się, że wśród młodzieży dominuje kultura gwałtu. A nikt nie przejmuje się dziećmiakami słuchającymi tysięcy – dosłownie tysięcy – piosenek o złamanym sercu, odrzuceniu, bólu, rozpaczach i stracie. Najbardziej nieszczęśliwymi ludźmi, jakich znam, są – wedle pewnych romantycznych kryteriów – ci, którzy najbardziej lubią muzykę pop. Nie wiem, czy

muzyka pop sprowadziła na nich nieszczęścia, wiem natomiast na pewno, że słuchają smutnych piosenek dłużej niżby powinni w jednym, nieszczęśliwym życiu. Wnioski możesz wyciągnąć sama.

Nieważne. Oto jak nie powinno się planować kariery: a) zerwij z dziewczyną; b) daj się wylać z uczelni; c) zacznij pracę w sklepie z płytami; d) pracuj w sklepach z płytami do końca życia. Kiedy ogląda się zdjęcia ludzi z Pompei, człowiek myśli sobie: niesamowite, jedna szybka gra w kości po podwieczorku i bach! – zostałeś utrwalony na wieki, takiego zapamiętają cię przyszłe pokolenia przez kilka tysięcy lat. Przypuśćmy jednak, że grałeś w kości po raz pierwszy. Że zdecydowałeś się na to, chcąc dotrzymać towarzystwa swemu przyjacielowi, Augustusowi. Przypuśćmy, że dosłownie przed chwilą skończyłeś pisać wspaniałą wiersz czy coś innego. Czy nie zirytowałoby cię, gdyby popiół zwałił ci się na głowę akurat podczas kości? Gdyby utrwalili cię dla potomności jako hazardzistę? Czasami patrzę na swój sklep (swój, bo przez ostatnie czternaście lat nie zasypiałem gruszek w popiele! Jakies dziesięć lat temu wzięłem pożyczkę i założyłem własny interes!), na stałych, sobotnich klientów, i wiem dokładnie, co czuli mieszkańcy Pompei, jeśli w ogóle coś czuli (wiem, że lepiej dla nich byłoby, gdyby jednak nie czuli). Zamarłem w swojej pozycji, pozycji sprzedawcy i właściciela sklepu na zawsze, a wszystko przez kilka krótkich tygodni w 1979, kiedy na jakiś czas odebrało mi rozum. Choć mogło być gorzej; mogłem przecież zgłosić się do wojskowej komendy uzupełnień albo

do najbliższej rzeźni. Mimo wszystko czuję się tak, jakbym zrobił minę, a wiatr zmienił kierunek, zostawiając mnie na resztę życia z przeraźliwym grymasem na twarzy.

W końcu przestałem wysyłać listy; po kilku miesiącach przestałem je nawet pisać. W dalszym ciągu fantazjowałem o zabiciu Marco, choć teraz pozwalałem mu na szybszą śmierć (wystarczyło mi, że odnotował, kto mu ją zadaje i dlaczego, a potem BAM!) i przestałem pasjonować się zбочzonymi obrazami powolnych tortur. Znow zacząłem sypiać z kobietami, choć traktowałem to bardzo instrumentalnie, najczęściej jako przygody na jedną noc – zjawiska bez wpływu na mój posepny ogląd siebie. (I jak James Stewart w *Zawrocie głowy*, wyrobiłem sobie pewien smak i preferowałem pewien „typ”: musiały mieć krótkie, jasne włosy, interesować się sztuką, nie wylewać za kołnierz i być gadatliwe, co niekiedy prowadziło do katastrofalnych pomyłek.) Przestałem się upijać, przestałem wsłuchiwać się w teksty piosenek ze śmiertelną powagą (przez jakiś czas traktowałem każdą piosenkę, w której ktoś kogoś tracił, jako przerażający w swej wymowie opis mego stanu uczuć, a ponieważ w niemal każdej piosence pop ktoś kogoś traci, a ja pracowałem w sklepie z płytami, dołowałem się przez większą część dnia, w dodatku za pieniądze), wreszcie przestałem konstruować zabójcze jednozdaniowe komunikaty, po których Charlie miała wic się u mych stóp w przyplýwie żalu i wyrzutów sumienia.

Staralem się jednak nie angażować za bardzo w pracę i związki z kobietami: przekonywałem siebie, że Charlie może się w każdej chwili odezwać, dlatego muszę być gotów, by

rzucić wszystko i wrócić do niej. Zastanawiałem się nawet, czy warto otwierać własny sklep: przecież Charlie może zechcieć wyjechać ze mną za granicę, a ja nie pozbędę się przez jeden wieczór interesu! Małżeństwa, hipoteki, ojcostwo w ogóle nie wchodziły w grę. Bywałem niekiedy realistyczny: co jakiś czas dopisywałem dalszy ciąg do życia Charlie, wyobrażając sobie całą serię katastrofalnych wydarzeń (Mieszka z Marco! Kupili sobie dom! Wzięła z nim ślub! Jest w ciąży! Urodziła dziewczynkę!) po to, by nie wyjść z wprawy. Wydarzenia te wymagały wielu zmian i poprawek – fantazje nie znoszą bezruchu. (Nie będzie miała dokąd pójść, kiedy się rozstaną! Naprawdę nie ma dokąd pójść po rozstaniu z nim, a ja pomagam jej finansowo! Małżeństwo ją otrzeźwi! Rodzenie dziecka obcemu facetowi pokaże jej, jaki jestem wspaniały!) Nie było takiej rzeczy, z którą nie umiałbym sobie poradzić. Wszystko, co Charlie mogła robić z Marco, stawało się jedynie etapem, przez który musimy przejść. Z tego, co wiedziałem, wciąż ze sobą byli, a dziś... dziś znów jestem wolny.

5. Sarah Kendrew (1984-1986)

Zimny prysznic, jakim było rozstanie z Charlie, nauczył mnie, że warto trzymać się swojej kategorii wagowej. Charlie nie należała do mojej klasy: była za ładna, za mądra, za dowcipna, słowem: przerastała mnie. Bo kim ja jestem? Przeciętniakiem. Waga lekkopółśrednia. Nie najbystrzejszym facetem na świecie, ale także nie największym tumanem: przeczytałem przecież *Nieznośną lekkość bytu* i *Miłość w*

czasach zarazy, co więcej, ze zrozumieniem, jak sądzę (obydwie książki były o dziewczynach, prawda?), choć bez upodobania; moimi pięcioma ulubionymi książkami wszech czasów są: *Głęboki sen* Raymonda Chandlera, *Czerwony smok* Thomasa Harrisa, *Słodka muzyka soul* Petera Guralnicka, *Autostopem przez Galaktykę* Douglasa Adamsa i jeszcze taka jedna... zapomniałem... napisana przez Williama Gibsona albo Kurta Vonneguta. Czytuję „Guardiana” i „Observera”, a także „New Musical Express” i całą muzyczną kolorówkę; nie jestem od tego, by wybrać się do Camden na film z napisami (pięć ulubionych filmów z napisami: *Betty Blue*, *Metro*, *Zwiąż mnie! Rozwiąż mnie!*, *Znikający*, *Diva*), choć generalnie wolę filmy amerykańskie (pięć ulubionych amerykańskich, a co za tym idzie najlepszych na świecie filmów: *Ojciec chrzestny*, *Ojciec chrzestny II*, *Taksówkarz*, *Chłopcy z ferajny* i *Wściekle psy*).

Wyglądam nieźle: w zasadzie, gdyby na jednym końcu spektrum wyglądu umieścić, powiedzmy, Mela Gibsona, a na drugim, powiedzmy, Berky'ego Edmonsa z naszej szkoły, faceta, którego groteskowa brzydota była legendarna, ja znalazłbym się chyba po stronie Mela, nie za blisko, ale zawsze. Kiedyś jedna dziewczyna powiedziała mi, że jestem podobny do Petera Gabriela, a Peter przecież nie jest brzydki, prawda? Jestem średniego wzrostu, ani gruby, ani chudy, nie noszę nieprzyzwoitego zarostu, zachowuję czystość, chodzę w dżinsach i podkoszulkach, i skórzanej kurtce niemal przez cały czas z wyjątkiem lata; latem zostawiam kurtkę w domu. Głosuję na Partię Pracy. Mam kolekcję klasycznych komedii telewizyjnych na taśmach wideo: *Monthy Python*, *Fawlty*

Towers, Zdrówko i parę innych. Przeważnie rozumiem, o co chodzi feministkom, z wyjątkiem tych najbardziej radykalnych.

Mój geniusz – jeśli wolno mi tak powiedzieć – polega na tym, że w jednej, zwartej postaci skupiam potężny ładunek przeciętności. Ktoś mógłby powiedzieć, że na całym świecie są miliony ludzi takich jak ja, ale to nieprawda, daję głowę! Wielu facetów ma nienaganny gust muzyczny, ale za to nie czyta; wielu facetów czyta, ale za to tyje; wielu facetów sympatyzuje z feministkami, ale za to nosi głupie brody; wielu facetów ma poczucie humoru Woody'ego Allena i wygląda przy tym jak Woody Allen; wielu facetów pije na umór, wielu facetów głupiej za kierownicą, wielu facetów wdaje się w bójki albo szpanuje forszą, albo bierze narkotyki. Ja nie robię żadnej z tych rzeczy, naprawdę! Jeśli udaje mi się z kobietami, to nie ze względu na moje przymioty, ale dlatego, że nie ciągnę za sobą kilkunastu cieni.

Tak czy inaczej, dobrze jest wiedzieć, kiedy traci się rozum. Straciłem rozum dla Charlie, a po niej doszedłem do wniosku popartego silnym postanowieniem, że już nigdy nie stracę rozumu dla nikogo, i przez pięć lat – dopóki nie poznałem Sary – pluskałem się niewinnie na płyciźnie. Charlie i ja nie pasowaliśmy do siebie. Marco i Charlie pasowali. Potem Sarah pasowała do mnie, a ja pasowałem do Sary. Była średnio atrakcyjna (niezbyt duża, szczupła, o ładnych, brązowych oczach, z krzywymi zębami i włosami do ramion, które zawsze wyglądały na za długie, choć często chodziła do fryzjera) i ubierała się podobnie do mnie; mniej wężej. Jej ulubieni wykonawcy wszech czasów: Madness,

Eurythmics, Bob Dylan, Joni Mitchell, Bob Marley. Pięć ulubionych filmów wszech czasów: *National Velvet*, *Diva* (hej!), *Gandhi*, *Zaginiony*, *Wichrowe wzgórze*.

Była smutna, w podstawowym znaczeniu tego słowa. Kilka lat wcześniej rzucił ją jakiś męski ekwiwalent Charlie; facet imieniem Michael, który chciał dojść do czegoś w BBC. (Co mu się nie udało, dupkowi! Każdego dnia, kiedy nie widzieliśmy go w telewizji ani nie słyszeliśmy w radiu, coś w nas radośnie śpiewało.) Michael był bożyszczem Sary, podobnie jak Charlie moim; kiedy się rozstali, Sarah zarzuciła mężczyznę na jakiś czas, podobnie jak ja zarzuciłem kobiety. Całkiem sensowne było więc, że zarzucaliśmy razem, zbierając do kupy naszą wzgardę do przeciwnej płci, co nie przeszkadzało nam zresztą w dzieleniu łóża. Wszyscy nasi przyjaciele byli samotni, nasze kariery zawodowe stężały od rutyny, baliśmy się zostać sami przez całą resztę życia. Nie wszyscy ludzie boją się zostać sami przez resztę życia, mając po dwadzieścia sześć lat; my do nich należeliśmy. Wszystko wydawało nam się spóźnione. Po kilku miesiącach Sarah wprowadziła się do mnie.

Nie potrafiliśmy wypełnić sobą przestrzeni. Nie znaczy to, że mieliśmy za mało rzeczy: Sarah przywiozła ze sobą setki książek (uczyła angielskiego), a ja miałem tyle samo płyt. Mieszkanie jest zresztą niezbyt obszerne – przez dziesięć lat, które w nim spędziłem, czułem się jak pies z filmu rysunkowego wsadzony do za małej budy. Chodzi mi o to, że żadne z nas nie było głośne, nie panoszyło się, i kiedy byliśmy razem, wydawało mi się, że jedyne miejsca, jakie wypełniamy, to te zajęte przez nasze ciała. Nie potrafiliśmy

projektować się na zewnątrz, jak niektóre pary.

Choć czasami próbowaliśmy, szczególnie wtedy, gdy wychodziliśmy z ludźmi jeszcze bardziej zamkniętymi od nas; nigdy nie mówiliśmy sobie, dlaczego nagle stawaliśmy się zbyt głośni, ale oboje wiedzieliśmy, że tak było. Robiliśmy to, by zrekompensować sobie smutny fakt, że życie toczyło się gdzie indziej, że Michael i Charlie byli gdzieś razem, bawili się lepiej niż my z ludźmi bardziej od nas światowymi. Hałas był dla nas gestem niezgody, potrzebną, acz łatwą do zdobycia ostatnią barykadą. (Wszędzie widzi się takich ludzi: młodych przedstawicieli klasy średniej po raz pierwszy rozczarowanych życiem, hałasujących w restauracjach, klubach i winiarniach. „Spójrzcie na mnie! Wcale nie jestem taki nudny jak myślicie! Wiem, jak się zabawić!” Tragedia. Dobrze, że nauczyłem się dąsać w domu.) Nasz związek był małżeństwem z wygody, równie cynicznym i równie wzajemnie korzystnym jak każde inne, i naprawdę myślałem, że spędzę resztę życia z Sarą. Nie miałem nic przeciwko temu. Sarah była OK.

Kiedyś w jednej z telewizyjnych komedii – chyba był to *Mężczyzna w domu* – usłyszałem taki dowcip, szalenie nieprzyjemny dowcip, w którym facet zabiera wieczorem do miasta bardzo grubą dziewczynę w okularach, upija ją, a odprowadziwszy do domu, zaczyna się do niej dobierać. – Ja nie jestem jedną z tych! – wrzeszczy dziewczyna. Facet spogląda na nią zdumiony. – A powinnaś! – mówi. Kiedy miałem szesnaście lat, śmiałem się z tego do łez, i przypomniałem sobie tę scenkę, gdy Sarah powiedziała mi,

że poznała kogoś innego. „Ale to... niemożliwe!” chciałem wrzasnąć. Nie znaczy to, że Sarah nie mogła się podobać – mogła, ze wszech miar, a poza tym musiała się podobać tamtemu facetowi. Mój stłumiony okrzyk miał oznaczać, że jej nowy związek stał w jawnej opozycji do ducha naszego układu. Jedyłą rzeczą, jaka nas tak naprawdę łączyła (wspólny podziw dla *Divy* nie trwał, jeśli mam być szczery, dłużej niż kilka miesięcy), było przekonanie, że zostaliśmy skrzywdzeni przez innych, porzuceni, przez co staliśmy się przeciwnikami „rzucania” – powiedziałbym nawet: żarliwymi bojownikami ruchu „antyporzuceniowego”. Dlaczego więc znów mnie porzucono?

Oczywiście myślałem nierealistycznie. Kiedy wiążesz się z kimś, kto wart jest zachodu, zawsze istnieje ryzyko straty. Na świecie jest niewielu paranoików, którzy wybierają na partnerów ludzi „nie do stracenia”, osobników, którzy nie mogą podobać się nikomu innemu oprócz tych, którzy ich wybrali. Gest taka wspaniała piosenka Jimmy'ego Soula „Jeśli chcesz być szczęśliwy”, mówiąca o tym, że nie warto poślubiać ludzi atrakcyjnych z podanych wyżej powodów. Nie mam pojęcia, co stało się z Jimmym, ale często zastanawiałem się, czy stosował się w życiu do swoich rad i rzeczywiście zaciągnął do ołtarza jakiegoś obrzydliwego babona.) Jeśli w ogóle chcesz się w to bawić, musisz zaakceptować ewentualność, że coś nie wypali, że ktoś imieniem Marco, powiedzmy, albo tak jak w tym przypadku: Tom, pojawi się na twojej drodze i pokrzyżuje ci plany. Wtedy jednak patrzyłem na to inaczej. Wiedziałem tylko, że spuściłem z tonu o klasę, a mimo to nie wypaliło. Bardzo z

tego powodu rozpaczalem i uzalalem sie nad soba.

A potem poznalem ciebie, Lauro, i mieszkalismy razem, a teraz sie wyprowadzilas. Wiesz juz, ze dla mnie to nic nowego; jesli zalezy ci, by sila wedrzec sie na moja liste, musialabyś mocno sie namęczyc. Nie tak latwo mnie zranic jak wtedy, kiedy rzucala mnie Alison czy Charlie; nie zmienilas calej struktury mojego codziennego zycia jak Jackie, nie czulem sie podle z twojego powodu, jak w przypadku Penny (co wiecej, nie jestes w stanie ponizyc mnie tak jak Chris Thomson). Jestem silniejszy niz wtedy, kiedy odeszla Sarah i wiem – pomimo smutku i watpliwosci naplywajacych gdzieś z glebi trzewi podczas kazdego rozstania – ze nie jestes moja ostatnia i najlepsza szansa na stworzenie czegoś trwalego. Co ci bede mowil... Ładny strzał, bylo blisko, ale nie dostaniesz cygara. Na razie.

Teraz

Jeden

Laura odchodzi w poniedziałek z samego rana z walizką i torbą podróżną. Naprawdę przyjemnie jest widzieć, jak niewiele ma do zabrania kobieta kochająca rzeczy: swoje czajniczki, książki, grafiki i małe rzeźby, które kupiła w Indiach. Spoglądam na torbę i myślę: „Jezu, czyżby aż tak bardzo nie chciała odchodzić?”

Obejmujemy się w drzwiach, a Laura cicho płacze.

– Chyba nie wiem, co robię – mówi.

– Właśnie zauważyłem – odpowiadam w formie żartu, a może i nie. – Nie musisz teraz odchodzić. Możesz zostać... jak długo chcesz.

– Dzięki. Ale najgorsze mamy już za sobą. Równie dobrze mogę... sam wiesz...

– To zostań chociaż dzisiaj.

Laura krzywi się i sięga do klamki.

Wyjście ma niezbyt udane. Brakuje jej wolnej ręki, mimo to próbuje otworzyć drzwi i nie może, więc robię to dla niej, ale stoję w przejściu i chcąc ją wypuścić, muszę wyjść na schody, a ona podtrzymuje drzwi, bo nie mam klucza i przeciskam się obok niej, żeby złapać za klamkę, zanim drzwi zamkną się za jej plecami. I to wszystko.

Z żalem stwierdzam, że wspaniałe uczucie będące po części ulgą, jaką przynosi wyzwolenie, a po części nerwowym podnieceniem obejmuje całe moje ciało, począwszy od palców u nóg, skąd rozplywa się falami. Znam to z wcześniejszych rozstań i wiem, jak niewiele to znaczy.

Zdumiewające, na przykład, że nie będę ekstatycznie szczęśliwy przez kilka następnych tygodni. Mimo to wiem, że przyjdzie mi z tym pracować i cieszyć się, póki trwa.

Oto jak świętuję mój powrót do Królestwa Samotnych: siadam na fotelu – tym, który na pewno ze mną zostanie – i zaczynam wydłubywać kawałki wyściółki z oparcia; zapalam papierosa, choć jest dosyć wczesnie i wcale nie chce mi się palić; robię to dlatego, że wolno mi będzie teraz palić w mieszkaniu zawsze, gdy przyjdzie mi na to ochota, i nikt nie zrobi mi awantury; zastanawiam się, czy spotkałem już następną osobę, z którą będę spał, albo czy będzie to ktoś, kogo jeszcze nie znam; zastanawiam się, jak wygląda i czy zrobimy to tutaj, czy u niej, a jeśli u niej, to jakie będzie jej mieszkanie; postanawiam, że każę wymalować logo wytwórni Chess Records na ścianie w salonie. (W Camden był taki sklep, w którym widziałem logo Chess, Staxa, Motown, Trojana wyrysowane na ceglach obok wejścia. Wyglądało to wspaniale. Może powinienem skontaktować się z gościem, który to zrobił i poprosić go o namalowanie mniejszych wersji u mnie w domu?) Czuję się OK. Czuję się dobrze. Idę do pracy.

Mój sklep nazywa się Championship Vinyl. Sprzedaję punka, bluesa, soul i R&B, trochę ska, trochę niezależnych wytwórni i trochę popu z lat sześćdziesiątych – słowem wszystko dla poważnego kolekcjonera płyt, jak głosi ironicznie staromodny napis na wystawie. Mieścimy się przy cichej uliczce w Holloway, starannie oznaczonej naszymi

kierunkowskazami mającymi przyciągać choćby minimum uwagi przechodzących frajerów; okolica jest taka, że nie ma po co jej odwiedzać, chyba że się tu mieszka, a ludzie, którzy tutaj mieszkają, nie są specjalnie zainteresowani kupnem białego albumu Stiff Little Fingers (dwadzieścia pięć funciaków, jak dla ciebie – sam zapłaciłem siedemnaście w 1986) czy egzemplarza mono *Blonde On Blonde*.

Udaje mi się przetrwać dzięki ludziom, którzy tytanicznym wysiłkiem woli kupują u mnie w soboty – młodym mężczyznom, zawsze młodym mężczyznom w okularkach a la John Lennon, w skórzanych kurtach i z kwadratowymi reklamówkami pod pachą – oraz dzięki zamówieniom pocztowym: reklamuję się z tyłu kolorowych magazynów muzycznych i dostaję listy od młodych mężczyzn, zawsze młodych mężczyzn, z Manchesteru, Glasgow czy Ottawy, którzy spędzają nieproporcjonalnie dużo czasu na szukaniu zapomnianych singli Smithsów i „ORYGINALNIE NIEWZNAWIANYCH”, pokrytych patyną albumów Franka Zappy. Są tak nawiedzeni, że w zasadzie nie robi to różnicy.

Spóźniam się i kiedy dojeżdżam na miejsce, Dick stoi już oparty o drzwi, czytając książkę. Dick ma trzydzieści jeden lat i długie, tłuste, czarne włosy; ubrany jest w podkoszulek Sonic Youth i czarną, skórzaną kurtkę, która stara się dzielnie udawać, że widziała już lepsze dni, choć kupił ją dopiero w zeszłym roku. Słucha walkmana przez absurdalnie duże słuchawki, które oprócz uszu zasłaniają mu także połowę twarzy. Czyta tanie wydanie biografii Lou Reeda. Reklamówka leżąca u jego stóp – obutych w coś, co istotnie

widziało lepsze dni – zachwała towar przeraźliwie modnej, niezależnej wytwórni z Ameryki; Dick bardzo się starał, żeby zdobyć tę torbę i zaczyna być nerwowy, gdy ktoś się do niej zbliża. Nosi ze sobą taśmy; słyszał już większość płyt, które mamy w sklepie i woli przynosić do pracy nowy materiał – taśmy przyjaciół, bootlegi zamawiane pocztą – niż tracić czas na słuchanie czegoś po raz drugi. („Dick, pójdziesz z nami do pubu na lunch?” – pytamy go z Barrym kilka razy w tygodniu. Dick spogląda żałośnie na swoją stertę kaset i wzdycha: „Poszedłbym z chęcią, ale mam jeszcze parę rzeczy do przesłuchania. ”)

– Dzień dobry, Richardzie.

Dick gmera nerwowo przy gigantycznych słuchawkach i zakłada jedną za ucho, przy czym druga spada mu na oko.

– O, cześć. Cześć, Rob.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nie... nie ma problemu.

– Jak tam weekend?

Otwieram sklep, a Dick zbiera manele.

– W porządku, taa, OK. Znalazłem w Camden pierwszy album Liquorice Comfits. Wydany przez Testament of Youth. U nas nigdy go nie sprzedawali. Tylko import z Japonii.

– Wspaniale. – Nie mam pojęcia, o czym on, do cholery, mówi.

– Przegram ci go.

– Dzięki.

– Bo mówiłeś, że podoba ci się ich druga płyta. *Pop, dziewczyny, itd.* Ta z Hattie Jacques na okładce, której zresztą

nie widziałeś, bo słuchałeś kasety ode mnie.

Jestem pewny, że Dick nagrał mi kasetę Liquorice Comfits, podobnie jak tego, że powiedziałem, że mi się podoba. W moim mieszkaniu wala się pełno taśm od Dicka, których nigdy nie słuchałem.

– A co u ciebie? Jak tam weekend? Dobry? Zły? Taki sobie?

Nie potrafię wyobrazić sobie naszej rozmowy, gdybym powiedział mu, jak spędziłem weekend. Zapewne rozpadłby się w drobny mak, gdybym wyjaśnił mu, że Laura odeszła. Dick nie jest dobry w tych sprawach; mówiąc szczerze, gdyby kiedykolwiek zdarzyło mi się wyznać mu coś, co choćby z daleka dotyczy spraw osobistych – na przykład, że miałem matkę i ojca, albo powiedzmy, że w młodości chodziłem do szkoły – Dick na pewno zarumieniłby się, zaczął jąkać i zapytał, czy słyszałem nową płytę Lemmonheads.

– Pół na pół. Trochę dobry, trochę zły.

Kiwa głową. Nie ulega wątpliwości, że udzieliłem prawidłowej odpowiedzi.

Sklep pachnie zatechłym dymem, wilgocią i plastikowymi okładkami płyt; jest wąski, ponury, brudny i przeładowany, po części dlatego, że tak chciałem – według mnie tak właśnie powinny wyglądać sklepy z płytami, bo tylko fani Phila Collinsa kupują w miejscach tak czystych i zdrowych jak podmiejski Habitat – po części zaś z tej przyczyny, że nie mogą się zebrać na posprzątanie i zrobienie w nim remontu.

Po każdej stronie stoją regały dla przeglądaczy, podobnie

jak pod oknem; na ścianach wiszą szklane gablotki z kompaktami i kasetami i to w zasadzie wszystko. Sklep byłby wystarczająco duży, gdyby nie odwiedzali go klienci, więc przez większą część dnia ma właściwe wymiary. Magazyn mieszczący się na tyłach jest większy od części sklepowej z przodu, ale nie mamy żadnych zapasów, naprawdę! – poza kilkoma stertami kupionych z drugiej ręki płyt, których nikomu nie chce się wycenić. Magazyn służy więc do obijania się. Mówiąc szczerze, rzygać mi się chce, gdy patrzę na to miejsce. Bywają takie dni, kiedy obawiam się, że oszaleję, zerwę z sufitu mobil Elvisa Costella, wyrzucę na ulicę regał „Artystów country (mężczyźni) A-K”, pójdę pracować w megasklepie Virgin i nigdy nie wrócę.

Dick nastawia płytę, jakąś psychodelię z Zachodniego Wybrzeża, i idzie zaparzyć kawę, podczas gdy ja przeglądam pocztę; następnie pijemy kawę; następnie Dick próbuje wepchnąć jakieś płyty w przeładowane, trzeszczące ze starości regały, a ja pakuję kilka zamówień pocztowych; następnie rzucam okiem na szybką krzyżówkę z „Guardiana”, a Dick czyta jakiś importowany z Ameryki magazyn rockowy; następnie Dick rzuca okiem na szybką krzyżówkę z „Guardiana”, a ja czytam importowany z Ameryki magazyn rockowy; przed rozwiązaniem krzyżówki wypada moja kolej na zrobienie kawy.

Koło wpół do dwunastej wpada irlandzki pijak imieniem Johnny.

Johnny odwiedza nas trzy razy w tygodniu, a jego wizyty stały się prawdziwymi wydarzeniami artystycznymi o własnej choreografii i z własnym scenariuszem, których ani

on, ani ja nie chcemy zmieniać. W otaczającym nas wrogim i nieprzewidywalnym świecie polegamy na sobie jak na Zawiszy.

– Wypierdalaj, Johnny – mówię do niego.

– Śmierdzą wam moje pieniądze? – pyta.

– Nie masz ani grosza. A my nie mamy niczego, co chciałbyś kupić.

Słyszając to Johnny zaczyna własną, entuzjastyczną wersję przeboju Dany „Wszystkiego po trochu”, na co ja wychodzę zza lady i odprowadzam go do drzwi, po czym on kuli się i chwyta kurczowo jeden ze stelaży, co zmusza mnie do otwarcia drzwi jedną ręką, rozluźnienia jego uchwytu drugą i wypchnięcia go na ulicę. Trenujemy te ruchy już od kilku lat, więc wszystko wychodzi na medal.

Johnny jest naszym jedynym klientem przed lunchem. To nie jest praca dla szalenie ambitnych.

Barry pojawia się zazwyczaj dopiero po lunchu. Zatrudniłem Dicka i Barry'ego tylko na pół etatu, każdy z nich miał pracować po trzy dni w tygodniu, wkrótce jednak zaczęli przychodzić codziennie, w tym w soboty. Początkowo nie wiedziałem, co o tym myśleć, potem jednak doszedłem do wniosku, że jeśli istotnie nie mają dokąd pójść i nic innego do roboty, nie ma co... hmm... zwracać im uwagi – nie chcieliśmy przecież wywoływać żadnych kryzysów duchowych – dałem im więc trochę więcej pieniędzy i zostawiłem w spokoju. Barry zinterpretował podwyżkę jako sygnał do skrócenia dnia pracy, więc od tamtej pory zamroziłem jego płace. Miało to miejsce cztery lata temu, ale

Barry się nie skarży.

Wchodzi do sklepu, nucąc jakąś frazę Clashów. Słowo „nucić” nie oddaje w zasadzie sensu tego, co robi Barry, który naśladuje – jak wszyscy mali chłopcy – dźwięki gitary wypychając do przodu usta, zaciskając zęby i powtarzając w kółko „DA-DA”. Barry ma trzydzieści trzy lata.

– W porzondelu, chłopaki? Hej, Dick, co to za muzyka, człowieku? Cuchnie aż na ulicy! – Krzywi się i zatyka nos. – Fuuuuj!

Obecność Barryego tak onieśmiela Dicka, że ten w ogóle przestaje się odzywać po przyjściu tamtego do sklepu. Wtrącam się w ich rozmowy dopiero wtedy, kiedy Barry przesadza i zaczyna obrażać. Dick sięga do hi-fi na półce wiszącej nad ladą i wyłącza kasetę.

– Dzięki za to, cholera. Dick, jesteś jak dziecko. Trzeba pilnować cię przez cały czas. A ja nie wiem, dlaczego mam to robić. Rob, nie zauważyłeś, co on znowu włączył? Co tam grasz, człowieku?

Barry mówi bez ustanku, i to głównie bzdury. Opowiada dużo o muzyce, a także o książkach (szczególnie Terry'ego Pratchetta i o wszystkim, w czym występują potwory, planety i tym podobne), filmach i kobietach. Pop, dziewczyny etc, jak śpiewają Liquorice Comfits. Rozmowy z nim to przede wszystkim wymieniania: jeśli obejrzał dobry film, nie mówi o scenariuszu czy o tym, co, czuł po seansie; zalicza go do listy najlepszych obrazów roku, listy najlepszych obrazów wszech czasów, listy najlepszych filmów dekady – myśli i mówi dziesiątkami i piątkami, a w konsekwencji Dick i ja przejęliśmy ten zwyczaj. Każę nam pisać nasze własne listy:

– W porządku, chłopaki: pięć najlepszych filmów Dustina Hoffmana. – Albo solówek gitarowych, płyt nagranych przez niewidomych muzyków, albo programów Gerry'ego i Sylvii Anderson (Dick, nie wierzę, że umieściłeś *Szkarłatnego Kapitana* na pierwszym miejscu! Facet był nieśmiertelny! Co w tym śmiesznego?) , albo słodczy sprzedawanych w słoikach (jeśli któryś z was wymieni kogel-mogel albo Iandrynki rabarbarowe, rzucam pracę).

Barry wkłada rękę do kieszeni skórzanej kurtki, wyjmuje kasety, wkłada ją do maszyny i podkręca głośność do maksimum. Nie mija sekunda, a sklep trzęsie się od linii basu „Chodzę w słońcu” Katariny i Fal. Jest luty. Zimno. Wilgotno. Laura odeszła. Nie mam zamiaru słuchać „Chodzę w słońcu”. Nie pasuje mi to jakoś do nastroju.

– Skręć to, Barry! – wrzeszczę jak szyper podczas sztormu.

– Nie mogę już więcej podkręcić. Gra na maksa.

– Nie powiedziałem „podkręć”, ty pojebie, powiedziałem „skręć”.

Śmieje się i idzie na zaplecze, wyrzaskując partię blachy: DA! DA! da da da da-da da-da. Sam wyłącza kasety, a Barry wraca do sklepu.

– Co robisz?

– Nie chcę słuchać „Chodzę w słońcu”.

– To moja nowa kasetka. Kasetka na poniedziałkowy poranek. Specjalnie ją wczoraj nagrałem.

– Taa, z tym że mamy już, kurwa, poniedziałkowe popołudnie. Powinieneś wcześniej wstawać z łóżka.

– A ciekawe, czy pozwoliłbyś mi ją zagrać rano?

– Nie, ale teraz mam przynajmniej wymówkę.

– Nie chcesz czegoś rozweselającego? Czegoś, co natchnęłoby odrobiną ciepła twoje stetryczale kości?

– W życiu!

– Więc czego chcesz słuchać, jak jesteś wkurwiony?

– Nie wiem. Na pewno nie „Chodzę w słońcu”. Na pewno nie na początku.

– OK, przewinę ją dalej.

– Co jest dalej?

– „Mała Latino Lupe Lu”.

Jęcę.

– Mitch Ryder and The Detroit Wheels? – pyta Dick.

– Nie. The Righteous Brothers. – W głosie Barry'ego słysząc niepewność. Na pewno nigdy nie słyszał wersji Mitcha Rydera.

– Och, wszystko jedno. – Dick nigdy nie posunąłby się do tego, żeby wytknąć Barry'emu pomyłkę, ale implikacje są jasne.

– Co znowu? – zjeżył się Barry.

– Nic.

– Nie, no nie wygłupiajcie się. Co jest nie w porządku z Righteous Brothers?

– Nic, po prostu wolę Rydera – odpowiada łagodnie Dick.

– Gównno.

– Dlaczego „gównno”, jeśli mówimy o preferencjach? – pytam.

– Jeśli to zła preferencja, to znaczy, że gównno.

Dick wzrusza ramionami i uśmiecha się.

– Co? Co? Co ma oznaczać ten pewny siebie uśmieszek?

– Daj mu spokój, Barry. To nieważne. Nie słuchamy pieprzonej „Małej Latino Lupe Lu”, więc odłożmy rzecz *ad acta*.

– Od kiedy w tym sklepie panuje faszystowski reżim?

– Odkąd przyniosłeś tę potworną taśmę.

– Ale ja tylko chcę nas rozweselić. To wszystko. Błagam o wybaczenie. Idźcie i puśćcie muzykę jakiegoś starego, smutnego sukinsyna, guzik mnie to obchodzi.

– Nie chcę słuchać muzyki starego, smutnego sukinsyna. Chcę czegoś, na co mógłbym nie zwracać uwagi.

– Wspaniale. Na tym polega urok pracy w sklepie z płytami. Gra się to, czego nie chce się słuchać. Myślałem, że ta taśma będzie, rozumiesz, punktem wyjściowym rozmowy. Chciałem cię zapytać o pięć ulubionych płyt do słuchania w deszczowy, poniedziałkowy poranek, a ty wszystko zepsułeś.

– Załatwimy to w przyszły poniedziałek.

– A po co?

I tak dalej, i tym podobne zapewne do końca mojej kariery pracodawcy. Chciałbym sporządzić listę pięciu płyt, których słuchając nic nie czujesz; w ten sposób Dick i Barry mogliby wyświadczać mi przysługi. Jeśli chodzi o mnie, po powrocie do domu będę słuchał Beatlesów. Chyba *Abbey Road*, choć zaprogramuję CD tak, żeby opuścił „Something”. Beatlesi to były opakowania gumy do żucia i *Help* na sobotnim poranku, i dziecięce plastikowe gitary, i „Yellow Submarine” śpiewane na całe gardło z tyłu autobusu podczas szkolnych wycieczek. Beatlesi należą do mnie, a nie do mnie i Laury, czy do mnie i Charlie, albo do mnie i Alison Ashworth, i choć słuchając ich, coś jednak poczuje, wcale nie

będzie to takie złe.

Dwa

Martwiłem się, jak to będzie, kiedy wrócę dzisiaj do domu, ale wszystko jest w porządku: wciąż czuję to samo, co rano, czyli dosyć wątpliwe samozadowolenie. Wiem, że nie zawsze będzie tak jak teraz, kiedy walają się wszędzie jej rzeczy. Wkrótce wszystko zabierze, zniknie z mieszkania zapach Marie Celeste, przeczytane do połowy kieszonkowe wydanie Juliana Barnes'a leżące na nocnym stoliku i majtki z kosza z brudną bielizną – wszystko zniknie. (Nawiasem mówiąc, damskie figi bardzo mnie rozczarowały, kiedy zacząłem mieszkać z kobietami. Przeżyłem prawdziwy szok, z którego nie otrząsałem się do tej pory, przekonawszy się, że kobiety robią dokładnie to samo, co my: wkładają najlepsze gacie tylko wtedy, kiedy wiedzą, że pójdą z kimś do łóżka. Kiedy mieszkasz z kobietą, te wyblakłe, podarte, skurczone w praniu kawałki koronek nagle pojawiają się na kaloryferach i w całym domu; szlag trafia twoje zmysłowe chłopiące marzenia o dorosłym życiu w otoczeniu egzotycznej bielizny do końca twych dni, amen...)

Sprzątam dowody wczorajszych przeżyć – zapasowy koc z sofy, pozwijane w kulki papierowe chusteczki, kubki z kawą z kożuchami pływającymi w zimnej, oleistej zawieszynie, a potem włączam Beatlesów i kiedy kończy się *Abbey Road*, a zaczyna pierwsza piosenka *Revolvera*, otwieram butelkę białego wina, którą w zeszłym tygodniu przyniosła do domu Laura, siadam i oglądam nagrany

wcześniej *Brookside Omnibus*.

W ten sam sposób, w jaki zakonnice synchronizują swoje okresy, mama Laury i moja dzwonią jednocześnie na cotygodniowe pogaduszki. Choć moja wyprzedza tamtą o włos.

– Halo, kochanie, to ja.

– Cześć.

– Wszystko w porządku?

– Nieźle.

– Jak ci upłynął tydzień?

– Och, wiesz przecież.

– A jak tam sprawy w sklepie?

– I tak, i siak. Raz na wozie, raz pod wozem. – To było nieźle: raz na wozie, raz pod wozem oznacza, że są lepsze i gorsze dni, że klienci przychodzą i wychodzą. Choć szczerze mówiąc, to kłamstwo.

– Twój tato i ja martwimy się tą recesją.

– Taa, wspominałaś o tym.

– Masz szczęście, że Laurze tak dobrze się powodzi.

Gdyby nie ona, żadne z nas nie zmrużyłoby oka.

Ona odeszła, mamo. Rzuciła mnie na pożarcie lwom. Ta dziwka wzięła dupę w troki i zostawiła mnie... Nie, nie mogę jej tego powiedzieć. Czas jeszcze nie dojrzał do złych wieści.

– Bóg mi świadkiem, zarabia tyle, że nie trzeba się martwić o sklep pełen staroświeckich płyt z muzyką pop...

Jak można by opisać sposób, w który ludzie urodzeni przed 1940 wymawiają słowo „pop?” Słuchałem, jak moi rodzice wyrzucają z siebie tę jednosylabową eksplozję; widziałem ich wysunięte do przodu głowy, idiotyczny wyraz

twarzy (bo przecież fani pop to idioci) przez cały czas, gdy wypływają to słowo – i trwa to już ponad dwie dekady.

– ... dziwię się, że nie kazała ci sprzedać interesu i zająć się jakąś porządną pracą. To cud, że wytrzymuje z tobą tak długo. Ja na jej miejscu zostawiłabym cię lata temu.

Spokojnie Rob! Nie daj się jej złapać. Nie chwytaj przynęty. Nie... ach, pierdolić to!

– No cóż, właśnie zostawiła mnie, żeby ułożyć sobie życie, jeśli cię to bawi.

– Dokąd poszła?

– Nie mam cholernego pojęcia. Po prostu... poszła. Wyprowadziła się. Zniknęła.

Zapada długa, bardzo długa cisza. W istocie tak długa, że zdążam obejrzeć całą kłótnię pomiędzy Jimmym i Jackie Corkhill, a w słuchawce nie słysząc nawet jednego długiego westchnienia.

– Halo? Jest tam kto?

I teraz w końcu coś słyszę – cichy płacz mojej matki. O co chodzi z tymi matkami? Co tu się dzieje? Jako dorosły wiesz, że z wiekiem będziesz musiał poświęcać coraz więcej czasu tym, którzy opiekowali się tobą na początku – taki jest bieg rzeczy; ale moja matka i ja zamieniliśmy się rolami, kiedy miałem dziewięć lat. Cokolwiek złego przydarzyło mi się przez kilka ostatnich dziesięcioleci – przesiadywanie w kozie, złe oceny na egzaminach, bójki, wyrzucenie z college'u, rozstania z dziewczynami – kończyło się dokładnie tak jak teraz: rodzicielskimi łzami mamy. Byłoby lepiej dla nas obojga, gdybym przeniósł się do Australii mając

piętnaście lat, dzwonił do domu raz w tygodniu i meldował o serii fikcyjnych tryumfów. Większość piętnastolatków nie poradziłaby sobie, żyjąc na własną rękę na drugim końcu świata, bez pieniędzy, przyjaciół, rodziny, kwalifikacji i pracy – ale nie ja. Dla mnie byłoby to jak splunąć w porównaniu ze słuchaniem tych bredni tydzień po tygodniu.

Ze to... no... nie fair. Gównno, a nie fair. Nigdy nie było fair.

Odkąd tylko wyjechałem z domu, jedynym zajęciem matki są jęki, troski i przysyłanie mi wycinków z miejscowych gazet opisujących drobne osiągnięcia starych kumpli ze szkoły. Czy na tym polega prawdziwe macierzyństwo? Nie w mojej książce. Pragnę współczucia, zrozumienia, porady i pieniędzy – niekoniecznie zresztą w takiej kolejności – ale przy Canning Close nie znają tych pojęć.

– Nic mi nie jest, jeśli ci o to chodzi.

Wiem, że jej o to nie chodzi.

– Wiesz, że nie chodzi mi o to.

– A do licha powinno! Nie sądzisz? Nie sądzisz, że powinno, mamó? Właśnie rzuciła mnie dziewczyna i wcale nie jest mi z tym dobrze! – Źle także nie: Beatlesi, *Brookside*, pół butelki Chardonnay zrobiło swoje, ale tego jej nie powiem. – Nie potrafię dać sobie rady ze sobą, więc nie żądaj, żebym cię pocieszał.

– Wiedziałaś, że tak się stanie.

– No więc jeśli wiedziałaś, to czym się tak denerwujesz?

– Co ty teraz zrobisz, Rob?

– Wypiję resztę wina z butelki stojącej przed telewizorem.

Potem pójde spać. Jutro wstanę i pojadę do pracy.

– A później?

– Poznam miłą dziewczynę i będę miał z nią dzieci.

Tak brzmi właściwa odpowiedź.

– Gdybyż to było takie proste!

– Jest, mówię ci! Kiedy zadzwonisz do mnie następnym razem, wszystko już będzie poukładane.

Chyba się uśmiecha. Słyszę to. Dostrzegam światełko w mroku długiego, telefonicznego tunelu.

– Ale co mówiła Laura? Wiesz, dlaczego odeszła?

– Niezupełnie.

– Szkoda, bo ja wiem.

Brzmi to niepokojąco, ale tylko przez chwilę, póki nie pojmuję, o co jej chodzi.

– To nie ma nic wspólnego z małżeństwem, mamó, jeśli o to ci chodzi.

– To twoje zdanie. Chciałabym usłyszeć jej opinię na ten temat.

Spokój! Nie pozwól jej... Nie unos się... aaa, pierdolić!

– Mamó, na litość boską, powtarzam to w nieskończoność: Laura nie chce wyjść za męż! Nie jest taką dziewczyną... jak mówi przysłowie. I nie dlatego odeszła...

– Nie dlatego? Nie dlatego odchodzą? Przypomnij sobie, co było wcześniej: spotykasz kogoś, mieszkacie razem, odchodzi. Znów kogoś spotykasz, wprowadza się do ciebie, odchodzi i tak w kółko!

Punkt dla niej. Chyba.

– Przestań!

Pani Lydon dzwoni kilka minut później.

– Witaj, Rob. Mówi Janet.

– Witam, pani L.

– Co u ciebie?

– W porządku. U pani?

– Dobrze, dziękuję.

– Au Kena?

Ojciec Laury nie ma się zbyt dobrze – cierpi na dusznicę i musiał przejść na wcześniejszą emeryturę.

– Nie najgorzej. Raz tak, raz siak. Sam wiesz. Daj mi Laurę.

Ciekawe... Nie dzwoniła jeszcze do domu. Może czuje się winna?

– Nie ma jej, niestety. Chyba jest u Liz. Powiedzieć jej, żeby zadzwoniła?

– Jeśli nie wróci zbyt późno.

– Nie ma sprawy.

I tak kończy się nasza ostatnia – zapewne – rozmowa. „Nie ma sprawy”: ostatnie słowa, którymi żegnam osobę będącą kimś stosunkowo mi bliskim. Od tej chwili nasze losy rozdziela się. Niesamowite, he? Jeździsz do kogoś na święta, martwisz się jego operacjami, ściskasz, całujesz i przynosisz kwiaty, oglądasz go w szlafroku... i nagle bęc! Już po wszystkim. Przepadło na zawsze. I prędzej czy później pojawi się kolejna mama, kolejne święta i nowe żylaki. Wszyscy są tacy sami. Zmieniają się tylko adresy i kolory szlafroków.

Trzy

Siedzę z tyłu sklepu, próbując trochę tu uprzątnąć, gdy słyszę rozmowę Barry'ego z klientem – mężczyzną, sądząc po głosie, w średnim wieku; człowiekiem, który na pewno nie jest „na bieżąco”.

– Szukam płyty dla córki. Na urodziny. „I Just Called To Say I Love You”. Macie to?

– Jasne – mówi Barry. – Jasne, że mamy.

Wiem na sto procent, że jedynym singlem Stevie Wondera, jaki mamy w tej chwili, jest „Don't Drive Drunk”; mamy go od stu lat i nie możemy się go pozbyć, nawet za sześćdziesiąt centów. W co on pogrywa?

Wchodzę do sklepu, żeby zobaczyć, co i jak. Barry stoi na posterunku i uśmiecha się do gościa, który wygląda na podnieconego.

– W takim razie poproszę. – Facet uśmiecha się z ulgą, niczym chłopczyk, który w ostatniej chwili przypomniał sobie o „trzech magicznych słówkach”.

– Przykro mi, ale nie dostanie pan tej płyty.

Klient – starszy niż myślałem, ubrany w sukienną czapkę i brudny, beżowy prochowiec – zamiera i stoi jak wryty; myśli sobie – co widać: przecież wcale nie chciałem wchodzić do tej hałaśliwej nory i oto co mnie spotyka...

– A to dlaczego, jeśli wolno wiedzieć?

– Proszę? – Barry gra głośno Neila Younga, a Neil niedawno zelektryfikował zespół.

– Pytam dlaczego?

– Bo to sentymentalne, kliwne gówno. Wystarczy? Czy wyglądamy na sklep, który sprzedaje pieprzone „I Just Called To Say I Love You”, he? A teraz żegnam, bo tracimy czas.

Starszy gość odwraca się i wychodzi, a Barry chichocze radośnie.

– Wielkie dzięki, Barry.

– Co jest?

– Przegoniłeś pieprzonego klienta! Wystarczy?

– Nie mamy tego, o co pytał. Zabawiłem się, a ty nie Straciłeś na tym ani centa.

– Nie o to chodzi.

– Taa? No więc o co chodzi?

– Chodzi o to, że nie życzę sobie, żebyś traktował przychodzących tu ludzi w ten sposób.

– Niby dlaczego? Myślisz, że ten stary pierdziel zasiliłby szereg naszych stałych gości?

– Nie, ale... posłuchaj, Barry, interes nie idzie najlepiej. Wiem, że zawsze robiliśmy sobie jaja z ludzi pytających o to, co nam się nie podoba, ale to musi się zmienić!

– Pieprzysz. Gdybyśmy mieli tę płytę, sprzedałbym mu ją, a ty byłbyś funciaka do przodu i nigdy byś już go nie zobaczył. Interes jak złoto!

– Przecież ten facet nic ci nie zrobił!

– Owszem, zrobił. Obraził mnie swoim potwornym gustem.

– Kiedy jemu chodziło o córkę!

– Wymiękasz na starość, Rob. Dawniej wypieprzyłbyś go ze sklepu na zbity pysk.

Ma rację. Dawniej tak bym zrobił. Ale to stare czasy.

Teraz nie mam już w sobie takiego gniewu.

We wtorek wieczorem reorganizuję mój zbiór płyt. Robię to zazwyczaj w okresach napięcia emocjonalnego. Niektórzy mogliby powiedzieć, że to dosyć nudny sposób na spędzenie wieczoru, ale ja do nich nie należę. To moje życie i fajnie jest móc się w nim tarzać, zagłębić ręce po łokcie, ugnieść tu i tam.

Kiedy była tu Laura, płyty stały w porządku alfabetycznym. Przedtem katalogowałem je chronologicznie, od Roberta Johnsona do... powiedzmy, Wham! albo jakichś Afrykanów – nie pamiętam już, kogo słuchałem, kiedy poznałem Laurę. Dziś jednak przychodzi mi do głowy coś innego i próbuję sobie przypomnieć kolejność, w jakiej je kupowałem: w ten sposób stworzę – mam nadzieję – swoją autobiografię, nie podnosząc nawet długopisu ze stołu. Zdejmuję płyty z półek, układam je w stertach na podłodze w całym salonie, szukam *Revolvera* i jadę dalej. Kiedy kończę, ogarnia mnie wielkie poczucie spełnienia. Mam przed sobą to, czym jestem. Podoba mi się łatwość, z którą mogę prześledzić sposób, w jaki w dwudziestu pięciu posunięciach przeszedłem od Deep Purple do Howling Wolfa. Nie cierpię już, wspominając jak słuchałem „Erotycznego zdrowia” przez cały okres wymuszonego celibatu; nie wstydzę się, przypominając sobie, jak zakładałem w szkole klub rockowy po to, by razem z kumplami z piątej klasy rozmawiać o Zygim Starduście i rock-operze *Tommy*.

Najbardziej jednak podoba mi się poczucie bezpieczeństwa, którym napełnia mnie mój nowy system

katalogowania. Dzięki niemu stałem się bardziej skomplikowany niż jestem naprawdę. Mam parę tysięcy płyt i trzeba być mną – albo przynajmniej doktorem flemingologii – żeby wiedzieć, gdzie co znaleźć. Gdyby przyszła mi ochota posłuchać... powiedzmy Blue Joni Mitchell, wystarczy, że przypomnę sobie, że kupiłem ten album jesienią 1983 z zamiarem podarowania go komuś w prezencie, po czym zmieniłem zdanie z przyczyn, w które wolę nie wnikać. Tylko ja wiem, co się wtedy stało, a reszta leży i kwiczy, prawda? Reszta musi przyjść do mnie i poprosić o wyszukanie tej płyty, i fakt ów – nie wiedzieć czemu – napawa mnie radością.

W środę wydarza się coś niezwykłego. Wchodzi Johnny, podśpiewuje „Wszystkiego po trochu”, próbuje gwizdnąć parę okładek. Prowadzę go tanecznym krokiem pod drzwi i wtedy Johnny wyrywa się, podnosi głowę i pyta: – Jesteś żonaty?

– Nie, Johnny, nie. A ty?

Wybucha śmiechem, trzymając głowę na wysokości mojej pachy. Rzy przeraźliwie i histerycznie. Czuć od niego gorzałą, tytoniem i wymiocinami. Kończy, dusząc się własną flegmą.

– Myślisz, że byłbym, kurwa, w takim stanie, jakbym miał żonę?

Nie odpowiadam – staram się skoncentrować na wypchnięciu go na ulicę – ale smutna i szczerza aż do bólu samokrytyka Johnny'ego zwraca uwagę Barry'ego, który jeszcze nie zapomniał mi wczorajszej reprimendy, i który

teraz wychyla się przez ladę.

– To niczego nie zmienia, Johnny. Rob ma w chacie cudowną kobietę, i zobacz, jak wygląda. Jest w fatalnym stanie. Ma fatalną fryzurę. Pryszczę. Fatalny sweter. Okropne skarpetki. Jedyna różnica między nim a tobą, Johnny, polega na tym, że ty nie musisz płacić co tydzień czynszu za sklep.

Barry zawsze tak o mnie mówi. Jednak dzisiaj nie jestem w nastroju do żartów i piorunuję go wzrokiem, co ma oznaczać, że każę mu się zamknąć, ale Barry traktuje to jako zaproszenie do wygłaszania kolejnych uszczypliwości.

– Rob, mówię o tym dla twojego dobra. Masz najgorszy sweter, jaki w życiu widziałem. Nikt, z kim wymieniam choćby powitania, nie nosi takich fatalnych swetrów. Twój sweter jest zniewagą dla całej rasy ludzkiej. Nawet David Coleman nie włożyłby czegoś takiego w *Sportowej niedzieli*. John Noakes kazałby go spalić za obrazę dobrego smaku. Val Doonican spojrzalby nań i...

Wyrzucam Johnny'ego na chodnik, zatraskuję drzwi, wracam pędem przez sklep, chwytam Barry'ego za klapy brązowej, zamszowej marynarki i mówię mu, że jeśli usłyszę choćby jeszcze jedno słowo bezsensownego, żalosego i nikomu niepotrzebnego jazgotu, zabiję go na miejscu. Puszczam go i trzęsę się ze złości.

Z magazynu wychodzi Dick i – nie wiedzieć czemu – podskakuje.

– Hej, ludzie... – mówi cicho. – Hej...

– Pojechało cię, facet? – pyta mnie Barry. – Jeśli podarłeś mi marynarkę, koleś, to grubo za to bekniesz. – Tak właśnie mówi: „grubo za to bekniesz”. Chryste! Potem wychodzi ze

sklepu.

Idę na tyły i siadam na przenośnej drabinie, a Dick kołysze się w progu.

– Nic ci nie jest?

– W porządku. Przepraszam. – Wybieram najłatwiejsze wyjście. – Posłuchaj, Dick, nie mam w domu „cudownej kobiety”. Odeszła. Jeśli Barry przypadkiem tu wróci, powiedz mu...

– Jasne, Rob. Nie ma sprawy. W ogóle nie ma sprawy. Powiem mu zaraz, jak wróci – paple Dick.

Nie odpowiadam i kiwam głową.

– Ja... ja i tak chciałem z nim porozmawiać, więc nie ma sprawy. Powiem mu o... no wiesz... Laurze przy okazji – mówi Dick.

– Dobrze.

– Oczywiście zacznę od Laury, bo to, co chciałem mu powiedzieć, nie jest takie ważne... Zupełny drobiazg... chodzi o to, że... no... ktoś gra jutro u Harry'ego Laudera. Więc najpierw powiem mu o tobie... Dobre wieści i złe wieści... coś w tym stylu – ciągnie Dick.

Uśmiecha się nerwowo. – To znaczy... złe i dobre... bo... no... Barry lubi tę osobę, która zagra u Harry'ego Laudera... – Na jego twarzy maluje się przerażenie. – To znaczy... Laure też lubi... wiesz, o co mi chodzi. I ciebie też. Tylko że...

Mówię mu, że wiem, o co chodzi, i proszę go o kubek kawy.

– Jasne. Nie ma sprawy, Rob. Wiesz... no... może chciałbyś o tym pogadać... wiesz... coś w tym stylu?

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie skorzystać z jego

propozycji: rozmowa od serca z Dickiem mogłaby stać się epokowym wydarzeniem. Mówię mu jednak, że jest na to za wcześnie, a Dick wygląda tak, jakby chciał mnie uściskać.

Cztery

Idziemy do Harry'ego Laudera całą trójką. Z Barrym jest już okay: Dick powiedział mu o Laurze, kiedy Barry wrócił do sklepu, i teraz obaj robią, co mogą, by wynagrodzić mi stratę. Barry przygotował dla mnie pracowicie opisaną taśmę kompilacyjną, a Dick powtarza swoje pytania po cztery, pięć razy, zamiast jak do tej pory dwa albo trzy. Poza tym chyba im zależało, żeby zabrać mnie na ten koncert.

Lauder to olbrzymi pub. Sufity są tu tak wysoko, że dym z papierosów wygląda pod nimi jak chmura z komiksów. Na sali czuć wilgocia, wszędzie hulają przeciągi, ławy mają wyprutą wyściółkę, obsługa jest gburowata, a stali goście przerażający albo nieprzytomni. W toaletach jest mokro i śmierdzi, wieczorem nie ma co zjeść, a podawane tu wino jest wprost śmiesznie niedobre. O piwie lepiej nie mówić: pienne i za zimne. Jednym słowem, Lauder to zwykły, północnolondyński pub. Choć pracujemy niedaleko, nie bywamy tutaj zbyt często. Głównie dlatego, że grają tu zazwyczaj denne, drugoligowe kapele punkowe, którym człowiek byłby gotów płacić za to, żeby ich nie słuchać. Zdarza się jednak, tak jak dzisiaj, że zapraszają jakichś nieznanych Amerykanów grających folk albo country, jakąś kultową postać, której wielbiciele przyjeżdżają z nią jednym samochodem. Gdy wchodzimy, pub pełen jest w jednej trzeciej, co wygląda zachęcająco. Tuż za progiem Barry pokazuje mi palcem Andy'ego Kershawa i faceta pisującego dla „Time Out”. U Laudera szykuje się wydarzenie!

Kobieta, którą przyszliśmy obejrzeć, nazywa się Marie LaSalle. Wydała parę solowych płyt w niezależnej wytwórni, a jedną z jej piosenek nagrała nawet Nanci Griffith. Dick mówi, że Marie mieszka obecnie w naszym kraju. Przeczytał gdzieś, że artystka uważa Anglię za kraj otwarty na jej muzykę, co oznacza zapewne, że panna LaSalle zamiast jawnej wrogości spotyka się tu z radosną obojętnością. W pubie siedzi wielu samotnych mężczyzn – co nie znaczy, że nie są żonaci. Brak im jedynie przyjaciół. W takim towarzystwie nasza trójka – ja: ponury, posługujący się monosylabami; Dick: nerwowy, wstydliwie uśmiechnięty; Barry: pieczołowicie autoocenzurowany – stanowi prawdziwie szaloną i liczną biurową wycieczkę.

Nikt nie gra na rozgrzewkę przed występem Marie. Z głównianych głośników piszczy jedynie gustowny country-rock, a ludzie stają wokół sceny ściskając swoje kufle i czytają odręczne programy koncertów, które ktoś wcisnął im po drodze. O dziewiątej na tak zwanej estradzie (która jest niczym innym jak zwykłym podwyższeniem z paroma mikrofonami) staje Marie LaSalle. Pięć po dziewiątej – zupełnie wbrew sobie i zupełnie niechcący – jestem bliski łez, a uczuciowa pustka, w jakiej żyłem przez kilka ostatnich dni, zniknęła.

Od odejścia Laury unikałem wielu piosenek, ale tej, od której zaczęła Marie, tej, która sprawiła, że załkałem, nie było wśród nich. Piosenka, po której płaczę, nigdy przedtem nie wzruszyła mnie do łez; mówiąc szczerze, gdy słyszałem ją poprzednio, chciało mi się rzygać. Kiedy była przebojem, akurat studiowałem, i razem z Charlie przewracałem oczami i

wkładałem sobie palce do gardła, gdy ktoś – zazwyczaj jakiś student geografii albo panienka z wydziału nauczania początkowego – puszczał ją w szafie grającej w barze. (Nie pojmuję, jak można zarzucać komuś snobizm, jeśli jego jedynym grzechem jest stwierdzenie zwykłej, prostej prawdy.) I teraz płaczę, słysząc jak Marie LaSalle śpiewa ten kawałek... piosenkę Petera Framptona „Maleńka, kocham twój styl”.

Wyobraźcie sobie, jak stoję z Barrym i Dickiem – ubranym w podkoszulek Lemmonheads – i słucham piosenki Petera Framptona i ryczę! Petera Framptona! Z trwałą na łbie! „Wskaż mi drogę!” Tak śpiewał i dmuchał w taką idiotyczną torebkę, przez co jego gitara brzmiała jak Kaczor Donald! *Frampton Comes Alive* – pierwsza pozycja na amerykańskich listach przebojów przez blisko siedemset dwadzieścia lat, kupowana, jak mniemam, przez każdego wymóżdżonego od koki radiosłuchacza w LA! Rozumiem, że trzeba mi było wstrząsu, bym uzmysłowił sobie, jak bardzo strauumatyzowaaiy mnie ostatnie wydarzenia, ale czy musiało dojść aż do tego? Czy dobry Bóg nie mógł wybrać czegoś mniej odrażającego – powiedzmy... starego przeboju Diany Ross albo numeru Eltona Johna w jego wykonaniu?

Co gorsza, na tym się nie kończy. Po odegraniu przez Marie LaSalle piosenki Petera Framptona „Maleńka, kocham twój styl” („Wiem, że nie powinnam lubić tej piosenki, ale lubię ją”, mówi artystka, śmiejąc się od ucha do ucha po wykonaniu utworu), targają mną dwa przeciwstawne uczucia: a) zaczynam nagle tęsknić za Laurą z siłą, jakiej nie znałem przez ostatnie cztery dni; b) zakochuję się do szaleństwa w

Marie LaSalle.

Takie rzeczy zdarzają się. Przynajmniej zdarzają się mężczyznom. A już na pewno mężczyźnie, o którym mówimy. Czasami. Trudno wyjaśnić dlaczego i jak miotają człowiekiem dwa przeciwstawne uczucia jednocześnie; bezsprzecznie warunkiem *sinequa non* takiego stanu jest pewna doza irracjonalnego rozmarzenia, choć tkwi w tym również swoista logika. Marie jest ładna w ów nieco zezowaty, amerykański sposób – wygląda jak odrobinę pulchniejsza Susan Dey z czasów po *Rodzinie Partridge'ów*, a przed *LA Law* – i jeśli komuś zdarzyłoby się nieoczekiwanie i bezsensownie zakochać do szaleństwa, mógłby trafić znacznie gorzej. (Pewnego sobotniego poranka obudziłem się, włączyłem telewizor i zapalałem miłością do Sary Greene z *Na żywo*, o czym zresztą nikomu nie wspomniałem w tamtych czasach.) Marie, z tego, co widzę, jest urocza i niepozobawiona talentu: po wydaleniu z ustroju Petera Framptona, trzyma się swoich piosenek, które są całkiem dobre: wzruszające, śmieszne i delikatne. Przez całe życie marzyłem o tym, żeby pójść do łóżka – nie... lepiej nawiązać romans – z artystką. Wyobrażałem sobie, jak pisze w domu piosenki, jak pyta mnie, co o nich sędzę, umieszcza w słowach jeden z naszych domowych żarcików, dziękuje mi na okładce płyty, może nawet umieszcza w środku moje zdjęcie... gdzieś w tle... Wyobrażałem sobie, jak słucham jej występów za kulisami (choć u Laudera wyszedłbym na durnia, bo w pubie nie ma kulis... mógłbym za to stać samotnie przed sceną, na oczach wszystkich...)

W każdym razie to, co czuję wobec Marie, jest łatwe do

zrozumienia. Inaczej rzecz ma się z Laurą. Tutaj nie obędzie się bez długich wyjaśnień, które, jak sędzę, powinny brzmieć tak: sentymentalna muzyka ma to do siebie, że robi z człowiekiem dwie rzeczy naraz – cofa go w czasie i popycha jednocześnie do przodu. Każdego, kto jej słucha, napęlnia nostalgią i nadzieją. Marie jest ową nadzieją popychającą mnie do przodu – może niekoniecznie ona, może ktoś do niej podobny, ktoś, kto potrafiłby zawrócić mi w głowie. (Dokładnie tak: zawsze uważałem, że kobiety mnie zbawiają, poprowadzą ku lepszemu życiu, zmieniają i ocalaą.) Laura zaś stanowi część nostalgiczną, jest ostatnią osobą, którą kochałem, i kiedy słyszę te słodkie, lepkie, gitarowe akordy bez prądu, przypominam sobie spędzone wspólnie chwile i – zanim zdążyłem się zorientować – siedzę z nią w samochodzie i śpiewamy na głosy „Miłość rani”, mylimy się i wybuchamy śmiechem. Tak naprawdę nigdy tego nie robiliśmy. Nigdy nie śpiewaliśmy w aucie i z pewnością nie wybuchaliśmy śmiechem, gdy coś nam się nie udało. Dlatego właśnie nie powinienem w tej chwili słuchać muzyki pop. Dzisiejszego wieczoru obie jej części składowe – i ta nostalgiczna, i ta pełna nadziei – wydają się równouprawnione. Marie mogłaby podejść do mnie, gdy będę wychodził, i zaprosić na kolację; albo: mógłbym pojechać do domu i zastać tam Laurę popijającą nerwowo herbatę i czekającą na rozgrzeszenie. I jedno, i drugie marzenie wygląda zachęcająco. I jedno, i drugie sprawiłoby, że poczułbym się bardzo szczęśliwy.

Marie robi przerwę po godzinie. Siada na scenie i pije

Budweisera z butelki. Pojawia się jakiś facet i stawia obok niej pudełko z kasetami. Kosztują 5, 99, ale Marie nie ma drobnych, więc trzeba jej płacić sześć funciaków. Kupujemy po jednej kasecie dla każdego i, ku naszemu przerażeniu, Marie odzywa się do nas:

– Dobrze się bawicie?

Kiwamy głowami.

– Fajnie, bo ja bawię się doskonale.

– To świetnie – mówię, bo w tej chwili na więcej mnie nie stać.

Mam tylko dychę, więc stoję pod sceną i kwitnę, czekając, aż facet od kaset znajdzie cztery funty drobnych.

– Słyszałem, że mieszkasz teraz w Londynie – zwracam się do artystki.

– Aha. Niedaleko stąd, mówiąc szczerze.

– Podoba ci się tu? – pyta Barry. Świetnie! Sam bym na to nie wpadł.

– Jest okay. Hej, już wiem! Chyba możecie mi pomóc. Czy tu w okolicy są jakieś dobre sklepy z płytami, czy trzeba jeździć aż na West End?

Czy warto się obrażać? Wyglądamy na takich, którzy wiedzą wszystko o sklepach z płytami? Chyba tak, dzięki temu mamy co jeść.

Barry i Dick prześcigają się, udzielając jedynej prawidłowej odpowiedzi.

– Jest jeden!

– Jest jego!

– W Holloway.

– Przy ulicy Siedmiu Sióstr.

– Nazywa się „Championship Vinyl”!

– Pracujemy tam!

– Spodoba ci się!

– Wpadnij do nas!

Śmieje się, słysząc ten wybuch entuzjazmu.

– Co macie na składzie?

– Wszystko, co dobre. Bluesa, country, wczesny soul, new wave...

– Brzmi zachęcająco.

Ktoś inny chce z nią porozmawiać, więc uśmiecha się do nas milutko i odwraca w drugą stronę. Idziemy na swoje miejsca.

– Po co powiedzieliście jej o sklepie? – pytam tych dwóch.

– Nie wiedziałem, że utajniłeś naszą działalność – odpowiada Barry. – To znaczy, wiedziałem, że nie mamy klientów i przypuszczałem, że to niedobrze. Nie sądziłem, że na tym polega nasza strategia prowadzenia interesów.

– Nie wyda u nas ani pensa.

– Nie, oczywiście, że nie. Właśnie dlatego pytała, czy znamy jakieś dobre sklepy z płytami. Najwyraźniej chce nas odwiedzić i zabrać nam trochę czasu.

Wiem, że zachowuję się głupio, ale nie chcę, żeby przychodziła do mojego sklepu. Jeśli przyjdzie, mogę zacząć ją lubić, a wtedy będę czekał na nią przez cały czas, i kiedy wreszcie przyjdzie, będę zdenerwowany i zrobię z siebie idiotę, co skończy się tym, że zaproszę ją na drinka do jakiejś okolicznej speluny, a ona zgodzi się – i wtedy zbłąźnię się na amen, albo się nie zgodzi – i wtedy zbłąźnię się jeszcze

bardziej. Wracając do domu po koncercie, zastanawiam się, czy przyjdzie już jutro, a jeśli tak, to czy będzie to coś oznaczać, a jeśli tak, to dla którego z naszej trójki, choć Barry prawdopodobnie nie odpali. Kurwa, jak ja tego nienawidzę! Ile trzeba mieć lat, żeby to się skończyło?

Kiedy wracam do domu, na sekretarce nagrane są dwie wiadomości, jedna od przyjaciółki Laury, Liz, druga od samej Laury. Brzmia następująco:

1. Rob, mówi Liz. Dzwonię, żeby spytać... czy... no... wszystko w porządku. Zadzwoń do nas. Ja... emmm... nie opowiadam się po żadnej ze stron. Jeszcze nie. Ściskam cię mocno, cześć.

2. Cześć, to ja. Potrzebuję paru rzeczy. Mógłbyś zadzwonić do mnie rano? Do pracy? Dzięki.

Ludzie szaleni potrafiliby odczytać obydwie wiadomości na wiele różnych sposobów; ludzie normalni doszliby do wniosku, że pierwsza nagrana osoba jest wrażliwa i przyjazna, a druga ma wszystko gdzieś. Nie jestem szalony.

Pięć

Oczywiście dzwonię do Laury. Jest mi niedobrze, gdy wykręcą jej numer, i jeszcze gorzej, gdy sekretarka łączy mnie z wewnętrznym. Sekretarka wiedziała kiedyś, kim jestem, teraz w jej głosie brzmi pustka. Laura chce przyjść do mnie w sobotę po południu – kiedy będę w pracy – i zabrać parę kolejnych sztuk bielizny, a ja nie mam nic przeciwko temu. Na tym powinienem był skończyć, ale chce mi się porozmawiać z nią poważniej, a to jej się nie podoba, bo jest w pracy. Kiedy upieram się, wybucha płaczem i odkłada słuchawkę. Czuję się jak fiut, ale nie mogłem się powstrzymać. Nigdy tego nie potrafiłem.

Ciekawe, co by powiedziała, gdyby zdawała sobie sprawę, że rozmawiając z nią, spinałem się jednocześnie przed przyjściem Marie do sklepu? Przed chwilą skończyłem rozmowę, w której zasugerowałem Laurze, że spierdoliła mi życie. Głęboko w to wierzyłem, przynajmniej gdy była na linii. Teraz jednak – wcale nie będąc ogłupionym czy niezadowolonym z siebie – zaczynam się martwić, co włożyć do pracy, czy lepiej mieć lekki zarost czy może się ogolić, i wreszcie jaką muzykę puścić dzisiaj w sklepie.

Czasami wydaje mi się, że jedynym sposobem, w jaki mężczyzna może ocenić swój wdzięk – swoją przyzwoitość! – jest spojrzenie na własne stosunki z kobietami, to znaczy z przyszłymi lub obecnymi partnerkami seksualnymi. Łatwo jest być miłym dla kumpli. Stawiasz im drinka, nagrywasz dla nich kasetę, dzwonisz, żeby spytać, czy wszystko gra...

istnieje cała masa szybkich i bezbolesnych metod zrobienia z siebie równego gościa. Kiedy jednak idzie o dziewczyny, sprawy się komplikują, a zachowanie twarzy staje się drogą przez mękę. Na oko wszystko idzie gładko, czyścisz kibel, myjesz po sobie wannę i raz po raz dajesz upust uczuciom, słowem: robisz wszystko, czego wymaga się od współczesnego mężczyzny. I nagle ni z tego, ni z owego coś cię trafia, zaczynasz się dąsać, manipulować, oszukiwać i cyganić w najlepsze. Naprawdę nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Wczesnym popołudniem dzwonię do Liz. Jest miła. Mówi, że jej przykro, że uważała nas za wspaniałą parę, że byłem dobry dla Laury, stawiałem ją na pierwszym miejscu, wydobywałem z niej to, co najlepsze, pozwalałem się bawić, zmieniłem ją w miłszą, spokojniejszą, bardziej odprężoną osobę i zainteresowałem czymś więcej poza pracą. Liz nie mówi tego dosłownie – interpretuję jej wypowiedź. Ale chyba o to, jak sędzę, jej chodzi, gdy mówi, że byliśmy wspaniałą parą. Pyta co u mnie i czy dbam o siebie; informuje mnie, że Ian nie zrobił na niej wrażenia. Umawiamy się na drinka kiedyś w przyszłym tygodniu. Odkładam słuchawkę.

Jaki, kurwa, Ian?

Zaraz po tym wchodzi do sklepu Marie. Jesteśmy wszyscy trzej. Przez cały dzień puszczam jej taśmę, ale kiedy widzę, że staje w progu, chcę ją wyłączyć, zanim zauważy. Nie jestem dość szybki i tylko ściszam sprzęt, gdy Marie zaczyna coś mówić o nagraniu. Potem znów robię głośniej i oblewam się rumieńcem. Marie śmieje się. Idę do magazynu i

nie wychodzę. Barry i Dick sprzedają jej kasety za siedemdziesiąt funciaków.

Jaki, kurwa, Ian?

Do magazynu wpada Barry.

– Jesteśmy na liście gości na koncercie Marie Pod Białym Lwem. Cała nasza trójka.

To wszystko.

Przez ostatnie pół godziny upokorzyłem się w oczach kogoś, na kim mi zależy, i dowiedziałem się, jak sędzę, że moja była ma romans. Co mnie obchodzi lista gości Pod Białym Lwem!

– To naprawdę, naprawdę wspaniale, Barry. Lista gości Pod Białym Lwem! Wystarczy, że przejedziemy się do Putney i z powrotem i każdy z nas zaoszczędzi po piątału. Tak to jest, gdy ma się wpływowych przyjaciół, he?

– Możemy pojechać twoim autem.

– Auto nie jest moje, prawda? Należy do Laury. I Laura je sobie zabrała. Nic nie szkodzi. Pojeździmy sobie dwie godziny metrem, albo zamówimy minibus, co nie? Zrzucimy się... no powiedzmy po piątału. Cudownie, kurwa, cudownie!

Barry wzrusza ramionami, dając mi do zrozumienia, że z takimi jak ja nie ma co gadać. Jest mi przykro, ale nic nie mówię.

Nie znam nikogo o imieniu Ian. Laura również nie zna nikogo o imieniu Ian. Byliśmy ze sobą przez trzy lata i nigdy nie słyszałem, żeby wspominała o jakimś Ianie. U niej w pracy nie ma żadnego Iana. Wśród jej przyjaciół nie było Iana, o którym bym wiedział, a żadna z jej przyjaciółek nie

ma chłopaka o takim imieniu. Nie twierdzę, że nigdy w życiu nie spotkała nikogo, kto nosiłby imię Ian – musiała wpaść na jakiegoś Iana w college'u, bo wcześniej uczyła się w szkole dla dziewcząt – ale jestem bardziej niż pewny, że od roku 1989 mieszkała w bez-Ianowym wszechświecie.

I ta pewność, ów Ian-ateizm, trwa, póki nie wracam do domu. Na parapecie tuż przy wspólnym wejściu – gdzie listonosz odkłada dla nas pocztę – wśród trzech listów, reklamowych jadłospisów, zniżkowych kart na taksówki, rachunku dla mnie i wyciągu z banku dla Laury, znajduję upomnienie za niezapłacenie abonamentu telewizyjnego wystawione na nazwisko pana I. Raymonda (zwanego Rayem przez przyjaciół i – co bardziej istotne – przez sąsiadów), faceta, który sześć tygodni temu zwolnił mieszkanie nad nami.

Kiedy wchodzę do siebie, cały się trzęsę i robi mi się niedobrze. Wiem, że to on; wiem, że to on od chwili, gdy ujrzałem upomnienie. Pamiętam, że Laura wchodziła parę razy na górę; przypominam sobie, jak Laura... może nie flirtowała z nim w dokładnym znaczeniu tego słowa, ale częściej niż zwykle odrzucała włosy, częściej niż było trzeba, chichotała głupawo, gdy zszedł do nas na drinka przed świętami. Na pewno był w jej typie – mały, zagubiony chłopczyk, prostoliniorny i troskliwy, z odrobiną melancholii w duszy... ot tyle, by wydać się interesującym. Nigdy za nim specjalnie nie przepadałem, a teraz, kurwa, wyprułbym mu flaki!

Od kiedy? Jak często? Czy kiedy po raz ostatni rozmawiałem z Rayem – Ianem – w przeddzień jego

przeprowadzki, knuli coś razem? Czy kiedy spędzałem noc poza domem, wykradała się do niego? Czy John i Melanie, para z parteru, wiedzieli o wszystkim? Marnuję sporo czasu na szukanie jego nowego adresu – na pewno dał nam nową wizytówkę – ale nigdzie go nie ma i fakt ów robi na mnie piorunująco złowieszcze wrażenie, które potęguje się, gdy przestaję. (Co bym zrobił, gdybym znalazł ten świstek? Zadzwoił do niego? Odwiedził i sprawdził, czy ma towarzystwo?)

Zaczynam przypominać sobie różne rzeczy: jego drelichowe spodnie; jego muzykę (afrykańską, latynoską, bułgarską czy co tam akurat z etnicznych gówien było modne w danym tygodniu); jego histeryczny, nerwowy i działający na nerwy śmiech; jego kuchenne odory, które zatruwały całą klatkę schodową; gości, którzy siedzieli do późna, pili do upadłego i hałasowali wychodząc; i stwierdzam, że nie potrafię powiedzieć o nim nic dobrego.

Udaje mi się zablokować najgorsze, najboleśniej i najbardziej niepokojące wspomnienie do chwili, kiedy kładę się spać i słyszę kobietę mieszkającą teraz na górze, tupiącą buciorami po podłodze i trzaskającą drzwiami garderoby. To, o czym myślę, to najpotworniejsza z rzeczy, rzecz, która u każdego (każdego mężczyzny?) w moim położeniu wywołuje falę najzimniejszych i najbardziej lepkich potów: słyszeliśmy, jak Ian uprawia seks. Słyszeliśmy, jak hałasował; słyszeliśmy, jak hałasowała ona (a Ian miał dwie czy trzy partnerki w czasie, gdy nasza trójka – czwórka, jeśli liczyć tego kogoś z jego łóżka – oddzielona była od siebie

kilkoma zaledwie metrami kwadratowymi trzeszczącej podłogi i łuszczącej się farby).

„Długo wytrzymuje”, zauważyłem którejś nocy, gdy oboje z Laurą leżeliśmy, gapiąc się w sufit. „Szkoda, że nie ze mną”, rzuciła bezmyślnie Laura. To był żart. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Cha, cha, cha – śmiałyśmy się. Cha, cha, cha. Teraz mi nie do śmiechu. Nigdy przedtem żaden żart nie napawał mnie takim obrzydzeniem, nie wywołał takiej paranoi, nie pozbawił resztek poczucia bezpieczeństwa i nie wniósł do mego życia tyle żalu, rozpaczy i wątpliwości.

Gdy kobieta opuszcza mężczyznę i mężczyzna staje się nieszczęśliwy (bo owszem, wreszcie po odrętwieniu i głupim optymizmie i wzruszaniu ramionami w stylu „kogo-to-obchodzi”, stałem się nieszczęśliwy – choć wciąż marzę o zdjęciu na okładce nowego albumu Marie)... to dzieje się tak przez seks? Czasami tak myślę, a czasami nie. Doświadczyłem już czegoś podobnego, kiedy Charlie odeszła z Marco, wyobrażałem ich sobie, wyobrażałem ich sobie wtedy, widziałem twarz Charlie wykrzywioną rozkoszą i namiętnością, której nie potrafiłem jej dać.

Wypada mi powiedzieć, choć wcale tego nie chcę (Boże! uwielbiam się dołować, uzalać nad sobą, celebrować własną niedoskonałość – jak każdy w takich razach), że według mnie wszystko było okay w Sprawie Seksu. Według mnie. Ale wracając do Charlie i związanych z nią koszmarów: kiedy odeszła, zamieniła się w seksualnego potwora, zapamiętującego się i wyjącego w ekstazie, niczym tuzin gwiazd filmów porno. Stała się igraszką w łapach Marco, na

każdy jego dotyk odpowiadała wrzaskiem orgiastycznej rozkoszy. Żadna kobieta w dziejach świata nie miała bardziej udanego życia erotycznego niż Charlie ujeżdżana przez Marco. W mojej głowie.

Ale to nic w porównaniu z tym, wobec czego stanąłem teraz. Śmieszne bzdury bez pokrycia w rzeczywistości. Gdybym opierał się na namacalnych faktach, mógłbym dojść do wniosku, że Marco i Charlie nigdy nie skonsumowali swojego związku, a moja była dziewczyna spędziła całą minioną dekadę, próbując – bezskutecznie zresztą – odwzorować w pamięci cichą, nierzucającą się w oczy ekstazę nocy spędzonych ze mną. Sprawa z Laurą wygląda zupełnie inaczej. Wiem – ze słyszenia – że Ian jest demonicznym kochankiem. Laura także o tym wiedziała. Słyszałem go; ona także go słyszała. Mówiąc szczerze, wkurwiało mnie to; myślałem, że ją też wkurwia. Teraz nie jestem już taki pewny. Czy dlatego odeszła? Bo chciała doświadczyć trochę z tego, co działo się na górze?

Naprawdę nie wiem, dlaczego ma to takie znaczenie. Być może Ian wysławia się ładniej ode mnie, lepiej gotuje, pracuje, sprząta w domu, oszczędza pieniądze, zarabia pieniądze, wydaje pieniądze, rozumie książki i filmy; może jest miłszy ode mnie, przystojniejszy, inteligentniejszy, czystszy, bardziej wspaniałomyślny, pomocny, słowem: przewyższa mnie jako istota ludzka pod każdym względem... I co z tego? Zupełnie mi to nie przeszkadza. Naprawdę. Zgadzam się i rozumiem, że ktoś jest we wszystkim dobry, podczas gdy ja wykazuję tragiczną niekompetencję w wielu żywotnych dziedzinach. Ale seks to co innego. Świadomość,

że mój następcą jest lepszy ode mnie w łóżku, staje się nie do zniesienia, i nie mam pojęcia dlaczego.

Wiem wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że to idiotyczne. Wiem, na przykład, że najlepszy stosunek płciowy, jaki odbyłem w życiu, okazał się bez znaczenia; najlepszy stosunek płciowy odbyłem z dziewczyną imieniem Rosie, z którą spałem tylko cztery razy. To za mało (mam na myśli najlepszy stosunek płciowy, a nie cztery razy, których było i tak za wiele). Rosie doprowadzała mnie do szaleństwa (nie mówię teraz o seksie), ja doprowadzałem ją do łez, a to, że mieliśmy akurat talent do jednoczesnych orgazmów (które, według mnie, oznaczają udany stosunek płciowy, bez względu na to, co dr Ruth mówi o dzieleniu się uczuciem, trosce o partnera, rozmowach do poduszki, zmianie pozycji i kajdankach) w ogóle się nie liczy.

Więc dlaczego robi mi się niedobrze na samą myśl o „łanie” i Laurze? Dlaczego przejmuję się tak bardzo tym, jak długo może to robić Ian i jak długo mogę to robić ja, i jakie odgłosy wydawała z siebie, gdy była ze mną, a jakie gdy była z nim? Czy wszystko sprowadza się do tego... że przypominam sobie, ba! wciąż słyszę Chrisa Thompsona, tego oszalałego od testosteronu neandertalczyka i cudzołożnika z czwartej klasy, który nazywa mnie pokurczem i informuje, że właśnie przeleciał mi panienkę. Czy to przez jego głos tak mi źle...

W nocy śni mi się jeden z tych koszmarów, które wcale nie są snami... widzę, jak Laura pierdoli się z Rayem, a Marco wali Charlie, i z ulgą budzę się przed świtem, bo to

oznacza, że już nie śnię. Ulga trwa zaledwie kilka sekund i wszystko zaczyna się od nowa: wiem, że gdzieś Laura naprawdę pierdoli się z Rayem (może niezupełnie o tej porze, bo jest już 3. 56 – choć znając jego wytrzymałość, niezdolność do osiągania orgazmów, cha, cha, cha, nigdy nic nie wiadomo), a ja jestem tutaj, w tym idiotycznym, małym mieszkanku, zupełnie sam; wiem, że mam trzydzieści pięć lat, prowadzę podupadający interes, a moi przyjaciele wcale nie są przyjaciółmi, tylko ludźmi, których numerów telefonu jeszcze nie zgubiłem. I gdybym teraz zasnął i spał przez czterdzieści lat, i obudził się bez zębów przy dźwiękach muzyki z Melody Radio w domu starców, wcale bym się nie zmartwił, bo najgorsze, co mogło mnie spotkać, to znaczy resztę życia, miałbym już za sobą. I nie musiałbym nawet popępniać samobójstwa.

Zaczyna mi świtać w głowie, jak ważne w życiu jest to wszystko, co nie dotyczy nas bezpośrednio, co dzieje się gdzieś z boku, w mieście czy na ulicy. Fajnie byłoby mieć jakąś odskocznnię od codzienności i nie skazywać się na wegetację. Gdybym mieszkał w Bośni, brak dziewczyny nie byłby dla mnie tragedią, tak jak tutaj, w Kanapowym Zaułku. Trzeba mieć jakiś balast, żeby nie popłynąć; trzeba mieć wokół siebie ludzi, sprawy ważniejsze od kichania, bo w przeciwnym razie życie staje się jak film, któremu obcięto budżet, bez dekoracji, bez plenerów i bez statystów; zostaje tylko jeden facet, który gapi się w kamerę i nie wie, co robić, nie wie, co powiedzieć. I kto uwierzy w taką postać? Muszę zgromadzić wokół siebie więcej spraw, więcej rzeczy, więcej detali, bo w tej chwili grozi mi, że stoczę się w otchłań.

„Ma pan coś dla ducha?" – pyta mnie klientka nazajutrz. To zależy – chcę jej odpowiedzieć. Czasami tak, czasami nie. Parę dni temu byłem całkiem pusty; dzisiaj mam tego całe garści, więcej niż potrzebuję. Żałuję tylko, że tak nierówno mi się to układa, chcę jej powiedzieć, wolałbym mieć większą równowagę w tej materii, ale chyba nie jestem w tym za dobry. Widzę, że nie jest ciekawa, czy bilans mojej duszy wykazuje superatę czy manko, pokazuję więc stelaż z muzyką soul i mówię: – Obok wyjścia, przy bluesie.

Sześć

Dokładnie tydzień po odejściu Laury dzwoni do mnie jakaś kobieta z Wood Green i mówi, że ma kolekcję singli, które mogą mnie zainteresować. Zazwyczaj nie zawracam sobie głowy sprzątaniem cudzych domów, ale wydaje mi się, że telefonująca pani wie, o czym mówi: bąka coś o białych krukach i okładkach, i wielu innych rzeczach, z których można wnosić, że nie mówimy o półtuzinie porysowanych płyt Electric Light Orchestra zostawionych jej w spadku przez dorosłego syna.

Dom jest olbrzymi, wygląda jak rezydencja, która przez pomyłkę trafiła do Wood Green z zamożniejszej części Londynu. Właścicielka nie jest zbyt miła. Ma dobrze po czterdziestce, sztuczną opaleniznę i podejrzenie spiętą twarz; i choć ubrana jest w dżinsy i podkoszulek, na spodniach widnieje nazwisko jakiegoś Włocha tam, gdzie normalnie prezentuje się pan Wrangler czy pan Levi, a przód koszulki ozdobiony jest mnóstwem opalizujących kamyczków układających się w znak CND.

Nie uśmiecha się, nie proponuje mi kawy ani nie pyta, czy bez trudu znalazłem dom, choć w marznącej mokrej mżawce nie mogłem rozłożyć planu miasta. Wprowadza mnie tylko do pracowni położonej na końcu holu i pokazuje single – całe setki singli poukładane w drewnianych, robionych na zamówienie stelażach, stojących na najwyższej półce. Potem wychodzi, zostawiając mnie sam na sam z płytami.

Na półkach stojących wzdłuż ścian nie ma ani jednej

książki: same albumy, płyty kompaktowe, kasety i sprzęt hi-fi; na kasetach są małe, ponumerowane naklejki – znak, że mamy do czynienia z osobą poważną. Jest tu też kilka gitar opartych o ściany i jakiś komputer, który wygląda na instrument produkujący dźwięki, jeśli akurat przyjdzie komuś na to ochota.

Wchodzę na krzesło i zaczynam zdejmować stelaże z singlami. Jest ich siedem czy osiem i, choć staram się nie sprawdzać zawartości i odstawiam je na podłogę, zauważam, że w ostatnim pierwszą z brzegu płytką jest *SP* Jamesa Browna wydany przez King – trzydziestoletni rarytas, który sprawia, że zaczynam drżeć z podniecenia.

Rozpoczynam staranne przeglądanie singli i z miejsca stwierdzam, że wpadł mi w ręce łup, o jakim zawsze marzyłem, odkąd tylko zacząłem zbierać płyty. Są tu single Beatlesów wydawane jedynie przez fankluby, sześć pierwszych singli The Who, oryginały Elvisa z początku lat sześćdziesiątych i wiele bluesowych i soulowych rarytasów i... tak! – egzemplarz *God Swe The Queen* Sex Pistols wydany przez A&M! Nigdy przedtem nie widziałem tej płyty! Nawet nie znam nikogo, kto ją widział! I jeszcze... o nie, o nie, o nie, o Boże! – piosenka „You Left The Water Running” Otisa Reddinga wydana siedem lat po jego śmierci i natychmiast wycofana z rynku po skardze wdowy, która...

– Co pan o tym sądzi? – Stoi oparta o framugę, ze złożonymi na piersi rękoma, i uśmiecha się lekko, widząc moją głupią minę.

– To najlepsza kolekcja, jaką w życiu widziałem. – Nie mam pojęcia, na ile mógłbym ją wycenić. Zbiór z pewnością

wart jest sześć, siedem patyków i ona to wie. Ciekawe, skąd wezmę tyle pieniędzy?

– Da mi pan pięćdziesiąt funtów i może je pan zabrać jeszcze dzisiaj.

Patrzę na nią. Znaczący się: przeszliśmy do Krainy Żartów i Fantazji, gdzie małe, czerstwe staruszki płacą grube pieniądze za wywiezienie z domu mebli chippendale. Z tym że ta nie jest małą, czerstwą staruszką i doskonale wie, że to, co ma w chacie, warte jest o wiele więcej niż pięćdziesiąt funtów. Co się dzieje?

– Czy to kradzione?

Wybucham śmiechem. – Musiałabym bardzo potrzebować pieniędzy, żeby taszczyć to przez czyjeś okno, a potem pozbywać się wszystkiego za pięćdziesiąt funtów. Nie, płyty należą do mojego męża.

– A pani obecnie nie jest z nim w najlepszych stosunkach?

– Wyjechał do Hiszpanii z dwudziestotrzylatką. Przyjaciółką mojej córki. Miał kurewską czelność zadzwonić do mnie stamtąd i prosić "O pożyczkę, a kiedy odmówiłam, kazał mi sprzedać wszystkie single i przysłać mu czek na sumę, jaką uda mi się uzyskać, minus dziesięć procent prowizji dla mnie. Dobrze, że sobie o tym przypomniałam: chciałabym dostać od pana banknot pięciofuntowy. Oprawię go i powieszę na ścianie.

– Pani mąż... zbierał te płyty bardzo długo...

– Latami. Nawiasem mówiąc, to jego jedyne osiągnięcie.

– Czym się zajmuje?

– Nazywa siebie muzykiem, ale... – wydaje prychnięcie

pełne niewiary i pogardy – ... żyje moim kosztem, jak pijawka. Siedzi na swoim tłustym tyłku i gapi się na płyty.

Wyobraźcie sobie, że wracacie do domu... z Hiszpanii... i stwierdzacie, że małżonka sprzedała wasze single Elvisa, wasze single Jamesa Browna, wreszcie wasze single Chucka Berry'ego za bezcen. Co byście zrobili? Co byście powiedzieli?

– Proszę mnie posłuchać... chciałbym zapłacić godziwą cenę. Nie musi mu pani mówić, ile dostała. Pośle mu pani te czterdzieści pięć funtów, a resztę przepuści albo da biednym. Coś w tym stylu.

– Zrobię dokładnie to, czego żąda. Dam mu popalić, ale uczciwie.

– Przepraszam... ale... nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Jak pan uważa. Jest wielu innych, którzy zechcą.

– Taa, wiem. Dlatego usiłuję pójść na kompromis. Co pani powie na sto pięćdziesiąt funtów? Warte są ze cztery razy tyle.

– Sześćdziesiąt.

– Sto trzydzieści.

– Siedemdziesiąt pięć.

– Sto dziesięć. To moje ostatnie słowo.

– Nie wezmę ani pensa ponad dziewięćdziesiąt funtów.

– Oboje uśmiechamy się do siebie. Trudno wyobrazić sobie inne okoliczności, które mogłyby doprowadzić do takiej licytacji.

– Widzi pan, nie mogę wziąć więcej, bo stać go będzie na powrót do domu, co jest ostatnią rzeczą, jakiej pragnę.

– Przykro mi. Chyba musi pani porozmawiać z kimś

innym.

– Po powrocie do sklepu zaleję się łzami i przez miesiąc będę płakał jak dziecko, ale nie potrafię inaczej.

– W porządku.

Wstaję i zbieram się do wyjścia, a potem opadam na kolana: chcę po raz ostatni spojrzeć tęsknie na kolekcję.

– Czy mógłbym kupić od pani ten singel Otisa Reddinga?

– Jasne. Dziesięć pensów.

– Tak nie można! Dam pani za niego dychę grubszymi. Resztę forsy może pani przepuć.

– Okay. Robię to tylko dlatego, że zadał pan sobie wiele trudu przyjeżdżając tutaj. I dlatego, że ma pan zasady. Ale to koniec. Nie sprzedam panu singli pojedynczo.

Tak więc pojechałem do Wood Green i wracam z singlem „You Left The Water Running” w idealnym stanie, kupionym za dychę. Nieźle, jak na jeden dzień pracy. Barry i Dick będą pod wrażeniem. Gdyby jednak dowiedzieli się o Elvisie, Jamesie Brownie, Jerry Lee Lewisie, Pistolsach, Beatlesach i całej reszcie, przeżyliby natychmiastowy, zapewne groźny dla zdrowia psychicznego wstrząs traumatyczny, a ja musiałbym dać im urlop i...

Jak to się stało, że opowiedziałem się po stronie bohatera negatywnego? Faceta, który zostawił żonę, wziął dupę w troki i poleciał do Hiszpanii z jakąś nimfetką? Dlaczego nie potrafię wczuć się w rolę jego żony? Może powinienem wrócić do domu i opchnąć rzeźbę należącą do Laury komuś, kto rozwali ją w drobny mak, a tłuczniem wypcha sobie doniczki? Może dzięki temu poczułbym się lepiej? Wiem, że nie. Widzę tylko twarz tego faceta, gdy dostaje pocztą swój

żałosny czek i – choć wcale tego nie chcę – jest mi go rozpaczliwie i boleśnie żal.

Miło byłoby powiedzieć, że życie składa się z samych egzotycznych eskapad, jak ta do Wood Green. Niestety tak nie jest. Dick – tak jak obiecał – nagrywa mi pierwszy album Liquorice Comfits; Jimmy i Jackie Corkhill przestają się kłócić – na jakiś czas; mama Laury nie dzwoni, w przeciwieństwie do mojej, która stwierdza, że Laura miałaby dla mnie o wiele więcej szacunku, gdybym zaczął chodzić na kursy wieczorowe. Nasza rozmowa kończy się niepodpisaniem protokołu rozbieżności, przy czym ja trzaskam słuchawką. Razem z Dickiem i Barrym zamawiamy minibus do Putney i jedziemy Pod Białego Lwa zobaczyć Marie; nasze nazwiska istotnie są na liście gości. Przejazdżka kosztuje dokładnie piętnaście funtów, do czego trzeba dodać napiwek i dwa funty za kufel piwa. Biały Lew jest mniejszy od Laudera, dlatego jest raczej w połowie pełny niż w dwóch trzecich pusty. W środku panuje przyjemna atmosfera i gra nawet zespół wspomagający, prowadzony przez jakiegoś miejscowego – fatalnego – pieśniarza kompozytora, dla którego świat skończył się – niestety nie wybuchem, lecz piskiem – po „Tea For The Tillerman” Cata Stevensa.

Dobre wieści: 1. Nie płaczę podczas „Maleńka, kocham twój styl”, choć robi mi się trochę niedobrze. 2. Artystka wspomina o nas ze sceny: „Hej, czy to Barry, Dick i Rob tam w dole? Fajnie, chłopaki, że przyszliście”, po czym zwraca się do publiczności: „Byliście kiedyś w ich sklepie? Byliście w Championship Vinyl w Północnym Londynie? Jeśli nie, to

polecam". Publiczność odwraca się i spogląda na nas, a my patrzymy wstydliwie po sobie, przy czym Barry o mało nie zaczyna chichotać z podniecenia. Palant. 3. Wciąż chcę być na okładce jej płyty, choć dzisiaj rano byłem potwornie chory po nocy spędzonej na rozmyślaniach o Laurze przy butelce bananowego likieru, nad popielniczką pełną skrętów z wykruchów. (Czy to dobra wiadomość? Może zła... ? Ostateczny i kategoriyczny dowód na to, że oszalałem, choć pozostały mi resztki ambicji i Melody Radio nie jest moją jedyną wizją przyszłości.) Złe wieści: 1. Marie wprowadza na scenę kogoś, z kim śpiewa bis. Faceta. Dzieliącego się z nią mikrofonem w sposób, który nie przypada mi do gustu; śpiewającego chórki w „Miłość rani”; patrzącego na nią podczas śpiewania chórków tak, jakby stał przede mną w kolejce do zdjęcia na następny album. Marie wciąż przypomina Susan Dey, a facet – którego przedstawia: „T-Bone Taylor, najlepiej strzeżony sekret Teksasu” – wygląda jak przystojniejsza wersja Daryla Halla z duetu Hall and Oates, jeśli coś takiego można sobie wyobrazić. Ma długie, jasne włosy, wystające kości policzkowe i ponad dziewięć stóp wzrostu; ma też mięśnie (ubrany jest w sztruksową kamizelkę; bez koszuli) i głos, przy którym facet od reklam Guinnessa brzmi jak chórzysta przed mutacją; głos tak głęboki, że odbija się grzmotem od sceny i mknie przez salę niczym pocisk armatni.

Wiem, że moje seksualne poczucie własnej wartości nie wygląda teraz najlepiej; wiem też, że nie wszystkie kobiety uwielbiają długie, jasne włosy, wystające kości policzkowe i mięśnie; że czasami szukają szatynów średniego wzrostu o

mniej azjatyckich rysach i zwykłej muskulaturze... Ale co z tego! Wystarczy na nich spojrzeć! Susan Dey i Daryl Hall! Zaplątani w gołą linię melodyczną „Miłość rani”! Dziеляcy się śliną (no... prawie) przy mikrofonie! Dobrze, że włożyłem swoją ulubioną koszulę tego dnia, kiedy przyszła do sklepu. W przeciwnym razie nie miałbym szansy!

Nie ma innych złych wieści. Wystarczy.

Kiedy występ dobiega końca, podnoszę z ziemi kurtkę i zbieram się do wyjścia.

– Dopiero wpół do jedenastej – mówi Barry. – Wypijmy jeszcze po jednym.

– Sam sobie pij. Ja wracam. – Nie mam zamiaru pić piwa z kimś, kto nazywa się T-Bone Taylor, ale odnoszę wrażenie, że Barry jest nie od tego. Odnoszę wrażenie, że wypicie piwa z kimś takim jak T-Bone stałoby się dla Barry'ego wydarzeniem dekady.

– Nie chcę psuć ci wieczoru, ale wolałbym pojechać do domu.

– Nie zostaniesz nawet pół godziny?

– Raczej nie.

– Więc poczekaj minutę. Muszę iść się odlać.

– Ja też – mówi Dick.

Kiedy znikają, wychodzę szybko na dwór i zatrzymuję czarną taksówkę. Wspaniale jest mieć depresję: człowiek robi, co chce, i nikt nawet nie piśnie.

Czy to źle, że chcę posiedzieć w domu z własną kolekcją płyt? Zbieranie płyt to nie to samo co zbieranie znaczków, podkładek do piwa czy starych napastrków. Zbieranie płyt

to... cały świat, miłszy, brzydszy, okrutniejszy, spokojniejszy, bardziej kolorowy, bardziej ponury, bardziej wrogi i bardziej kochający od tego, w którym żyję. Jest tu historia, geografia i poezja, i mnóstwo innych rzeczy, których powinienem uczyć się w szkole – o muzyce nie wspominając.

Kiedy wracam do domu (dwadzieścia funtów z Putney do Kanapowego Zaułka, bez napiwku), robię sobie kubek herbaty, włączam słuchawki i przekopuję się przez wszystkie gniewne piosenki o kobietach napisane przez Boba Dylana i Elvisa Costella, a kiedy mam już dość, włączam koncertowy album Neila Younga. W głowie wibruje mi echo gitarowych sprzężeń. Kończę słuchanie Neila Younga i wędruję do łóżka, i gapię się w sufit, co nie jest już tak niewinną, rozmarzającą czynnością jak dawniej. To był żart, prawda? Ta cała historia z Marie... Kpiłem z samego siebie, łudząc się, że znajdę łatwe, bezbolesne przejście ku czemuś nowemu. Teraz to rozumiem. Rozumiem wszystko, gdy jest już za późno – jestem świetny w rozumieniu przeszłości. Gorzej z terażniejszością...

Spóźniam się do pracy i Dick ma dla mnie wiadomość od Liz. Mam zadzwonić do niej do pracy, natychmiast. Wcałe mi się nie chce dzwonić do niej do pracy. Liz pragnie odwołać nasze dzisiejsze spotkanie i wiem dlaczego, i nie mam zamiaru jej tego ułatwiać. Niech powie mi to prosto w oczy.

Każę Dickowi oddzwonić do niej i powiedzieć, że zapomniał, ale nie będzie mnie dzisiaj przez cały dzień – pojechałem na targi płytowe do Colchester i wracam dopiero

wieczorem na jakieś spotkanie. Nie, Dick nie ma numeru telefonu do Colchester. Nie, Dick nie sądzi, że zadzwonię do sklepu. Nie odbieram telefonów przez cały dzień. Tak na wszelki wypadek, bo mogłaby chcieć przyłapać mnie na kłamstwie.

Umówiliśmy się w Camden, w cichym pubie Youngsa przy Parkway. Przychodzę za wcześnie, ale mam przy sobie egzemplarz „Time Out”, więc siadam w rogu z piwem i orzeszkami i zastanawiam się, na co poszedłbym do kina, gdybym miał z kim.

Spotkanie z Liz nie trwa długo. Widzę, jak idzie w moją stronę – generalnie jest miła, ale jest też dosyć potężna i kiedy wpada w gniew, tak jak teraz, bywa przerażająca – i próbuję się uśmiechnąć, ale to nie pomaga, bo wściekła się do tego stopnia, że nie może przestać.

– Jesteś skurwiałym dupkiem, Rob – oznajmia, po czym odwraca się i wychodzi, a ludzie przy sąsiednim stole patrzą na mnie podejrzliwie. Czerwienię się, rzucam okiem na „Time Out” i upijam potężny łyk piwa, łudząc się, że kufel przesłoni purpurę na policzkach.

Oczywiście Liz ma rację. Jestem skurwiałym dupkiem.

Siedem

Przez kilka lat pod koniec poprzedniej dekady byłem didżejem w klubie w Kentish Town, i właśnie tam poznałem Laureę. Klub to za duże słowo, pracowałem w salce nad pubem, który przez sześć miesięcy cieszył się popularnością w pewnych londyńskich kręgach – reprezentowanych przez stosunkowo modnych, będących prawie na bieżąco i noszących czarne 501 i deemki młodych ludzi, którzy przemieszczali się stadami z rynku do Town & Country, do Dingwalls, Electric Ballroom i Camden Plaża. Byłem, jak sądzę, dobrym didżejem. W każdym razie ludzie wyglądali na zadowolonych: tańczyli, siedzieli do późna i pytali, gdzie mogą kupić płyty, które puszczałem. I co najważniejsze, wracali tydzień po tygodniu. Nazywaliśmy to miejsce klubem Groucho z powodu żartu Groucho Marxa, który powiedział, że nie wstąpiłby do żadnego klubu, który zgodziłby się przyjąć go na członka; później dowiedzieliśmy się, że gdzieś na West Endzie był inny klub Groucho, ale wtedy nikomu nie przyszło do głowy, by pomylić obydwie miejsca. Jeśli już mówimy o klubie, to pięcioma najpopularniejszymi zapychaczami parkietu w Groucho były: „It's A Good Feeling" Smokeya Robinsona i The Miracles; „No Blow No Show" Bobby'ego Blanda; „Mr Big Stuff Jean Knight; „The Love You Save" The Jackson Five; „The Ghetto" Donny'ego Hathawaya.)

Uwielbiałem, uwielbiałem tę robotę. Gdy patrzy się na salę pełną głów podskakujących w rytm muzyki, którą się

wybrało, człowiek przeżywa coś w rodzaju uniesienia, i przez sześć miesięcy popularności klubu byłem najszcześniejszą osobą na ziemi. Był to jedyny okres w moim życiu, kiedy naprawdę coś znaczyłem, choć później przekonałem się, że fałszywie pojmowałem swoją rolę, bo tak naprawdę znaczyłem nie ja, tylko muzyka, którą grałem: każdy, kto w zatłoczonej sali puszcza popularne płyty do tańca ludziom, którzy zapłacili, by ich posłuchać, czułby dokładnie to samo. W dzisiejszych czasach większe znaczenie przypisuje się muzyce tanecznej niż człowiekowi, nic więc dziwnego, że coś mi się pomyliło.

W każdym razie poznałem Laurę w samym środku tego szalonego okresu, latem 1987. Laura twierdzi, że była w klubie trzy czy cztery razy, zanim ją zauważyłem, i pewnie ma rację; Laura jest mała, chuda i ładna, przypomina trochę Sheenę Easton z czasów przedhollywoodzkich (choć wtedy Laura była twardsza od Sheeny Easton, miała na głowie jeża radykalnej prawniczki, nosiła ciężkie buty, a jej oczy wzbudzały strach swą bladoniebieską barwą), ale takich jak ona, a nawet ładniejszych, przychodziły setki, a kiedy patrzy się na tłum leniwym wzrokiem didżeja, człowiek zauważa tylko prawdziwe piękności. No więc za tym trzecim czy czwartym razem Laura podeszła do mojej małej estrady i przemówiła do mnie, i od razu mi się spodobała: poprosiła mnie o puszczenie piosenki, którą naprawdę uwielbiałem („Got To Get You Off My Mind” Solomona Burke'a, jeśli to kogoś interesuje), ale która czyściła parkiet zawsze gdy ją grałem.

– Byłaś tu, kiedy puszczałem ją poprzednio?

– Taa.

– No więc widziałaś, co się stało. Wszyscy zaczęli zbierać się do domu.

Mówimy o trzyminutowym singlu, który musiałem wyłączyć po minucie i kilku sekundach. Zamiast Solomona włączyłem „Holiday” Madonny. Od czasu do czasu korzystałem z nowych nagrań, głównie w sytuacjach kryzysowych, podobnie jak ludzie, którzy wierząc w homeopatię, muszą od czasu do czasu zażyć konwencjonalne lekarstwa, choć wątpią w ich skuteczność.

– Teraz będzie inaczej.

– Skąd wiesz?

– Bo przyprowadziłam połowę gości i postaram się, żeby tańczyli.

Więc puściłem tego singla i rzeczywiście Laura i jej ludzie stawili się na parkiecie, ale już po chwili zaczęli z niego schodzić, parami i pojedynczo, potrząsając głowami i śmiejąc się z własnej niemocy. Istotnie nie jest to najłatwiejsza piosenka do tańczenia: mówimy o niezbyt szybkim kawałku rytm and bluesa, z czymś w rodzaju rwącego się wstępu. Laura wytrwale wirowała na parkiecie i choć byłem ciekaw, czy dotrwa w dobrej formie do końca, wpadłem w panikę, widząc schodzących ludzi, i szybko puściłem „The Love You Save”.

Nie chciała tańczyć przy Jacksonach i podeszła do mnie marszowym krokiem, i z uśmiechem oznajmiła, że już nie będzie prosić mnie o Solomona. Chciała tylko zapytać, gdzie można kupić tę płytę. Odpowiedziałem jej, że jeśli przyjdzie w następnym tygodniu, przygotuję dla niej taśmę, co przyjęła

z widocznym zadowoleniem.

Poświęciłem wiele godzin na nagrywanie tej kasety. Dla mnie sporządzanie kompilacji jest jak pisanie listu – wymaga głębokiego zastanowienia, częstego wymazywania i zaczynania od nowa... a ta kaseca miała być szczególna, bo... mówiąc szczerze, odkąd zająłem się didżejką, nie spotkałem nikogo tak obiecującego jak Laura, a spotkanie obiecujących kobiet jest przecież częścią etosu didżeja. Zrobić dobrą taśmę kompilacyjną nie jest łatwo, podobnie jak nie jest łatwo dobrze rozstać się z chłopakiem. Trzeba zacząć przebojowo, od czegoś, co przyciągnie uwagę (wtedy zacząłem od „Got To Get You Off My Mind”, ale potem doszedłem do wniosku, że Laura może na tym poprzestać; jeśli od razu dam jej to, czego chce, wysłucha pierwszego kawałka z pierwszej strony, a potem rzuci kasetę w ką, dlatego ukryłem Solomona Burke'a w samym środku strony drugiej), a potem albo podnosić, albo studzić nastrój, w zależności od tego, jak się zaczęło; nie wolno mieszać białej muzyki z czarną, chyba że biała muzyka brzmi jak czarna; nie wolno nagrywać obok siebie dwóch numerów tego samego artysty, chyba że całą kasetę robi się parami; dalej... och, jest mnóstwo reguł.

Tak czy inaczej, kaseca dla Laury okazała się bardzo pracochlonna. Do tej pory znajduję w mieszkaniu wczesne demo tej taśmy – prototypy, które przestawały mi się podobać po pierwszym słuchaniu. Wreszcie w piątkowy wieczór, wieczór klubowy, Laura podeszła do mnie, a ja wyjąłem z kurtki to cudo. Od tego zaczęliśmy. Całkiem niezły początek.

Laura była, jest nadal, prawniczką, choć kiedy ją poznałem, była innym typem prawniczki niż teraz: w tamtych czasach pracowała dla instytucji służącej pomocą prawną najuboższym (stąd wziął się u niej – jak sądzę – zwyczaj chodzenia do klubów i ubierania się w skórzane, motocyklowe kurtki). Teraz pracuje w firmie adwokackiej w City (stąd – jak sądzę – wziął się u niej zwyczaj jadań w restauracjach i ubierania się w drogie kostiumy; stąd brak fryzury na jeża; stąd – poprzednio nieeksponowany – znużony sarkazm), lecz nie dlatego, że dokonała się w niej głęboka zmiana przekonań politycznych, ale z powodu redukcji etatów w instytucji obsługującej ubogich i braku perspektyw na znalezienie podobnej nisko płatnej pracy. Musiała wziąć posadę za czterdzieści pięć kawałków rocznie, bo nie mogła znaleźć żadnej poniżej dwudziestu. Powiedziała mi kiedyś, że jej sytuacja jest kwintesencją thatcheryzmu i podejrzewam, że miała rację. Kiedy dostała nową pracę, zmieniła się. Zawsze była zaangażowana, ale przedtem jej zaangażowanie znajdowało jakieś ujście: mogła się martwić o prawa mieszkańców czynszówek, mogła walczyć z właścicielami slumsów albo użalać się nad losem dzieci mieszkających w ruderach bez bieżącej wody. Teraz angażuje się po prostu w pracę – martwi się jej nadmiarem, stresem, w jakim działa, wynikami, tym, co myślą o niej współnicy i tak dalej, i tym podobne. A kiedy nie angażuje się w pracę, angażuje się w to, dlaczego nie powinna angażować się w pracę, czy przynajmniej w tę pracę, jaką przyszło jej wykonywać.

Czasami – choć ostatnio nieco rzadziej – udawało mi się

zrobić albo powiedzieć coś takiego, co pomagało jej uciec od siebie, i wtedy było między nami najlepiej; często skarżyła się na moją „wszechogarniającą trywialność”, ale sama przyznawała, że ma to swoje zalety.

Nigdy nie byłem w niej dziko zakochany i fakt ów budził moje wątpliwości co do naszych perspektyw: wydawało mi się – a biorąc pod uwagę to, jak skończyliśmy, chyba wciąż wydaje – że wszystkie związki powinny zaczynać się od mocnego kopa, jaki daje zakochanie, bo w końcu od czegoś muszą się zacząć, by pokonać wstępne meandry. Potem, kiedy energia kopa znika i nadchodzi pierwszy martwy okres, człowiek musi rozejrzeć się wokół siebie i sprawdzić, co mu zostało. Może to być coś zupełnie innego, może to być mniej więcej to samo – z tym że delikatniejsze i spokojniejsze – a może też nie być niczego.

Będąc z Laurą, zmieniłem na jakiś czas zdanie na temat tego procesu. Na początku nie było między nami nieprzespanych nocy, braku apetytu i pełnych udręki chwil wyczekiwania na telefon. Dawaliśmy sobie radę bez tego, a ponieważ nie traciliśmy pary, nie było potrzeby rozglądać się po tym, co mamy, bo to, co mieliśmy, było tym samym, co łączyło nas od początku. Nie wpadałem przez Laurę w rozpacz, nie przechodziłem załamań nerwowych, nigdy nie czułem się skrepowany w jej obecności. A kiedy poszliśmy do łóżka, nie spanikowałem i nie zrobiłem z siebie błazna – jeśli wiecie, o co mi chodzi, a sądzę, że tak.

Często wychodziliśmy, a ona co tydzień przychodziła do klubu, i kiedy wypowiedziano jej mieszkanie w Archway, przeprowadziła się do mnie, i wszystko było dobrze i trwało

tak całymi latami. Gdybym był tępy, zwałbym całą winę na pieniądze: kiedy Laura zmieniła pracę, okazało się, że ma ich aż za wiele; a kiedy ja straciłem robotę w klubie, a recesja spuściła na nasz sklep zasłonę zapomnienia, okazało się, że nie mam nic. Oczywiście takie sprawy bardzo komplikują życie i trzeba myśleć o wielu koniecznych zmianach, trzeba staczać batalie i wytyczać linie, których nie można przekroczyć. Ale tak naprawdę wcale nie chodziło o pieniądze. Chodziło o mnie. Jak powiedziała Liz: jestem dupkiem.

Dzień przed moim spotkaniem z Liz w Camden, Laura i Liz spotkały się gdzieś na obiedzie i Liz napadła na Laurę za Iana, a Laura wcale nie miała zamiaru bronić się, bo byłoby to jednoznaczne z napaścią na mnie, a Laura jest osobą wielce – choć czasami głupio – lojalną (ja na jej miejscu nie potrafiłbym się powstrzymać). Ale Liz posunęła się za daleko i Laura pękła i wylała z siebie całą prawdę o mnie, a potem obie popłakały sobie w ramionach i Liz ze sto albo i sto pięćdziesiąt razy przeproszała Laurę za niepotrzebne wyrywanie się z szeregu. Następnego dnia pękła Liz, próbowała się do mnie dodzwonić i wreszcie wpadła do pubu, i obrzuciła mnie wyzwiskami. Oczywiście to, co opisałem, to jedynie moje przypuszczenia. Niczego nie mogę być pewny, bo straciłem kontakt z Laurą, a spotkanie z Liz było krótkie i niezbyt pouczające. Z drugiej strony, nie trzeba się wcale wysilać, by domyślić się, co zaszło.

Nie wiem, co naprawdę powiedziała Laura, ale wyjawiała zapewne dwa – albo może wszystkie cztery – sekrety naszego

pożycia:

- 1) że sypiałem z inną, kiedy była w ciąży;
- 2) że mój romans był bezpośrednią przyczyną dokonania zabiegu;
- 3) że po aborcji pożyczyłem od niej dużą sumę pieniędzy, której do tej pory nie oddałem;
- 4) że krótko przed jej odejściem poinformowałem ją, iż nie jestem szczęśliwy w naszym związku i że może zacząć rozglądać się za kimś innym.

Czy robiłem i mówiłem te rzeczy? Owszem. Czy są jakieś okoliczności łagodzące? Raczej nie, chyba że wszystkie okoliczności (innymi słowy: kontekst) można za takowe uznać. Lecz zanim mnie osądzicie – choć zapewne już to uczyniliście – zróbcie sobie małą przerwę i zapiszcie na kartce papieru cztery najgorsze krzywdy, jakie wyrządziliście swojemu partnerowi, nawet jeśli – ba! szczególnie jeśli – partner o nich nie wie. Niczego nie ubarwiajcie ani nie próbujcie tłumaczyć. Po prostu napiszcie to, sprządźcie listę w słowach najprostszych z możliwych. Skończone? Okay, więc kto jest teraz dupkiem?

Osiem

– Gdzieżeś się, kurwa, podziewał? – pytam Barry'ego, gdy pojawia się w pracy w sobotni rano. Nie widziałem go od czasu koncertu Marie Pod Białym Lwem. Żadnego telefonu, żadnego wytłumaczenia, nic!

– Gdzieżem się, kurwa, podziewał? Gdzie, kurwa, ja się podziewałem? Boże, co z ciebie za dupek! – Tak brzmią wyjaśnienia Barry'ego. – Wybacz, Rob, wiem, że przechodzisz teraz trudny okres, masz problemy i tak dalej, ale wiesz... Szukaliśmy cię, kurwa, godzinami po koncercie...

– Godzinami? Więcej niż jedną? Może dwie? Albo półtorej? Wyszedłem o wpół do jedenastej, więc przestaliście szukać o wpół do pierwszej, tak? Przez ten czas doszedłbyś z Putney do Wapping.

– Pocałuj mnie w dupę.

Któraś dnia, może nie za tydzień ani za dwa, ale w dającej się przewidzieć przyszłości, ludzie przestaną zwracać się do mnie wplatając słowo „dupa” i jemu pokrewne w każde możliwe zdanie.

– Okay, wybacz, ale dam sobie głowę uciąć, że szukaliście mnie nie dłużej niż dziesięć minut, a potem poszliście na piwo z Marie i jej przydupasem... T-Bone'em...

Chryste, co za imię! Nie mogę zmusić się do powiedzenia „T-Bone”, nie zgrzytając przy tym zębami, tak samo jak wtedy, gdy przychodzi mi prosić o Wielgachnego Buffalo Billburgera, kiedy chodzi o zwykły ćwierćfuntowy stek, albo żądać czegoś, co Piekła Zawsze Mamuśka, kiedy chcę zjeść

szarlotkę.

– Nie o to chodzi.

– Dobrze się bawiliście?

– Było świetnie. T-Bone grał na dwóch albumach Guya Clarka i na jednej płycie Jimmiego Dale'a Gilmore'a.

– Niesamowite.

– Odpierdol się.

Cieszę się, że jest sobota, bo w sklepie panuje ruch (a przynajmniej to, co my nazywamy ruchem) i nie muszę rozmawiać z Barrym. Kiedy Dick robi kawę, wchodzę do magazynu, by poszukać starego singla Shirley Brown, i dowiaduję się od Dicka, że T-Bone grał na dwóch albumach Guya Clarka i na jednej płycie Jimmiego Dale'a Gilmore'a.

– I wiesz co? To naprawdę miły facet – dodaje oszołomiony faktem, że ktoś, kto wspiał się na takie wyżyny kariery w show-biznesie, jest w stanie zamienić kilka uprzejmych słów z facetem poznanym w pubie. Na tym kończą się moje przesłuchania personelu. Na szczęście w sklepie nie brakuje dziś chętnych do porozmawiania.

Faktem jest, że nasz interes odwiedza wielu ludzi, ale tylko niewielki procent odwiedzających kupuje cokolwiek. Najlepszymi klientami są ci, którzy po prostu muszą zafundować sobie płytę w sobotę, nawet jeśli nie mamy niczego interesującego. Ludzie tego pokroju czują się nieswojo, wracając w sobotę do domu bez małej, płaskiej firmowej torby. Po czym można poznać uzależnionych od winylu? Otóż winylomani – znudziwszy się przeglądaniem płyt w jednym stelażu – maszerują do zupełnie innej części sklepu, wyciągają na chybił trafił jakąś okładkę i podchodzą z

nią do kasy. Zachowują się tak dlatego, że przez cały czas sporządzają w głowie listę możliwych zakupów („Jeśli nie znajdę niczego przez następne pięć minut, wystarczy mi ta bluesowa kompilacja, którą widziałem pół godziny temu”) i często doprowadzają się do obłądu, tracąc czas na szukanie czegoś, co wcale ich nie interesuje. Dobrze znam to uczucie (w końcu sam jestem uzależniony i rozumiem współbraci w cierpieniu lepiej niż ktokolwiek inny): dokonawszy zakupu, człowiek wypada ze sklepu, czując swędzenie, lepkość pod pachami i panikę. Rusza przed siebie szybkim krokiem, próbując odtworzyć w głowie tę cześć dnia, która mu umknęła, często zabiera się do czytania działu zagranicznego lokalnej gazety, stwierdza nagłą potrzebę obejrzenia jakiegoś filmu Petera Greenawaya, słowem: pochłonięcia czegoś treściwego i sycącego, co zabije niesmak cukierkowej waty rozsadzający mu głowę.

Inni, których lubię, to ludzie, którzy chcą odnaleźć melodię niedającą im spokoju, przeszkadzającą im w życiu; melodię, którą słyszą we własnym oddechu, ścigając odjeżdżający autobus, albo w rytmie wycieraczek, kiedy wracają samochodem do domu. Czasami ich niepokój bierze się z banalnych i oczywistych powodów: usłyszeli coś w radiu albo w klubie. Niekiedy jednak ogarnia ich on, bo zaszło słońce i ujrzeli jakąś zjawiskową postać, i zaczynają nucić fragment piosenki, której nie słyszeli od piętnastu albo dwudziestu lat. Kiedyś przyszedł do mnie facet, który wyśnił sobie płytę – w całości, z muzyką, tytułem i wykonawcą. A gdy mu ją znalazłem (był to stary kawałek reggae „Happy Go Lucky Girl” Paragonsów) i pokazałem mniej więcej to samo,

co zobaczył we śnie, na jego twarzy pojawił się taki wyraz, że poczułem się nie jak sprzedawca w sklepie z płytami, ale jak położna albo malarz, słowem ktoś, kogo życie jest z zasady transcendentalne.

Dopiero w soboty można się przekonać, do czego są mi potrzebni dwaj pomocnicy. Dick jest tak cierpliwy, tak entuzjastyczny i tak delikatny, jak nauczyciel w klasach I-IV: sprzedaje płyty ludziom, którzy nie wiedzieli, że marzyli o nich przez całe życie. Dick intuicyjnie wyczuwa, czego im trzeba. Rozmawia z klientem, potem wrzuca coś na talerz, a w następnej chwili facet nieomal z roztargnieniem wyciąga piątała, jakby właśnie po to przyszedł. Natomiast Barry wymusza na klientach posłuszeństwo. Miesza ich z błotem, bo nie mają w swojej kolekcji pierwszego albumu Jesus and Mary Chain – kupują natychmiast; wyśmiewa się z nich, bo mimo upływu lat nie zdążyli jeszcze nabyć na własność *Blonde On Blonde* – wyciągają forszę; wreszcie parska niedowierzająco, dowiadując się, że nigdy nie słyszeli o Ann Peebles – klient wychodzi z przekonaniem, że Ann Peebles to mus! Koło czwartej, gdy sobotni ruch dobiega końca, zaczynam parzyć dla nas herbatę i pozwalam sobie na uśmiech zadowolenia, bo przecież to moja praca i wszystko idzie okay, i chyba jestem z nas dumny, i chyba podoba mi się sposób, w jaki wykorzystujemy z pożytkiem nasze maleńkie, swoiste talenty.

I kiedy zaczynam zamykać interes i zbieramy się, jak co sobotę, do wyjścia na drinka, jesteśmy znów bardzo szczęśliwi razem. Mamy w sobie zapas dobrej woli, która pozwoli nam przetrwać kilka następnych, pustych dni, by

wyczerpać się ostatecznie w kolejny piątek w porze lunchu. Jesteśmy w istocie tak zadowoleni, że w przerwie pomiędzy wyrzucaniem klientów a zamknięciem sklepu układamy listę pięciu najlepszych piosenek Elvisa Costella (stawiam na „Alison”, „Little Triggers”, „Man Out Of Time”, „King Horse” i piracką, merseybeatową w stylu wersję „Everyday I Write The Book”, którą mam gdzieś na taśmie; zapomniany urok tej ostatniej piosenki sprytnie równoważy oczywistość wyboru pierwszej, przez co nie daję Barry'emu okazji do zgryźliwych uwag na temat mojego smaku), bo po dąsach i kłótniach ostatniego tygodnia dobrze jest znów robić coś razem.

Lecz kiedy wychodzimy ze sklepu, na dworze czeka na mnie Laura oparta o pas ściany oddzielający nas od sąsiedniego sklepu z obuwem i przypominam sobie, że nie jest to niestety najbardziej beztroski okres w moim życiu.

Dziewięć

Sprawę z pieniędzmi można łatwo wyjaśnić: ona je miała, a ja nie, i chciała mi je dać. Działo się to wtedy, gdy od kilku miesięcy miała już nową posadę, a jej pensja urosła w sporą kupkę na koncie w banku. Pożyczyła mi pięć kawałków: gdyby tego nie zrobiła, poszedłbym na dno. Nie oddałem jej tej forsy, ponieważ nie byłem w stanie, a przez to, że się wyprowadziła i przespała z innym facetem, nie przybyło mi niestety pięciu tysięcy funtów. Tamtego dnia, kiedy dałem jej popalić przez telefon i powiedziałem, że spierdoliła moje życie, bąknęła coś o pieniądzach i spłacaniu długu w ratach, na co odparłem, że będę oddawał jej funta tygodniowo przez następne sto lat. Wtedy rzuciła słuchawkę.

Tak wygląda sprawa pieniędzy. Teraz jeśli chodzi o to, co powiedziałem na temat mojego niezadowolenia z naszego związku i możliwości rozejrzenia się za kimś innym: zmusiła mnie do wyrzucenia z siebie tego wszystkiego! Podstępem! Brzmi to idiotycznie, ale tak było. Odbywaliśmy właśnie debatę o stanie państwa, kiedy rzeczowo zauważyła, że przechodzimy obecnie dosyć pechowy okres, z czym się zgodziłem; zapytała czy kiedykolwiek przyszło mi do głowy, że mógłbym zacząć spotykać się z kimś innym, zaprzeczyłem, wtedy roześmiała się i powiedziała, że ludzie w naszym położeniu zawsze myślą o poznaniu kogoś nowego. Więc zapytałem ją, czy ona zawsze o tym myśli, na co odparła, że tak, i wtedy przyznałem, że ja również czasami

o tym marzę. Wówczas wydawało mi się, że nasza rozmowa ma charakter wymiany uwag dwojga dorosłych ludzi dzielących się spostrzeżeniami na temat niedogodności i słabych stron życia, i jest abstrakcyjną, dojrzałą analizą; teraz wiem, że tak naprawdę rozmawialiśmy o niej i Ianie, i przechytrzyła mnie, wymuszając dla siebie rozgrzeszenie. Była to sprytna prawnicza sztuczka, a ja dałem się złapać, bo – co tu dużo ukrywać – Laura jest bardziej przebiegła.

Nie wiedziałem, że jest w ciąży, przysięgam, że nie. Nie powiedziała mi o tym, bo wiedziała, że spotykam się z inną. (Wiedziała, że spotykam się z inną, bo sam jej o tym powiedziałem. Sądziłem, że jesteśmy dorośli, ale okazało się, że nasza dojrzałość ma absurdalnie naiwny charakter, infantylny nawet, bo wydawało nam się, że gdy jedno z nas stać na skok w bok, stać je również na przyznanie się do błędu wobec drugiego, które przejdzie nad tym do porządku dziennego.) Dowiedziałem się o tym znacznie później: przechodziliśmy właśnie szczęśliwy okres i pozwoliłem sobie na żart o robieniu dzieci, co słysząc, wybuchnęła płaczem. Wymusiłem na niej wyznanie i przyznała się do wszystkiego, na co zareagowałem krótkim i źle wymierzonym napadem głośnej hipokryzji (wiecie, co mówi się w takich razach: to było także moje dziecko! nie miałaś prawa! ple, ple, ple), ale jej pogarda i niedowierzanie kazały mi się zamknąć.

– Nie wyglądałaś wtedy na dobrą, długoterminową inwestycję – powiedziała. – Nie przepadałam za tobą. Nie chciałam mieć twojego dziecka. Nie chciało mi się myśleć o korowodach związanych z prawem do odwiedzin w

przyszłości. I nie miałam zamiaru zostać samotną matką. Decyzja nie była aż taka trudna. I nie było sensu o nic cię pytać.

Słuszne uwagi. Mówiąc szczerze, gdybym wówczas sam sobie sprokurował ciążę, dokonałbym aborcji dokładnie z tych samych przyczyn. Nie miałem nic na swoją obronę.

Później tego samego wieczoru – gdy przemyślałam sobie sprawę ciąży, wykorzystując nowe informacje będące w moim posiadaniu – zapytałam ją, dlaczego ze mną została.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– Bo zawsze byłam chwiejna i kiedy zaczęliśmy się spotykać, obiecałam sobie, że wytrzymam przynajmniej jedno nieszczęście, żeby sprawdzić, co będzie dalej. Dotrzymałam słowa. Poza tym było ci tak żałośnie przykro z powodu tej idiotycznej Rosie...

– Rosie: cztery sztosy, jednoczesny orgazm i prawdziwy kolec w dupie; spotykałem się z nią, kiedy Laura była w ciąży – ... że byłeś dla mnie miły przez stosunkowo długi czas, a tego właśnie potrzebowałam. Sprawy między nami zaszły bardzo daleko, Rob. Już choćby dlatego, że jesteśmy ze sobą od tak dawna. Nie chciałam niszczyć tego wszystkiego i zaczynać od nowa, chociaż zrobiłabym to, gdybym musiała. To tyle.

A dlaczego ja z nią zostałam? Na pewno nie z tak szlachetnych i dojrzałych pobudek jak te, które mi wyluszczyła. (Czy jest coś bardziej dojrzałego, niż podtrzymywanie rozpadającego się związku w nadziei, że wszystko się naprawi? Nigdy w życiu nie udało mi się osiągnąć takiego stopnia dorosłości.) Zostałem z nią, bo

nagle – na samym końcu bzykania Rosie – stwierdziłem, że Laura znów mi się podoba; wyglądało to tak, jakbym potrzebował Rosie do ujrzenia Laury w nowej, ciekawszej perspektywie. Myślałem, że wszystko już stracone (nie wiedziałem, że Laura eksperymentowała wówczas ze stoicyzmem). Widziałem, że przestaję ją interesować i starałem się jak głupi odzyskać jej uwagę, a kiedy wreszcie ją odzyskałem, skąpa, w jakiej interesowała mnie Laura, zaczęła wykazywać wartości ujemne. Rzeczy tego typu przytrafiają mi się bez przerwy – jak mniemam. Nie umiem sobie z tym poradzić. Rozważania te doprowadzają nas mniej więcej do terażniejszości. Kiedy wywali się z siebie taką żalną historię w jednym wielkim kawałku, nawet najbardziej krótkowzroczny palant i karmiący się złudzeniami, katujący rozpaczą, porzucony i cierpiący kochanek potrafi dostrzec, że mówimy tu o pewnych związkach przyczynowo-skutkowych i że aborcja, Rosie, Ian i pieniądze łączą się z sobą, mało tego: zasługują na siebie!

Dick i Barry pytają nas, czy pójdziemy z nimi do pubu na szybkie piwo, ale trudno sobie wyobrazić, że usiądziemy przy jednym stole i zaczniemy – jak dawniej – tarzać się ze śmiechu, wspominając klienta, który pomylił Alberta Kinga z Albertem Collinsem („Nie mrugnął nawet okiem, kiedy sprawdzał stan płyty i zobaczył nalepkę Staxa”, powiedziała Barry, potrząsając głową nad bezmiarem ludzkiej ignorancji), więc grzecznie odmawiam. Zakładam, że idziemy do domu, więc ruszam na przystanek, ale Laura ciągnie mnie za rękę i zawraca, każąc złapać taksówkę.

– Ja stawiam. Autobus linii dwadzieścia dziewięć nie ma już tego uroku, co kiedyś, prawda?

Słuszna uwaga. Poza tym mamy odbyć rozmowę, którą najlepiej przeprowadzić bez konduktora, psów, dzieci i grubasów z wielkimi torbami Johna Lewisa.

W taksówce raczej nie odzywamy się do siebie. Podróż z ulicy Siedmiu Sióstr do Kanapowego Zaułka trwa zaledwie dziesięć minut, ale tym razem przebiega w tak ponurej, napiętej i niezwyklej atmosferze, że zapamiętam ją do końca życia. Na dworze pada i jarzeniowe światła rzucają cienie na nasze twarze; taksówkarz pyta, czy udał nam się dzień, chrząkamy w odpowiedzi, a on zatrząskuje oddzielającą nas szybkę. Laura wygląda przez okno, a ja zerkam na nią ukradkiem, próbując odgadnąć, czy przejścia ostatniego tygodnia znalazły odzwierciedlenie na jej twarzy. Przycięła sobie włosy w ten sam sposób, co zwykle: bardzo krótko, krótko jak w latach sześćdziesiątych, jak Twiggy albo Mia Farrow, z tym że Laurze – i wcale się nie czepiam – jest w tej fryzurze o wiele lepiej niż im. To dlatego, że ma bardzo ciemne włosy, prawie czarne, i gdy są krótkie, oczy zajmują większą część jej twarzy. Laura jest bez makijażu – myślę, że to ze względu na mnie. W ten sposób najłatwiej może mi pokazać, jak jest zatroskana i roztargniona, słowem: jak nie ma głowy do pierdoł. Jest w tym pewien element symetrycznej harmonii: kiedy przed wielu, wielu laty obdarowywałem ją taśmą z kawałkiem Solomona Burke'a, nałożyła z tej okazji tony makijażu, znacznie więcej, niż zwykła nakładać na co dzień, i o wiele więcej, niż miała na sobie tydzień wcześniej, i wiedziałem – a przynajmniej

miałem taką nadzieję – że to dla mnie. Tak więc dostaje się tony na początku, żeby pokazać, jak wspaniale, obiecująco i ekscytująco wyglądają sprawy, a na końcu nic, żeby dać do zrozumienia, w jaki spadliśmy dół. Sprytnie, he? (Trochę później, gdy skręcamy w mój zaułek i zaczynam panikować, myśląc o bólu i cierpieniach podczas czekającej nas rozmowy, widzę samotną kobietę ubraną na sobotni wieczór, idącą spotkać się z kimś... przyjaciółmi, przyjaciółkami, kochankiem... Kiedy mieszkałem z Laurą, straciłem... co w zasadzie straciłem? Może tego kogoś, kto jechał autobusem, metrem albo taksówką i zbaczał z drogi, żeby spotkać się ze mną; może to lepsze ubranie, może ów wymyślniejszy makijaż i lekkie zdenerwowanie po drodze? Kiedy byłem młodszy, świadomość, że ktoś robi coś ze względu na mnie – nawet jeśli była to zwykła przejażdżka autobusem – napawała mnie żalną wdzięcznością. Gdy jest się z kimś stale, w ogóle się tego nie odczuwa. Laura chcąc mnie zobaczyć, musiała tylko odwrócić głowę albo przejść się z łazienki do sypialni, i nigdy nie zadała sobie trudu, żeby ubrać się elegancko z tej okazji. A kiedy przychodziła do domu, przychodziła dlatego, że było to również jej mieszkanie, a nie garsoniera kochanka. Gdy wychodziliśmy, czasami wkładała lepsze ciuchy, a czasami nie – w zależności od tego, dokąd szliśmy, co znów nie miało żadnego związku ze mną. Tak czy inaczej, mówię o tym wszystkim dlatego, że kobieta, którą ujrzałem z okna taksówki, dała mi natchnienie i pocieszenie zarazem: może nie jestem za stary, żeby nakłonić kogoś do podróży z jednej części Londynu do drugiej, może warto umówić się na następną randkę – jeśli w ogóle do niej

dojdzie – powiedzmy w Islington, po to by dziewczyna przejechała sobie trzy czy cztery mile z... powiedzmy Stoke Newington, za co będę jej wdzięczny z całego, udręczonego, trzydziestopięcioletniego serca.)

Laura płaci taksówkarzowi, a ja otwieram frontowe drzwi, zapalam światło i wpuszczam ją do środka. Za progiem przystaje i przegląda pocztę leżącą na parapecie – zwykle przyzwyczajenie, jak sądzę – i natychmiast wpędza się w tarapaty, bo przerzucając koperty, trafia na kolejne upomnienie za niezapłacony abonament telewizyjny wystawione na nazwisko Iana. Waha się przez sekundę, co wystarcza, bym pozbył się ostatniego cienia wątpliwości, i przez co robi mi się niedobrze.

– Możesz to zabrać ze sobą – mówię, nie mogąc się zmusić do spojrzenia na nią; ona zresztą też na mnie nie patrzy. – Oszczędzisz kłopotów poczcie. – Jednak wsuwa upomnienie między inne listy, a całość kładzie na parapecie razem z reklamowymi jadłospisami i kartami zniżkowymi na taksówki, po czym rusza na górę.

Jesteśmy w mieszkaniu i jej widok w tym miejscu sprawia niesamowite wrażenie. Osobliwie dziwne jest to, że stara się unikać robienia tego, co zawsze robiła po wejściu – co gorsza widać, że obmyśliła to sobie. Zdejmuje płaszcz: zawsze rzucała go na krzesło, ale nie dzisiaj. Dzisiaj trzyma płaszcz w ręku, co zmusza mnie do odebrania go od niej i rzucenia na krzesło.

Rusza do kuchni – chce nastawić wodę albo nalać sobie kieliszek wina – pytam więc uprzejmie, czy napije się herbaty, na co reaguje nie mniej uprzejmą prośbą o coś

mocniejszego. Kiedy znajduję w lodówce pół butelki wina, nie mówi mi, że butelka była pełna, kiedy odchodziła, i że było to jej wino. Teraz nie jest już jej, bo to nie ta sama butelka i tak dalej. Kiedy siada, wybiera fotel obok stereo – mój fotel – a nie jak zwykle ten przed telewizorem, gdzie zawsze siadała.

– Zrobiłeś już to? – Pokazuje brodą półki z płytami.

– Co? – Oczywiście wiem co.

– Wielką Reorganizację. – Słyszę w jej głosie duże litery.

– Ach tak. Któregoś wieczoru... – Nie chcę jej mówić, że zrobiłem to następnego wieczoru po jej odejściu, ale i tak obdarza mnie irytującym uśmieszkiem w stylu „Patrzcie państwo!”

– Co... ? – pytam. – Co to ma znaczyć?

– Nic. No... wiesz... Szybko ci to poszło.

– Nie sądzisz, że są ważniejsze rzeczy do omówienia niż moja kolekcja płyt?

– Owszem, Rob. Zawsze tak uważałam.

Zdaje się, że to ja miałem zachować moralną przewagę (bo przecież to ona sypiała z sąsiadem), ale póki co, nie potrafię nawet celnie odbić piłki.

– U kogo mieszkałaś przez ten tydzień?

– Chyba wiesz – odpowiada cicho.

– Nikt mi o niczym nie mówił, prawda?

Znów robi mi się niedobrze. Naprawdę niedobrze. Nie wiem, jak to wygląda na mojej twarzy, ale nagle Laura spuszcza z tonu: wygląda na zmęczoną i smutną, wpatruje się w jeden punkt, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Wybacz. Postąpiłam źle pod wieloma względami.

Byłam wobec ciebie nieuczciwa. Dlatego przyszedłam dzisiaj do sklepu. Pomyślałam, że czas wykazać się odwagą.

– Boisz się czegoś?

– Oczywiście. Czuję się potwornie. To... nie jest łatwe, sam wiesz...

– No tak...

Cisza. Nie wiem, co powiedzieć. Jest mnóstwo rzeczy, o które chciałbym zapytać, ale nie wiem, czy chce mi się słuchać odpowiedzi: Kiedy zaczęłaś spotykać się z Ianem? Czy to przez ten, no wiesz... sufit? Czy jest lepiej? (Co? mogłaby zapytać. Wszystko, odparłbym.) Czy to już jest definitywnie to, czy to tylko kolejna faza w twoim życiu? I wreszcie pytanie świadczące o tym, do jakiego stopnia pomieszało mi się w głowie: Czy tęskniłaś za mną choćby odrobinę? A potem: Kochasz mnie? Kochasz jego? Chcesz z nim zostać na zawsze? Chcesz mieć z nim dzieci? I znów: Czy jest lepiej? Czy jest lepiej? CZY JEST LEPIEJ?

– Czy to... z powodu mojej pracy?

Skąd mi się to wzięło? Jasne, że to nie przez pieprzoną pracę! Dlaczego o to pytam?

– Och, Rob... Oczywiście że nie.

Właśnie dlatego zapytałem. Bo jest mi siebie żal i potrzebuję taniego pocieszenia: chciałem usłyszeć „Oczywiście że nie” wypowiedziane z pełną pobłażania czułością, bo gdybym zadał jej Ważne Pytanie, mógłbym usłyszeć pełne zażenowania zaprzeczenie albo pełną zażenowania ciszę, albo pełne zażenowania wyznanie, a tego nie chcę.

– Naprawdę tak uważasz? Że odeszłam, bo twój zawód

nie ma charyzmy? Boże, za kogo ty mnie bierzesz? – Mówi to w bardzo miły sposób, tonem, który pamiętam z dawnych czasów.

– Sam nie wiem... Po prostu przyszło mi to do głowy.

– A co jeszcze przyszło ci do głowy?

– No... to co zwykle.

– A co jest zwykle?

– Nie wiem.

– W takim razie to nie może być to, co zwykle.

– Chyba nie.

Kolejna chwila ciszy.

– Dobrze ci jest z Ianem?

– Przestań, Rob! Nie bądź dziecinny.

– Uważasz, że to infantylne pytanie? Przecież mieszkasz z tym gościem. Chciałem wiedzieć, jak wam się udaje?

– Nie mieszkam z nim. Zatrzymałam się u niego na kilka dni, póki nie zastanowię się, co dalej. Posłuchaj, nikt trzeci nie miał wpływu na to, co popsulo się między nami. Doskonale o tym wiesz, prawda?

Zawsze tak mówią. Zawsze, zawsze twierdzą, że nie chodzi o kogoś trzeciego. Założę się o każde pieniądze, że gdyby Celia Johnson uciekła z Trevorem Howardem na końcu *Krótkiej znajomości*, powiedziała by mężowi, że nikt trzeci nie wchodził w grę. Tak brzmi pierwsze prawo miłosnej udręki. Wydaję z siebie dosyć odrażający i niestosownie komiczny odgłos parsknięcia, by wyrazić swoje niedowierzanie, a Laura o mały włos nie wybucha śmiechem, ale zmienia zdanie.

– Odeszłam, bo tak naprawdę nic już między nami nie

było, nie rozmawialiśmy nawet, a ja jestem w wieku, kiedy człowiek chce poukładać sobie pewne sprawy, co z tobą wydawało mi się niemożliwe, głównie dlatego, że nie dajesz sobie rady ze sobą. Tak się złożyło, że pojawił się ktoś inny i sprawy zaszły dalej niż powinny, więc doszłam do wniosku, że czas odejść. Nie mam pojęcia, co będzie dalej z Ianem. Pewnie nic z tego nie wyniknie. Może wreszcie dorośniesz i uda nam się poskładać to, co było? Może już nigdy nie spojrzę na żadnego z was? Nie wiem. Jedyne co wiem, to to, że nie mogę już tutaj mieszkać.

Znowu cisza. Dlaczego ludzie... mówmy szczerze: kobiety... zachowują się w ten sposób? Przecież to się nie opłaca! Po co robić bałagan, wzbudzać nadzieję, siać wątpliwości ponurym, szarym tekstem tam, gdzie powinien być ostry, przejrzysty obraz? Zgadzam się z tym, że trzeba mieć kogoś nowego po to, by zostawić za sobą to, co stare – człowiek musiałby być niesamowicie odważny i dojrzały, żeby zamykać coś, co po prostu się nie udaje. Ale nie wolno robić tego bez przekonania, tak jak teraz Laura. Kiedy zacząłem spotykać się z Rosie – kobietą od jednoczesnego orgazmu – postępowałem inaczej: Rosie stanowiła dla mnie jasną perspektywę, była tą, która przeprowadzi mnie bezboleśnie z jednego związku do drugiego, a to, że akurat tak się nie stało i Rosie okazała się katastrofą, to po prostu zwykły pech. Miałem przynajmniej w głowie wyraźnie nakreślony plan gry, a nie żadne tam „och-Rob-trzeba-mi-czasu”.

– To oznacza, że między nami jeszcze nie wszystko skończone, czy tak? Wciąż istnieje szansa, że będziemy

razem.

– Nie wiem.

– No więc jeśli nie wiesz, to jest szansa.

– Nie wiem, czy jest.

Chryste!

– Przecież właśnie to mówię. Jeśli nie wiesz, czy jest szansa, to znaczy, że jest szansa, prawda? To tak jakby ktoś zachorował i zabrali go do szpitala, gdzie lekarz mówi „Nie wiem, czy ma szansę na przeżycie”. Przecież to nie znaczy, że pacjent umrze na sto procent, prawda? To znaczy, że może przeżyć, nawet przy niewielkim prawdopodobieństwie wyzdrowienia.

– Chyba tak.

– Więc mamy szansę na to, że będziemy razem.

– Rob, przestań.

– Chcę wiedzieć, na czym stoję. Jakie mam szanse.

– Nie mam, do cholery, pojęcia, jakie masz, kurwa, szanse! Usiłuję ci tylko powiedzieć, że mam w głowie zamęt, że jestem nieszczęśliwa od lat, że wpakowaliśmy się w bagno i że spotykam się z innym. Reszta się nie liczy.

– Tak przypuszczam. Gdybyś jednak z grubsza oszacowała na czym stoję... byłoby mi lepiej.

– Okay, okay. Mamy dziewięćoprocentową szansę na to, że będziemy razem. Czy to wyjaśnia sytuację? – Ma już tego tak serdecznie dosyć i jest tak bliska łez, że zaciska oczy i mówi wściekłym, jadowitym szeptem.

– Chyba jesteś głupia.

Wiem w głębi duszy, że to nie ona jest głupia. Rozumiem – na pewnym poziomie pojmowania – że wszystko jest

możliwe. Ale co z tego? Wiecie, co jest najgorsze, gdy jest się odrzuconym? Brak kontroli. Gdybym mógł zdecydować o tym, kiedy i jak zostanę wywalony na zbity pysk, wtedy nie byłoby tak źle. Z drugiej strony to nie byłoby odrzucenie, prawda? Byłoby to rozstanie za obopólną zgodą. Byłyby to różnice co do kwestii muzycznych. Odejście od zespołu w celu rozpoczęcia kariery solowej. Wiem, jak niewiarygodnie i żałośnie infantylne było to domaganie się jasno określonego stopnia prawdopodobieństwa, ale chcąc odzyskać minimum kontroli nad sytuacją, nie mogłem zrobić nic innego.

Kiedy zobaczyłem Laurę przed sklepem, wiedziałem ze stuprocentową pewnością, że chcę mieć ją znowu. Wynika to zapewne z faktu, że to ona mnie rzuciła. Ponieważ nakłoniłem ją do przyznania, że mamy jeszcze szansę, moja sytuacja staje się łatwiejsza: jeśli nie będę musiał snuć się po mieście z wyrwą w sercu i wszechogarniającym poczuciem bezradności i rozpacz, dam sobie radę bez niej. Innymi słowy mówiąc: jestem nieszczęśliwy, ponieważ mnie nie chce; ale jeśli przekonam się, że chce mnie choć trochę, to wszystko jest ze mną w porządku, bo wtedy ja jej nie zechcę i spokojnie zabiorę się do szukania kogoś innego.

Wyraz, który maluje się w tej chwili na twarzy Laury, pamiętam doskonale z kilku ostatnich miesięcy: oznacza on nieskończenie wielką cierpliwość i bezsilną frustrację. To przykre, że wymyśliła ten wyraz właśnie dla mnie. Przedtem go nie potrzebowała. Wzdycha, zakrywa twarz dłońmi i spogląda na ścianę.

– Zacznijmy jeszcze raz: nie wykluczam, że uda nam się

złożyć to, co było. Jest na to szansa, niewielka, ale szansa.

– Wspaniale.

– Nie, Rob, wcale nie jest wspaniale. Nic nie jest wspaniale. Wszystko to wielkie gówno.

– Ale będzie inaczej, przekonasz się.

Potrząsa głową z widocznym niedowierzaniem. – Jestem zbyt zmęczona na tę rozmowę. Wiem, że nie powinnam cię o to prosić, ale... czy nie poszedłbyś do pubu i nie napił się z przyjaciółmi, a ja zostanę tu i poukładam sobie wszystko? Muszę to przemyśleć, a nie mogę myśleć w twojej obecności.

– Nie ma sprawy, jeśli pozwolisz mi zadać jedno pytanie.

– Okay, jedno.

– To głupio zabrzmiało.

– Nie szkodzi.

– Nie spodoba ci się.

– Po prostu... zapytaj.

– Czy jest lepiej?

– Czy co jest lepiej? Co ma być lepsze od czego?

– No... seks... właśnie... czy lepiej jest z nim?

– Jezu Chryste, Rob! Czy tylko to nie daje ci spokoju?

– Oczywiście że tak.

– Uważasz, że to takie ważne? Bez względu na to, co powiem?

– Nie wiem. – Bo tak jest.

– Cóż, odpowiedź brzmi: ja też nie wiem. Jeszcze tego nie zrobiliśmy.

Tak!

– Nigdy?

– Nie. Nie było mi to potrzebne.

– Wcześniej też nie? Kiedy jeszcze mieszka! na górze?

– Powtarzam: nigdy. Poza tym wtedy mieszkałam z tobą, pamiętasz?

Jest mi trochę wstyd i milczę.

– Spaliśmy razem, ale nie kochaliśmy się. Jeszcze nie. Jedno mogę ci powiedzieć na pewno: spanie z nim jest lepsze!

Tak! Tak! Fantastyczna wiadomość! Pan Truteń jeszcze jej nie bzyknął! Całuję ją w policzek i wychodzę do pubu spotkać się z Dickiem i Barrym. Czuję się jak nowo narodzony, choć nie ma we mnie dziecka. W istocie, czuję się tak dobrze, że trafiam prosto do łóżka Marie.

Dziesięć

FAKT: ponad trzy miliony mężczyzn w tym kraju spało z dziesięcioma lub więcej kobietami. I czy wszyscy są przystojni jak Richard Gere? Czy wszyscy są bogaci jak Krezus, czarujący jak Clark Gable, nadnaturalnie obdarzeni przez naturę jak Erroll Flynn i dowcipni jak Clive James? Nieee. To nie ma nic wspólnego z żadną z tych rzeczy. Może z pół tuzina z tych trzech milionów ma jeden bądź dwa z wymienionych atrybutów, co wciąż daje nam... trzy miliony, plus minus pół tuzina. Są to zwykli faceci. Jesteśmy zwykłymi facetami, bo nawet ja, nawet ja jestem członkiem tego ekskluzywnego, trzymilionowego klubu. Dziesięć to wcale nie jest dużo, jeśli jest się wolnym i ma się trzydzieści pięć lat. Dziesięć partnerek w czasie dwóch dekad aktywności seksualnej to stosunkowo kiepski wynik, jeśli się nad tym zastanowić: jedna partnerka co dwa lata, a gdy z którąś z nich strześliś tylko jednonocny numer, a numer ów przypadł w samym środku dwuletniej posuchy, to nie masz jeszcze kłopotów, ale trudno nazwać cię Pierwszoplanowym Facetem Z Drogim w twoim okręgu pocztowym. Dziesięć to niewiele, przynajmniej dla trzydziestoparoletniego kawalera. Nawet dwadzieścia to niedużo, gdy spojrzeć na to w ten sposób. Każda ponad trzydzieści daje ci, jak sędzę, pełne prawo wystąpienia u Oprah w programie o rozpuście.

Marie jest moją siedemnastą kochanką. „Jak on to robi?” – zapytacie. „Nosi fatalne swetry, daje popalić swojej byłej

dziewczyźnie, jest gburowaty, goły, zadaje się ze Skretyniałymi Muzycznymi Bliźniakami, a mimo to idzie do łóżka z amerykańską artystką płytową, która wygląda jak Susan Dey. O co tu chodzi?"

Przede wszystkim: nie dajmy się ponieść emocjom. Owszem, jest artystką płytową, ale nagrywa dla mieszczącej się w Blackpool firmy o dosyć ironicznej nazwie Hit Records. Ma kontrakt, który przewiduje, że sama sprzedaje płyty w przerwach koncertów w tak prestiżowych przybytkach, jak nocna speluna o nazwie Sir Harry Lauder. I o ile znam Susan Dey – mam chyba prawo tak twierdzić po blisko dwudziestoletniej znajomości – to ona pierwsza przyznałaby, że podobieństwo do Susan Dey w *LA Law* to nie to samo, co podobieństwo do... powiedzmy Vivien Leigh w *Przeminęło z wiatrem*.

Mimo to, owszem, noc z Marie jest moim największym tryumfem erotycznym, moim *sztosus mirabilis*. A wiecie, jak do niego doszło? Bo zadaję pytania, ot jak! Na tym polega mój sekret. Gdyby ktoś chciał wiedzieć, jak przewraca się siedemnaście kobiet lub więcej, na pewno nie mniej, powiedziałbym mu: zadawaj pytania. Ta metoda sprawdza się idealnie, dlatego że jest zaprzeczeniem wszystkiego, co powinienesz robić wedle zbiorowej mądrości mężczyzn. Na świecie wciąż jest tylu zacofanych, pyszałkowatych i egotycznych zadufków, że ktoś taki jak ja jawi się przy nich niczym powiew świeżości; co w połowie wieczoru przyznała sama Marie...

Nie miałem pojęcia, że Marie i T-Bone będą w pubie z Dickiem i Barrym; ten ostatni obiecał zapewne Amerykanom

prawdziwie angielską sobotę w mieście: pub, curry, nocny autobus i całą resztę. Tak czy inaczej, witam ich z zadowoleniem, choć wiecie, co myślę o T-Bonie. Jestem podkreślony po zwycięstwie nad Laurą, a ponieważ Marie widywała mnie do tej pory ponurego i niezbyt rozmownego, na pewno zdumiała się moją przemianą. I świetnie. Nieczęsto mam okazję pokazać się komuś jako osoba tajemnicza i ze wszech miar zastanawiająca.

Siedzą przy stole i piją ciemne w kufkach. Marie robi mi miejsce obok siebie, a ja czuję, że przepadłem, wpadłem po uszy, jak kto woli. Marie jest kobietą idącą na sobotnią randkę, tą, którą widziałem z taksówki, tą, która wzbudziła we mnie taki zapal. Odbieram gest Amerykanki jako maleńki, ale pełen znaczenia romantyczny tryumf: hej, przecież przysuwa się do mnie!

Wiem, że to żalotne, ale w tej samej chwili zaczynam się martwić, że Barry albo Dick – raczej Barry, bądźmy szczerzy – powiedział jej, gdzie byłem i co robiłem. Jeśli Marie dowie się o Laurze i o rozstaniu, jeśli pozna przyczynę mojego zagadkowego zachowania, przestanę ją interesować, a ponieważ prawdopodobnie w ogóle jej nie interesowałem poprzednio, znajdę się na potężnym minusie na jej skali zaciekawienia. Pomaluje sobie moją zniżkującą krzywą na czerwono.

Barry i Dick wypytują T-Bone'a o Guya Clarka; Marie najpierw słucha, a potem odwraca się do mnie i pyta konspiracyjnym szeptem, czy wszystko poszło dobrze. Skurwiałe gadulstwo Barry'ego!

Wzruszam ramionami.

– Chciała tylko zabrać parę rzeczy. Nic wielkiego.

– Boże, nienawidzę tego! Tego odbierania rzeczy. Sama przez to przeszłam tuż przed przyjazdem do Anglii. Pamiętasz tę piosenkę „Patsy Cline razy dwa”? Śpiewałam ją ostatnio. To o mnie i o moim byłym, i o tym, jak dzieliliśmy się płytami.

– Świetna piosenka.

– Dzięki.

– Napisałaś ją tuż przed przyjazdem do Anglii?

– Napisałam ją w drodze do Anglii. To znaczy tekst. Melodię miałam już wcześniej, ale nie wiedziałam, co z nią zrobić, dopóki nie wymyśliłam tytułu.

Zaczyna mi świtać, że T-Bone – jeśli wolno mi dolać oliwy do beczki – to cienki śledziu.

– Czy to dlatego przyjechałaś do Londynu? Dlatego że... no wiesz... musiałaś podzielić płyty i całą resztę?

– Aha. – Wzrusza ramionami, a potem myśli i wreszcie wybucha śmiechem, bo to „aha” opowiedziało całą historię i nie ma już nic do dodania, choćby chciała.

– Aha... złamał mi serce i nagle odechciało mi się mieszkać w Austin, więc zadzwoniłam do T-Bone'a, a on załatwił mi parę koncertów i mieszkanie... no i jestem.

– Mieszkasz z T-Bone'em?

Znów wybucha śmiechem, głębokim, nosowym śmiechem skierowanym wprost w piwo. – W życiu! T-Bone w życiu by ze mną nie zamieszkał. Zepsułabym mu styl. Poza tym nie chciałabym wsłuchiwać się w to, co wyprawia w sypialni. Jest mi to zbyt nieobojętne.

Jest sama. Ja jestem sam. Jestem samotnym mężczyzną

rozmawiającym z atrakcyjną, samotną kobietą, która przed chwilą przyznała się – albo i nie przyznała – do poczucia erotycznej frustracji. O mój Boże...

Jakiś czas temu, kiedy Dick, Barry i ja doszliśmy do wniosku, że w życiu liczy się tylko to, co się lubi, a nie to, czy nas lubią, Barry wpadł na pomysł kwestionariusza dla przyszłych partnerów, dwu – albo trzystronicowego testu wielokrotnego wyboru, obejmującego takie dziedziny, jak muzyka, film, telewizja, książki itd. Zadaniem testu było: a) zminimalizować konieczność odbywania niezręcznych rozmów; b) zapobiegać sytuacjom, w których facet idzie do łóżka z panienką i obudziwszy się rano, stwierdza, że wybranka ma w chacie wszystkie płyty Julio Iglesiasa. Pomysł bardzo nas rozbawił, ale Barry – jak to Barry – poszedł krok dalej i przygotował kwestionariusz, który następnie dał do wypełnienia jakiejś nieszczęsnej kobiecie, która wpadła mu w oko. Po chwili dostał nim w łeb. Mimo to w pomysłcie zawarta jest pewna istotna prawda, a brzmi ona tak, że rzeczy te mają znaczenie i nie ma sensu udawać, że czeka nas wspaniała przyszłość z kimś, kto zbiera zupełnie inne płyty niż my, a jego ulubione filmy nie odezwałyby się do naszych na przyjęciu.

Gdybym dał Marie taki kwestionariusz, nie walnęłaby mnie nim w głowę. Pojęłaby, na czym polega waga testu. Odbywaliśmy rozmowę, w której wszystko zająbiało się, nakładało na siebie, opadało na właściwe miejsce, odpowiadało sobie i zatrząskiwało się; rozmowę, w której nawet pauzy i znaki przestankowe kiwały zgodnie głowami. Nanci Griffith i Kurt Vonnegut, Cowboy Junkies i hip-hop,

Moje pieskie życie i Rybka zwana Wandą, Pee-Wee Herman i *Świat Wayne'a*, sport i meksykańskie potrawy (tak, tak, tak, nie, tak, nie, nie, tak, nie, tak)... Pamiętacie taką dziecięcą grę, która nazywała się „Pułapka na myszy”? Tę absurdalną maszynę Heatha Robinsona, którą trzeba było zbudować? Tę, w której srebrne kuleczki staczały się po pochylniach, ludziki wchodziły na drabiny, jedno uderzało w drugie i uruchamiało trzecie, aż wreszcie na końcu spadała klatka i więziła mysz? Otóż nasz wieczór przebiegał z taką właśnie oszalamiającą, żartobliwą precyzją: kiedy to w zasadzie wiesz, co się stanie, ale nie możesz uwierzyć, że do tego dojdzie, choć potem wszystko staje się jasne.

Kiedy zdałem sobie sprawę, że świetnie się bawimy, dałem jej czas do namysłu: gdy zapadała cisza, zaczynałem słuchać T-Bone'a opowiadającego Barry'emu, jakim człowiekiem na co dzień jest Guy Clark, ale Marie nie chciała zrezygnować i za każdym razem wracała na naszą nową, prywatną ścieżkę. Ruszamy z pubu do baru curry, a ja celowo zwalniam i zostaję z tyłu – jeśli chce, może o mnie zapomnieć. Nic z tego. Marie także zwalnia i dołącza do mnie. W barze siadam pierwszy – jeśli chce, może wybrać sobie miejsce z dala ode mnie. Nic z tego. Siada obok. Dopiero pod koniec wieczoru robię coś, co można zinterpretować jako propozycję: mówię Marie, że w zasadzie możemy wrócić do domów jedną taksówką. Jest to mniej więcej prawda, bo T-Bone mieszka w Camden, a Dick i Barry na East Endzie, więc nie wygląda to tak, jakbym nagiął do swoich potrzeb cały plan miasta. I nie wygląda to tak, jakbym proponował, że spędzę noc u niej w domu – jeśli

znudzi się jej moje towarzystwo, wystarczy, że wysiądzie z taksówki, spróbuje wcisnąć mi piątkę i machnie ręką na pożegnanie. Ale gdy dojeżdżamy na miejsce, pyta mnie, czy chcę się włamać do jej strefy wolnocłowej, na co odpowiadam twierdząco. I tyle.

Tyle. Jej chata przypomina moją chatę – jest pudełkowatym mieszkaniem na pierwszym piętrze w jednym z wielu trzypiętrowych domów w północnym Londynie. W istocie tak bardzo ją przypomina, że jest to przygnębiające. Czy naprawdę tak łatwo można powielić moje życie? Jeden szybki telefon do znajomej i znów jestem u siebie? Przez ponad dekadę starałem się zapaść korzenie i to wszystko na nic? Jedna rzecz jest inna: fatalna akustyka. W mieszkaniu nie ma książek, nie ma ściany z płytami i zbyt wielu mebli. Tylko sofa i fotel. Nie ma sprzętu hi-fi, jest za to mały radiomagnetofon i kilka kaset, z których część pochodzi od nas. I są jeszcze – dreszcz przechodzi mi po plecach – dwie gitary oparte o ścianę.

Marie wchodzi do kuchni, która w zasadzie mieści się w salonie. Można ją jednak odróżnić po tym, że przed nią kończy się dywan, a zaczyna linoleum. Wyjmuje lód i szkło (nie pyta mnie czy piję z lodem, ale to pierwszy fałszywy akord tego wieczoru, więc nie ma co narzekać) i siada obok mnie na sofie. Pytam ją o Austin, o ludzi i kluby; zadaję jej także mnóstwo pytań na temat jej byłego i, o dziwo, mówi o nim dobrze. Opisuje tło i swoją porażkę mądrze i szczerze – i nawet z odrobiną uszczypliwej autoironii – i już teraz wiem, dlaczego jej piosenki są tak ładne. Nie mówię dobrze o Laurze, a przynajmniej nie udaje mi się opisać jej z taką

głębią. Koloryzuję, wygładzam krawędzie i poszerzam marginesy. Mówię dużymi literami, żeby podkreślić szczegóły i nadać wszystkiemu większe znaczenie niż ma w rzeczywistości. Marie dowiaduje się ode mnie o Ianie (choć pomijam kwestię odgłosów z góry), o pracy Laury i paru innych rzeczach, ale nie mówię jej o aborcji, pieniądzach czy upierdliwych jak wrzód na dupie kobietach od jednoczesnego orgazmu. Odnoszę wrażenie – wyobraźcie sobie! – że zwierzam się jej: mówię cicho, powoli, z namysłem. Wyrażam żal, wyrażam się miło o Laurze i daję Marie do zrozumienia, że kryją się we mnie – jeśli dobrze podrapać – niezmierzone pokłady melancholii. Oczywiście to wszystko gównem prawda, sprzedaję jej komiksowy szkic przyzwoitego, wrażliwego faceta, co zresztą na jedno wychodzi, bo daje mi szansę na wymyślenie nowej rzeczywistości, w której chętnie bym zamieszkał, a poza tym sprawia, że Marie zaczyna mnie lubić.

Zupełnie zapomniałem, jak przechodzi się do następnego etapu, choć ciągle nie wiem, czy będzie następny etap. Pamiętam tylko te młodzieńcze zaczepki, kiedy to kładzie się rękę na oparciu sofy i pozwala jej opaść na ramię partnerki, albo przyciska nogę do jej uda; pamiętam udawanie twardziela z połowy moich lat dwudziestych, kiedy to patrzyłem im głęboko w oczy i pytałem, czy chcą zostać na noc. Teraz jednak żaden z tych chwytów nie pasuje do sytuacji. Co się robi, gdy ma się tyle lat, że powinno się wiedzieć, co robić? W końcu dochodzi do... – gdybyście chcieli się założyć, jak do tego doszło, nikt nie obstawiłby takiego rozwiązania – ... niezdarnego zderzenia na środku

salonu. Wstaję, by pójść do łazienki, mówi, że mi pokaże drogę, wpadamy na siebie, chwytam ją, całujemy się i wracam do krainy neuroz seksualnych.

Dlaczego, gdy znajdę się w takiej sytuacji, pierwszą rzeczą, jaka mi przychodzi do głowy, jest porażka? Dlaczego nie potrafię cieszyć się tym, co mam? Kiedy zadaje się takie pytania, sprawa jest już z góry przegrana: samoświadomość jest najgorszym wrogiem mężczyzny. Zaczynam zastanawiać się, czy zdaje sobie sprawę z mojej erekcji tak jak ja, a jeśli tak, to co o niej sądzi? Nie potrafię jednak skupić się na tym zmartwieniu – nie mówiąc już o tym, na czym istotnie powinienem się skupiać – bo natychmiast pojawiają się tysiące innych zmartwień i kolejny etap jawi mi się jako coś onieśmielająco nieprzekraczalnego, niewyobrażalnie przerażającego i absolutnie niemożliwego.

Spójrzcie na to wszystko, co może nie udać się mężczyznom. Mamy tu problem w-ogóle-nic-się-nie-dzieje, problem wszystko-dzieje-się-za-szybko, dalej wszystko-smętnie-opada-po-obiecującym-początku, potem rozmiar-nie-gra-rol-i-chyba-że-w-moim-przypadku i wreszcie nie-mogę-wyekspediować-towaru... A czym martwią się kobiety? Kawalkiem pomarańczowej skórki? Witamy w klubie. Czyta-poprzednia-miała-implanty? Ditto.

Cieszę się, że jestem facetem, chyba, ale czasami nie jestem szczęśliwy, będąc facetem pod koniec dwudziestego wieku. Czasami wolałbym być swoim ojcem. On nigdy nie musiał martwić się ekspedycją towaru, bo nie miał pojęcia, że trzeba ekspediować jakiś towar; nie musiał martwić się swoją

pozycją w gorącej setce mojej mamy, bo był pierwszym i ostatnim na liście. Szkoda, że o takich sprawach nie można pogadać z własnym ojcem.

Któregoś dnia może spróbuje: „Tato, czy musiałeś martwić się kiedykolwiek o orgazm partnerki w jego łożeczkowej albo (prawdopodobnie mitycznej) pochwowej postaci? A czy ty w ogóle wiesz, co to jest kobiecy orgazm? A co powiesz o punkcie G? Co w roku 1955 oznaczał zwrot „dobry w łóżku”, jeśli w ogóle coś oznaczał? Kiedy wprowadzono w Anglii seks oralny? Czy zazdrościsz mi życia erotycznego, czy może uważasz je za ciężką harówkę? Czy martwiłeś się kiedyś tym, ile wytrzymasz, czy w ogóle o tym wówczas nie myślałeś? Czy nie cieszysz się, że nie musiałeś kupować nigdy poradników kuchni wegetariańskiej, jako pierwszego kroku na uciążliwej drodze do czyichś majtek? Czy nie cieszysz się, że nigdy nie odbywałeś rozmowy pod hasłem „Może i jesteś na bieżąco, ale nie myjesz po sobie ubikacji”. Czy nie odczuwasz ulgi, wiedząc, że oszczędzono ci widoku rodzącej żony, którego nie oszczędza się współczesnym mężczyznom?” (Ciekawe, co by odpowiedział, gdyby jego pozycja społeczna, płęć i wrodzona nieśmiałość nie odebrały mu języka w gębie? Może usłyszałbym: „Synu, przestań jęczeć! W moich czasach nikt nie miał nawet pojęcia, co to jest „dobre walonko”, i choć myjesz kible i czytasz wegetariańskie przepisy, to i tak masz z życia więcej, niż było dane nam”. I miałby rację, bezsprzecznie.)

Niestety, nie odebrałem edukacji seksualnej tego rodzaju – mam na myśli tę, która zajmuje się punktami G i całą

resztą. Nikt nigdy nie powiedział mi, co jest ważne, nie wspomniał, jak zdejmować z godnością spodnie, ani co powiedzieć, kiedy nie ma się wzrodu, czy co oznaczało „dobry w łóżku” w roku 1975, 1985, nie mówiąc już o 1955. Czy dacie wiarę: nikt nigdy nie mówił mi o spermie, tylko o nasieniu – a to zasadnicza różnica. Z tego, co wiedziałem, te mikroskopijne kijanki po prostu wyskakiwały niewidzialnie z końca twojego czegoś, no i kiedy po raz pierwszy... dobra, nieważne, damy sobie z tym spokój. To katastrofalnie niekompletne ujęcie sprawy męskich organów płciowych wywołało u mnie wielki niepokój, zażenowanie i wstyd, i trwało dopóty, dopóki nie usłyszałem w barze Wimpy od jednego ze szkolnych kolegów (nawiasem mówiąc, a propos niczego konkretnego), że ślina, którą zostawił w szklance po coli, „wygląda jak logier” – ta enigmatyczna uwaga kazała mi myśleć gorączkowo przez tydzień, choć gdy ją wypowiedano, przytaknałem, rzecz jasna ze znawstwem. Naprawdę trudno jest wywnioskować z kilku kropeł obcej materii pływającej w szklance po coli, na czym polega zagadka życia, ale musiałem to zrobić i zrobiłem, czym warto się pochwalić.

Ale do rzeczy: stoimy i całujemy się, a potem siadamy i znów się całujemy, i moja jedna połowa mówi mi, żebym się nie martwił, a druga, że jest z siebie zadowolona i razem tworzą całość, w której nie ma miejsca na „tu i teraz”, na przyjemność ani na pożądanie, więc zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek cieszyłem się tym, co robię, mówię o wrażeniach fizycznych, a nie o fakcie, że to robię; zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest tak, że robię to, bo powinienem, a kiedy owa zaduma dobiega końca,

stwierdzam, że już się nie całujemy, ale ściskamy i przed oczami mam oparcie sofy. Marie odpycha mnie na wyciągnięcie ramion, by móc rozkoszować się moim widokiem, i zamiast pozwolić jej ujrzeć, jak tępo patrzę w przestrzeń, zaciskam mocno oczy, co natychmiast wyprowadza mnie z dołka, lecz jest zapewne błędem, bo daje jej do zrozumienia, że przez większą część życia czekałem na tę chwilę, a to z kolei może ją spłoszyć albo, co gorsza, doprowadzić do wniosków, których nie powinna wyciągać.

– Wszystko okay?

Kiwam głową. – U ciebie?

– Tak, na razie. Choć byłabym zawiedziona, gdybyśmy mieli na tym poprzestać.

Kiedy miałem siedemnaście lat, całymi nocami wyobrażałem sobie, że kobiety będą mówiły do mnie w taki sposób; teraz, gdy to robią, wywołują u mnie panikę.

– Na pewno nie poprzestaniemy.

– Świetnie. W takim razie zrobię nam coś do picia. Zostajesz przy irlandzkiej czy wolisz kawę?

Zostaję przy irlandzkiej. Będę miał wymówkę, jeśli do niczego nie dojdzie, albo jeśli dojdzie zbyt szybko i tak dalej, i tym podobne.

– Wiesz, myślałam, że mnie nie lubisz – mówi. – Jeśli nie liczyć dzisiejszego wieczoru, usłyszałam od ciebie wszystkiego dwa słowa i to w dodatku dziwaczne.

– Czy dlatego zainteresowałaś się mną?

– Taa, chyba tak.

– Wiesz, że to zła odpowiedź.

– Wiem, ale... jeśli facet jest wobec mnie jakiś dziwny,

zależy mi, żeby dowiedzieć się, o co chodzi, rozumiesz?

– I wiesz już?

– Nie. A ty?

Taa.

– Nie.

Wybuchamy radosnym śmiechem. Może jeśli będę się śmiał, uda mi się odwlec najgorsze. Mówi mi, że uważa, że jestem milutki – a słowa tego nikt nigdy wobec mnie nie użył – i uduchowiony, przez co, jak sędzę, chce mi dać do zrozumienia, że niewiele mówię i zawsze wyglądam na lekko wkurwionego. Mówię jej, że uważam, iż jest piękna – co w zasadzie nie mija się z prawdą – i utalentowana – tak, to mogę przyznać z ręką na sercu. Rozmawiamy w ten sposób przez chwilę, gratulując sobie samym szczęścia, a sobie nawzajem dobrego smaku, co jest zwykłą popocałunkową, a przedseksualną wymianą zdań – przynajmniej z tego, co wiem. Dziękuję Bogu za każde padające słowo, które kupuje mi czas.

Nigdy przedtem nie miały mną takie erotyczne drgawki. Denerwowałem się, jasne, ale nigdy nie miałem cienia wątpliwości, czy chcę doprowadzić sprawę do końca; teraz wystarczy mi w zupełności świadomość, że mógłbym doprowadzić wszystko do końca, gdybym chciał, lecz gdyby istniał jakiś sposób na obejście, zaliczenie podstępem następnej fazy – na przykład przez nakłonienie Marie do podpisania pod przysięgą zeznania stwierdzającego, że spędziłem z nią noc – zgodziłbym się nań bez wahania. W zasadzie trudno sobie wyobrazić, by dreszcz robienia tego przewyższał jakościowo dreszcz zdawania sobie sprawy, że

można to zrobić, i kto wie, czy moje podejście do seksu nie wyglądało zawsze w ten sposób? Może nigdy nie podobała mi się naga część seksu, tylko obiadowo-kawowy i wiesz-to-jest-tak-że-mój-ulubiony-film-Hitchcocka wstęp do uprawiania miłości, pod warunkiem jednak, że stanowi prawdziwą erotyczną preambułę, a nie bezsensowną gadkę i...

Kogo chcę oszukać? Wymyślam te bzdury tylko po to, żeby lepiej się poczuć. Kiedyś uwielbiałem seks, wszystko, co dotyczyło seksu, jego nagą i ubraną część, a gdy miałem akurat dobry dzień i sprzyjały wiatry, gdy nie byłem za bardzo pijany albo zmęczony, i gdy znajomość z partnerką osiągnęła właściwy etap (co oznacza: nie za wczesny, bo wtedy zjadały mnie nerwy, i nie za późny, bo wtedy śpiewałem bluesa „Tylko znowu nie to”), potrafiłem naprawdę nieźle kochać. (Przez co rozumiem... No właśnie, co przez to rozumiem? Nie wiem. Chyba brak skarg i zażaleń, ale w kulturalnym towarzystwie nigdy się takich nie słyszy, prawda?) Problem polega na tym, że minęły lata od ostatniej zwyżki formy. Co będzie, jeśli zacznie się śmiać? Co będzie, jeśli głowa zapłacze mi się w sweter? Z tym swetrem wszystko jest możliwe. Z jakichś nieodgadnionych przyczyn po praniu zniknęło jedynie wycięcie i nic poza tym. A może głowa tyje mi szybciej od całej reszty? Gdybym wiedział dziś rano, że... a zresztą nieważne.

– Muszę lecieć – mówię. Nie miałem pojęcia, że to powiem, ale kiedy słyszę te słowa, wszystko nabiera nagle sensu. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem?! Fantastyczny pomysł! Muszę lecieć do domu! Nie trzeba się kochać, jeśli

się nie chce! Jaki ze mnie dorosły!

Marie spogląda na mnie. – Kiedy mówiłam, że chyba na tym nie poprzestaniemy, miałam nadzieję na... no wiesz... śniadanie i te rzeczy. Nie chodziło mi o kolejną whisky i następne dziesięć minut pierdolenia bez sensu. Chciałabym, żebyś został na noc.

– Och... – jąkam się. – Och, no tak.

– Jezu, czas skończyć z tym owijaniem w bawełnę. Kiedy następnym razem zaproszę tutaj faceta na noc, zrobię to po amerykańsku. Wydawało mi się, że wy Anglicy jesteście mistrzami niedopowiedzenia, bicia piany i całego jazzu...

– Korzystamy z tego, ale nie rozumiemy, gdy ktoś stosuje tę broń wobec nas.

– No więc czy wyraziłam się jasno? Wolałabym nic więcej nie mówić, bo mogę wyrazić się naprawdę wulgarnie.

– Tak, wszystko w porządku. Pomyślałem tylko, że... no wiesz... sprawdzę co i jak.

– I wiesz już co i jak?

– Taa.

– I zostaniesz?

– Taa.

– Świetnie.

Trzeba być geniuszem, żeby dokonać tego, czego właśnie dokonałem. Miałem szansę uciec i spieprzyłem wszystko; jednocześnie wykazałem się absolutnym brakiem jakiegokolwiek wyrafinowania w trudnym procesie prowadzenia zalotów. Dziewczyna w miły, seksowny sposób daje mi do zrozumienia, żebym został na noc, a ja każę jej wierzyć, że puściłem wszystko mimo uszu, tym samym stając

się w jej oczach osobą, z którą na pewno nie chciałyby się przespać. Cudownie!

Tym bardziej cudownie, że na tym kończy się czkawka. Odbywamy zwykłą rozmowę o produktach przemysłu gumowego: mówię jej, że niczego nie zabrałem, na co wybucha śmiechem i stwierdza, że byłaby zdumiona, gdybym zabrał, po czym dodaje, że chyba ma coś w torbie. Oboje wiemy, o czym mówimy i dlaczego, więc nie kontynuujemy tematu. (Przecież nie trzeba, prawda? Jeśli idziesz do kibla i prosisz kogoś o papier toaletowy, nie mówisz mu, co będziesz z nim robił.) Marie zabiera drinka, chwyta mnie za rękę i prowadzi do sypialni.

Złe wieści: zapowiada się łazienkowe interludium. Nienawidzę tego, nie cierpię tekstów w rodzaju: „Możesz skorzystać z zielonej szczotki do zębów i różowego ręcznika”. Nie zrozumcie mnie źle: higiena osobista ma w takich razach ogromne znaczenie, a ludzie, którzy nie myją zębów, są krótkowzroczni i głupi i nigdy nie pozwoliłbym mojemu dziecku i tak dalej, i tym podobne. Chodzi o to, że od czasu do czasu można byłoby zrobić sobie wolne, co nie? Mówimy o sytuacji, w której dwoje ludzi ogarnia podobno namiętność, nad którą nie mogą zapanować, więc jak to jest, że dziewczyna ma czas pomyśleć o Annę French i marchewkowym kremie nawilżającym, bawełnianych wacikach i całej reszcie? Ogólnie rzecz biorąc, wolę kobiety, które gotowe są złamać nawyki połowy życia na moją cześć, a poza tym łazienkowe interludia wcale nie działają kojąco na nerwy, ani nie pobudzają do większego entuzjazmu, jeśli łapiecie, o co mi biega. Tak więc jestem bardzo

rozczarowany, przekonując się, że Marie należy do zwolenniczek interludiów, bo wyobrażałem ją sobie w bardziej cygańskim stylu, do czego miałem pełne prawo, sądząc po kontrakcie płytowym i tak dalej; myślałem, że seks z nią okaże się – mówiąc dosłownie i figuratywnie – brudniejszy. Gdy wchodzimy do sypialni, Marie znika natychmiast, a ja zostaję sam, gryzę paznokcie i zastanawiam się, czy powinienem zdjąć ubranie.

Chodzi o to, że jeśli się rozbiore, a ona zaoferuje mi zieloną szczotkę, to leżę: będę musiał nago odbyć długi spacer do łazienki, a na to nie jestem gotowy; z drugiej strony, jeśli pójdę do łazienki w ubraniu, później mogę mieć kłopoty ze zdjęciem swetra i wyplątaniem zeń głowy (odmowa pójścia do łazienki nie wchodzi, rzecz jasna, w rachubę). Marie oczywiście nie musi się o nic martwić, jako gospodyni unika nieprzyjemności. Wejdzie sobie do sypialni w ekstradużym podkoszulku Stinga, a potem ściągnie go, kiedy będę cierpiał w łazience. Niczego mi nie pokazuje, a ja świecę obnażony i poniżony tym i tamtym na prawo i lewo. Na szczęście przypominam sobie, że włożyłem dziś parę stosunkowo jazzowych bokserek (prezent od Laury) i dosyć czystą, białą biegówkę bez rękawów, mogę więc pójść na opcję bielizna-w-łóżku, która wydaje się rozsądnym kompromisem. Kiedy Marie wraca do sypialni, przerzucam jej kieszonkowe wydanie Johna Irvinga z takim spokojem, na jakie tylko mnie stać w tych warunkach.

Potem idę do łazienki i myję zęby; następnie wracam do sypialni i kochamy się, po czym rozmawiamy przez chwilę; wreszcie gasimy światło i to tyle. Nie będę wdawał się w

szczegóły, te wszystkie kto-komu-jak-i-dlaczego. Znacie piosenkę Charliego Richa „Za zamkniętymi drzwiami”? To jeden z moich ulubionych kawałków.

Należy wam się jednak, jak sądzę, kilka wyjaśnień. Powinniście wiedzieć, że nie zbłądziłem się i nie nękał mnie żaden z większych problemów poza niemożnością ekspedycji towaru, co Marie przyjęła ze zrozumieniem i skwitowała uwagą, że i tak dobrze się bawiła – i wyobraźcie sobie, że jej uwierzyłem. Powinniście wiedzieć, że ja też dobrze się bawiłem, a nawet w tej czy innej chwili stosunku przypomniałem sobie, co właściwie lubię w seksie. A lubię to, że mogę się w nim zatracić. Kompletnie. Seks, mówiąc szczerze, jest najbardziej absorbującym zajęciem, jakie udało mi się poznać w wieku dorosłym. Kiedy byłem dzieckiem, ztracałem się w wielu rzeczach: metalowych konstrukcjach budowlanych, *Księżde dżungli*, *Bigglesach*, *Człowieku z W. U. J. A.*, filmach rysunkowych... zapominałem, gdzie jestem, jaka jest pora dnia i z kim akurat przebywam. Seks jest jedyną rzeczą, o której mogę powiedzieć to samo jako dorosły, jeśli pominąć ten czy inny film. Książki – gdy kończy się lat naście – nie dają już zapomnienia; z pewnością nie daje go moja praca. Tylko seks. Wyłącznie seks. Wystarczy, że wyrzucę z siebie przedseksualny dręczący strumień samoświadomości i zapominam, gdzie jestem, jaka jest pora dnia... i, tak, zapominam, z kim to robię – przynajmniej na jakiś czas. Seks jest zapewne jedyną dorosłą czynnością, którą potrafię wykonać prawidłowo. I czy to nie dziwne, że wykonując ją, czuję się jak dziesięciolatek?

Budzę się przed świtem i ogarnia mnie to samo uczucie, co tamtej nocy, gdy obgryzałem paznokcie, myśląc o Laurze i Rayu: czuję, że pływam bez obciążenia, że nic nie wiąże mnie na miejscu i jeśli nie zbiorę się w sobie, podryfuję w siną dal. Bardzo lubię Marie, jest zabawna, mądra, ładna i utalentowana, ale w ogóle kim jest, do cholery? Nie chodzi mi o odpowiedź w sensie filozoficznym. Chodzi mi o to, że nie odróżniłbym jej od wieszaka, więc co robię w jej łóżku? Na pewno czeka gdzieś na mnie lepsze, bezpieczniejsze, przytulniejsze miejsce niż to. Gówno prawda, wiem, że nie czeka, przynajmniej nie teraz – świadomość tego faktu napawa mnie przerażeniem.

Wstaję, znajduję jazzowe bokserki i biegówkę, przechodzę do salonu i grzebię w kurtce, szukając papierosów. Potem siadam w ciemności i palę. Po jakimś czasie Marie siada obok mnie.

– Siedzisz i zastanawiasz się, co tutaj robisz?

– Nie. Tylko... no wiesz...

– Bo ja dlatego tutaj usiadłam, jeśli ci to pomoże.

– Myślałem, że cię obudziłem.

– Jeszcze nie spałam.

– Więc rozmyślasz dłużej ode mnie. Przyszło ci coś do głowy?

– Niedużo. Przyszło mi do głowy, że jestem naprawdę samotna, więc wskoczyłam do łóżka z pierwszym, który mnie chciał. Przyszło mi do głowy, że miałam szczęście, spotkawszy kogoś takiego jak ty, a nie jakiegoś pojeba, nudziarza albo maniaka.

– Co do maniaka, to nie jestem pewny. Ale mówiąc

poważnie, wiem, że nie poszłabyś do łóżka z żadnym z nich.

– Naprawdę? Nie jestem pewna. Miałam zły tydzień.

– Co się stało?

– Nic się nie stało. Miałam zły tydzień w głowie, to wszystko.

Zanim się przespaliśmy, można było przynajmniej udawać, że oboje tego chcemy, że jest to zdrowy, mocny początek nowego, ekscytującego związku. Teraz nie ma już co udawać i została nam smutna świadomość, że siedzimy tu, bo nie znamy nikogo innego, z kim moglibyśmy siedzieć.

– Nie obchodzi mnie to, co teraz myślisz – mówi Marie. – Jest w porządku. I wcale nie dałam się nabrać na twój spokój w sprawie tej... jak ona ma na imię?

– Laura.

– Laury, tak? Ludzie mogą być napaleni, mimo pieprzonej rozpaczki. Nie powinieneś mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Nikt nie może odebrać nam zwykłych ludzkich praw tylko dlatego, że popsuliśmy jakiś związek.

Zaczynam mieć większe wyrzuty sumienia z powodu tej rozmowy niż z powodu wszystkiego, co było przedtem. Napaleni? Oni naprawdę tak mówią? Jezu! Przez całe życie marzyłem o tym, żeby przespać się z Amerykanką, i gdy to wreszcie zrobiłem, zacząłem rozumieć, dlaczego niektórzy nie robią tego częściej. Pomijając Amerykanów, rzecz jasna, którzy nie mają wyboru.

– Uważasz, że seks jest zwykłym, ludzkim prawem?

– Jasne. I nie pozwolę żadnemu dupkowi stanąć pomiędzy mną a sztosem.

Usiłuję nie myśleć o przedziwnym anatomicznym

diagramie, który właśnie naszkicowała. Postanawiam także nie udowadniać jej, że jeśli seks jest zwykłym, ludzkim prawem, to raczej nie powinniśmy nalegać na jego egzekwowanie, gdy pozbywamy się tych, z którymi chcielibyśmy go uprawiać.

– Jakiemu dupkowi?

Wypluwa z siebie nazwisko stosunkowo dobrze znanego amerykańskiego pieśniarza kompozytora, o którym na pewno słyszeliście.

– To z nim dzieliłaś się płytami Patsy Cline?

Kiwa głową, a ja nie potrafię opanować entuzjazmu.

– Niesamowite!

– Co? To, że spałeś z kimś, kto spał z... – (W tym miejscu powtarza nazwisko stosunkowo dobrze znanego amerykańskiego pieśniarza kompozytora, którego od tej chwili będę nazywał Steve'em.)

Dokładnie! Ma rację! Dokładnie o to chodzi! Spałem z kimś, kto spał ze... Steve'em! (To „ze” brzmi głupio, gdy nie podaje się nazwiska. Mniej więcej tak, jak w zdaniu: „Tańczyłam z mężczyzną, który tańczył z dziewczyną, która tańczyła ze... mną”. Musicie sami wyobrazić sobie nazwisko kogoś, może nie naprawdę znanego, ale dosyć znanego, jak choćby... Lyle Lovett – podkreślam jednak, ze względu na konsekwencje prawne, że nie był to Lyle Lovett – by zrozumieć, o co mi chodzi.)

– Za kogo ty mnie bierzesz, Marie? Uważasz, że jestem aż tak beznadziejnie głupi? Chodziło mi o to, że... no wiesz... to niesamowite, że... ktoś, kto napisał... – (w tym miejscu wymieniam tytuł największego przeboju Steve'a – słodkiej i

obrzydliwie czulej ballady) – ... jest takim sukinsynem. – Czuję ogromną ulgę i zadowolenie z tego, jak zgrabnie wybrnąłem z sytuacji. Nie tylko spadłem na cztery łapy, ale poczyniłem bardzo stosowną, ostrą uwagę.

– Ta piosenka jest o jego byłej, tej przede mną. Choć przyznaję, że było mi dobrze, kiedy śpiewał ją dla mnie noc po nocy.

Wspaniale. Dokładnie tak wyobrażałem sobie rozmowę postcoitalną z kimś, kto ma kontrakt płytowy.

– A potem napisałam „Patsy Cline razy dwa”... – a on na pewno napisał coś o mnie piszącej tę piosenkę, a ja napiszę o nim piszącym piosenkę o mnie piszącej piosenkę i...

– Tak to bywa. Wszyscy to robimy.

– Wszyscy piszecie o sobie piosenki?

– Nie, ale...

Musiałbym poświęcić zbyt dużo czasu, by wyjaśnić Marie wszystko o Marco i Sally, i o tym jak napisali – na swój sposób – Sareę, bo bez Marco i Charlie nie byłoby Sary, a potem jak Sara i jej były – ten, który chciał być kimś w BBC – napisali mnie, i jak Rosie – upierdliwa jak wrzód na dupie dziewczyna od jednoczesnego orgazmu – i ja napisaliśmy Iana. Jedyna różnica polega na tym, że żadne z nas nie miało czasu, dowcipu ani talentu, by zrobić z siebie piosenkę. Zrobiliśmy z siebie życie, co jest o wiele bardziej skomplikowane, zabiera znacznie więcej czasu, a poza tym nikt nie może go zagwizdać.

Marie wstaje. – Za chwilę zrobię coś okropnego, więc wybaczone, proszę. – Podchodzi do radiomagnetofonu, wyjmując z niego kasetę, szuka czegoś na podłodze, wsuwa do kieszeni

odtwarcza inną taśmę i po chwili siedzimy razem w ciemności, słuchając piosenek Marie LaSalle. Chyba wiem dlaczego. Gdybym tęsknił za domem, był zagubiony i niepewny, w co gram, zrobiłbym to samo. Praca, która jest powołaniem, przydaje się w takich razach. Marie ma szczęście, nie tak jak ja. Bo niby co miałbym zrobić? Iść otworzyć sklep i chodzić po nim w kółko?

– To obrzydliwe, nie? – pyta po chwili. – To jak onanizm albo coś takiego... słuchanie siebie dla przyjemności. Co ty na to, Rob? Minęły dopiero trzy godziny, odkąd przestaliśmy się kochać, a ja już robię sobie dobrze.

Wolałbym, żeby tego nie mówiła. Popsuła mi nastrój chwili.

W końcu idziemy spać i wstajemy późno, a ja wyglądam i pewno pachnę bardziej groteskowo niżby chciała – gdyby świat był idealny – i jest miła, ale sztywna; mam wrażenie, że nie będzie powtórki ostatniej nocy. Wychodzimy na śniadanie do knajpki, w której siedzi pełno par, które spędziły ze sobą noc, i choć powinniśmy się czuć jak u siebie, wiem, że jest inaczej: wszyscy oprócz nas są szczęśliwi, odprężeni, spokojni. Nie denerwują się, nie jest im smutno i obco. Natomiast Marie i ja czytamy poranne gazety. Robimy to z napięciem, świadczącym o obopólnej chęci zapobieżenia dalszej bliskości. Na końcu dajemy wyraźnie wszystkim do zrozumienia, że nie jesteśmy częścią beztroskiej ciżby: żegnamy się szybkim, smętnym dziobnięciem w policzek i mam resztę niedzieli dla siebie, czy mi się to podoba, czy nie.

Co poszło źle? Wszystko i nic. Zacznijmy od tego

drugiego: spędziliśmy miły wieczór, uprawialiśmy seks w sposób, który żadnego z nas nie poniżył, odbyliśmy nawet rozmowę przed świtem, którą zapamiętam – może ona także? – na zawsze. A teraz to pierwsze: weźmy choćby tę idiotyczną sprawę z podjęciem decyzji, czy idę do domu czy nie, kiedy to zrobiłem z siebie przygłupa w jej oczach; albo to, jak wspaniale zaczęliśmy, tylko po to, żeby na końcu nie mieć sobie nic do powiedzenia; sposób, w jaki się rozstaliśmy; czy wreszcie to, że przez całą tę cholerną noc wcale nie zbliżyłem się do zdjęcia na jej płycie. Nie chodzi tu o kwestię, czy szklanka jest do połowy pusta czy pełna; raczej o to, że wylaliśmy pół zawartości do zlewu. Musiałem sprawdzić, jak to się robi, i teraz już wiem.

Jedenaście

Przez całe życie nienawidziłem niedziel z oczywistych, brytyjskich powodów (*Pieśni chwaty*, zamknięte sklepy, ścięty sos do potrawki, który chcesz ominąć z daleka, ale ci nie pozwolą) i z paru międzynarodowych przyczyn także, ale ta niedziela przechodzi samą siebie. Co prawda, mam mnóstwo rzeczy do zrobienia: taśm do nagrania, taśm do obejrzenia, telefonów do wykonania. Ale nie chce mi się robić żadnej z nich. Wracam do mieszkania o pierwszej; o drugiej sprawy mają się tak fatalnie, że postanawiam pojechać do domu – domowego domu, domu Mamusi i Tatusia, domu ściętego sosu do potrawki i *Pieśni chwaty*. Wyobrażacie sobie, jak musi być źle? Wszystko przez to, że obudziłem się w środku nocy i zacząłem się zastanawiać nad swoim miejscem: moje miejsce nie jest w domu, nie chcę, żeby było w domu, ale przynajmniej je znam.

Domowy dom jest niedaleko Watford, kilka przystanków autobusem od stacji Linii Metropolitalnej. Fatalne miejsce do dorastania, jak mniemam, chociaż wtedy mi to nie przeszkadzało. Dopóki nie skończyłem trzynastu lat, było to zwykłe miejsce do jeżdżenia rowerem; pomiędzy trzynastym a szesnastym rokiem mojego życia, miejsce, w którym umawiałem się z dziewczynami. Wyprowadziłem się, mając osiemnaście lat, więc tylko przez rok widziałem je takim, jakim jest naprawdę – czyli podmiejskim grajdołem – i szczerze nienawidziłem. Mama z tatą zmienili dom jakies

dziesięć lat temu – gdy mama niechętnie przyjęła wreszcie do wiadomości, że za nic w świecie do nich nie wrócę – ale przeprowadzili się tylko za róg ulicy do bliźniaka z dwiema sypialniami i mogli zatrzymać numer telefonu, przyjaciół i całe życie.

W piosenkach Bruce'a Springsteena można albo zostać i gnąć, albo dać nogę i spłonąć. Niech mu będzie, jest tylko muzykiem rockowym, a w rocku zawsze prezentowano tylko proste wybory. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby napisać piosenkę o tym, jak się daje nogę i gnije – jak ucieka się na pół gwizdka, wyjeżdża z przedmieścia do miasta i gnije w mieście tak jak na przedmieściach. Tak było ze mną. Tak jest z większością ludzi.

Starzy są okay, jeśli się ich lubi, do czego niestety nie jestem zdolny. Ojciec jest trochę przymulony, ale udaje, że wie wszystko – co jest fatalną kombinacją; patrząc na jego idiotyczną, przyciętą brodę od razu można poznać, że często gada od rzeczy i nie słucha argumentów innych. Mama jest po prostu mamą, co jest rzeczą niewybaczalną w każdych okolicznościach oprócz tej. Przejmuje się, daje mi popalić za sklep, daje mi popalić za to, że nie mam dzieci. Chciałbym chcieć widywać ich częściej, ale nie chcę, a kiedy nie mam innych powodów, żeby czuć się źle, czuję się źle właśnie dlatego. Ucieszą się, widząc mnie tego popołudnia, choć moje serce rozpacza, bo wiem, że w telewizji puszczają dziś pierdoloną *Genevieve*. (Ciekawe czy ktoś wcześniej umieścił słowo „pierdolić” obok imienia „Genevieve”? Fajnie byłoby być pierwszym.) (Pięć ulubionych filmów taty: *Genevieve*, *Okrutne morze*, *Żulu*, *Och! Pan Porter* – które to dzieło

uważa za przezabawne, *Dziła Navarony*. Pięć ulubionych filmów mamy: *Genevieve*, *Przebiegło z wiatrem*, *Tacy byliśmy*, *Zabawna dziewczyna* i *Siedem narzeczonych dla siedmiu braci*. Chwytnie obraz. Chwycicie go jeszcze lepiej, jeśli powiem wam, że chodzenie do kina jest – według nich – stratą pieniędzy, skoro prędzej czy później wszystkie filmy pokazują w telewizji.)

Kiedy dojeżdżam na miejsce, los mści się na mnie: nie ma ich w domu. Przejechałem milion przystanków Linią Metropolitalną w niedzielne popołudnie, czekałem osiem lat na autobus, pierdolona *Genevieve* jest w pierdolonym pudle, a ich nie ma w domu! Nie zadzwonili nawet do mnie, żeby powiedzieć mi, że ich nie będzie, co nie znaczy, że dzwoniłem do nich, żeby powiedzieć, że będę. Gdybym był skory do uzalania się nad sobą – a jestem – poczułbym się fatalnie, wiedząc, że los płata mi ironiczne figle i wypęda rodziców z domu wtedy, gdy wreszcie ich potrzebuję.

Już chcę odwrócić się na pięcie i ruszyć w drogę powrotną do przystanku, gdy otwiera się okno w domu po drugiej stronie ulicy i moja mama wrzeszczy:

– Rob! Robert! Wejdz.

Nie znam ludzi mieszkających w domu po drugiej stronie ulicy, ale po chwili okazuje się, że stanowią jednoosobową mniejszość: ich chata pęka w szwach.

– Co to za okoliczność?

– Degustacja wina.

– Chyba nie tego bimbru, który pędzi ojciec?

– Nie, nie. Normalnego wina. Dzisiaj degustujemy wina

australijskie. Moczymy dzióbki, a potem przychodzi taki pan i wszystko wyjaśnia.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się winami.

– O tak. Twój tata wprost to uwielbia.

Jakżeby inaczej. Nie chciałbym być z nim w pracy rano po degustacji: nie dlatego, że cuchnie zwierzałym wińskiem, ma przekrwione oczy i zachowuje się jak gbur, ale z powodu faktów, jakie sobie przyswoił. Spędzi połowę dnia na opowiadaniu ludziom o rzeczach, o których nie chcą nic wiedzieć. Teraz stoi w drugim końcu pokoju i rozmawia z facetem w garniturze – zapewne z wędrownym ekspertem od win – w którego oczach widzę rozpacz. Ojciec zerka na mnie, udaje zdumienie, ale nie przerywa rozmowy.

W pokoju jest pełno ludzi, których nie rozpoznaję. Straciłem tę część, w której facet mówi i rozdaje próbki. Przyjechałem w sam raz na część, w której degustacja win zmienia się w żłopanie wina, i choć tu i tam widzę, jak niektórzy płuczą sobie usta i pieprzą farmazony o bukicie i barwie, to większość leje sobie szlachetne płyny w gardziele z szybkością godną pozazdroszczenia. Nie spodziewałem się czegoś takiego. Przyjechałem tu, bo chciałem spędzić popołudnie w cichej rozpacz, a nie na pijanej imprezie. Jedyne, czego oczekiwałem po tym popołudniu, to niedający się obalić dowód, że moje życie jest ponure i puste, ale nie tak ponure i puste jak życie w Watford. Znów się pomyliłem. Nic nie działa, jak mawiała pani Kotołasica. Życie w Watford jest ponure, owszem; ale ponure i pełne. Jakim prawem rodzice chodzą bez powodu na przyjęcia w niedzielne popołudnie?

– Dzisiaj w telewizji jest *Genevieve*.

– Wiem. Nagrywamy ją sobie.

– Kupiliście sobie wideo?

– Już dawno.

– Nie mówiłaś mi.

– Bo nie pytałeś.

– To znaczy, że mam to robić co tydzień? Pytać cię, czy kupiliście sobie jakieś dobra konsumpcyjne?

W naszym kierunku sunie wielgachny babon ubrany w coś, co wygląda jak żółty kaftan.

– Na pewno jesteś Robertem.

– Robem, taa. Cześć.

– Nazywam się Yvonne. Jestem tu gospodarzem... to znaczy gospodynią... – Wybucho szaleńczym śmiechem bez żadnego wyraźnego powodu. Chciałbym zobaczyć Kennetha More'a. – Zdaje się, że pracujesz w przemyśle muzycznym, czy tak?

Spoglądam na mamę, która odwraca głowę. – Niezupełnie. Mam sklep z płytami.

– Och... cóż... To prawie to samo. – Znów rzy i choć z przyjemnością stwierdziłbym, że jest pijana, obawiam się, że nie mogę.

– Mniej więcej. Jeśli przyjąć, że kobieta wywołująca zdjęcia u Bootsa pracuje w przemyśle filmowym.

– Dać ci klucze, Rob? Może pójdziesz do domu wstawić wodę?

– Jasne. Niech Bóg broni, żebyś miał tu zostać i rozerwać się.

Yvonne bąka coś pod nosem i odpływa. Mama jest zbyt

zadowolona z tego, że mnie widzi, by dać mi popalić, ale mimo wszystko trochę mi wstyd za siebie.

– Wiesz, ja także z chęcią napiję się herbaty. – Rusza do Yvonne i dziękuje jej za wspaniałe przyjęcie. Yvonne patrzy na mnie, przechyla głowę i robi zasmuconą minę. Mama na pewno mówi jej o Laurze, co – jak sądzi – wyjaśnia moje nieokrzeseanie. Guzik mnie to obchodzi. Może Yvonne zaprosi mnie na kolejną degustację?

Idziemy do domu i oglądamy końcówkę *Genevieve*.

Ojciec dobija po jakiejś godzinie. Jest pijany.

– Idziemy wszyscy do kina – oznajmia od progu.

Tego już za wiele.

– Przecież nie chodzisz do kina, tato.

– Nie chodzę oglądać śmieci, na jakie ty chodzisz. Bardzo lubię natomiast chodzić na dobre filmy. Angielskie filmy.

– Co grają? – pyta mama.

– *Howard's End*. To druga część *Pokoju z widokiem*.

– Och, wspaniale – entuzjazmuje się mama. – Czy ktoś z przeciwka także się wybiera?

– Tylko Yvonne i Brian. Ale pośpieszcie się. Zostało nam pół godziny.

– Będę się zbierał – mówię. Przez całe popołudnie zamieniłem z nim góra dwa zdania.

– Nigdzie się nie zbierasz – stwierdza kategorycznie ojciec. – Idziesz z nami. Ja stawiam.

– Nie chodzi o pieniądze, tato. – Chodzi o *Howarda* i pierdolony *End*. – Na mnie już czas. Jutro idę do pracy.

– Nie pękaj, człowieku. Połóżysz się spać o jedenastej. Kino dobrze ci zrobi. Przywróci wiarę w ludzi. Zdejmie

kamień z serca. – Po raz pierwszy słyszę z jego ust, że mam na sercu kamień, który należy zdjąć.

Tak czy inaczej nie ma racji. Odkrywam, że dla osoby w moim wieku wycieczka do kina z mamą i z tatą (jeśli nie liczyć ich obłąkanych przyjaciół) nie kończy się zdjęciem z serca żadnego kamienia. Przeciwnie, dorzuca tam kilka dodatkowych gładów. Czekamy, aż Yvonne i Brian wykupią cały towar z kinowego baru Pick'n'Mix, a ja przeżywam najpotworniejsze, przejmujące największym dreszczem i mrozące krew w żyłach doświadczenie, z jakim przyszło mi się zmierzyć: widzę najbardziej żalosego mężczyznę na świecie, który obdarza mnie uśmiechem zrozumienia. Najbardziej Żalosem Mężczyzna Na Świecie nosi olbrzymie okulary w stylu Dennisa Taylora i ma krzywe zęby; ubrany jest w brudnopłową wiatrówkę i brązowe sztruksowe spodnie wytarte na kolanach. Podobnie jak ja, jest w towarzystwie rodziców, którzy zabrali go na *Howard's End*, mimo że do trzydziestki brakuje mu może roku. Obdarza mnie swym strasznym uśmieszkiem, ponieważ rozpoznał we mnie bratnią duszę. Fakt ów tak bardzo wyprowadza mnie z równowagi, że nie potrafię się skoncentrować na kwestiach Emmy Thompson, Vanessy i reszty, a gdy wreszcie dochodzę do siebie, jest już za późno i historia toczy się dalej beze mnie. Wiem tylko, że na końcu na czyjaś głowę spada półka z książkami.

Jestem gotów posunąć się do tego, by przyznać, że uśmiech NŹMNS-a stał się jednym z pięciu najbardziej kryzysowych momentów w moim życiu – pozostałe cztery wyleciały mi w tej chwili z głowy. Wiem, że nie jestem tak

żałosny jak najbardziej żałosny mężczyzna na świecie (Spędził ostatnią noc w łóżku amerykańskiej artystki płytowej? Bardzo wątpię.); chodzi natomiast o to, że różnica między nami nie rzuca się natychmiast w oczy i on to zauważył, i wiem nawet dlaczego. Jest granica, której nie można przekroczyć, i to ona właśnie wyznacza dla nas wszystkich strefę przyciągania przez płęć przeciwną: potrzebujemy kogoś, kto wybawi nas od konieczności znoszenia współczujących uśmieszków w niedzielnej kolejce do kina; kogoś, kto uchroni nas przed upadkiem na samo dno pieczary zamieszkiwanej przez skazanych na samotność oraz ich mamy i ojców. Nie wrócę tam. Nigdy! Wolę do końca życia nie wychodzić z domu, niż narażać się na takie uśmiechy.

Dwanaście

Przez następny tydzień rozmyślałam o Marie i o Najbardziej Żalonym Mężczyźnie Na Świecie, a także – na polecenie Barry'ego – o pięciu najśmieszniejszych odcinkach *Zdrówka*. Mój wybór to: 1) ten, w którym Cliff znalazł kartofel wyglądający jak Richard Nixon; 2) ten, w którym John Cleese udzielał porad małżeńskich Samowi i Dianę; 3) ten, w którym myśleli, że Szef Sztabu Armii Amerykańskiej – grany przez prawdziwego admirała – ukradł Rebecce kolczyki; 4) ten, w którym Sam dostał pracę prezentera sportowego w telewizji; i 5) w którym Woody śpiewał swoją idiotyczną piosenkę o Kelly. (Barry powiedział, że nie mam racji co do czterech z pięciu odcinków, dodał, że brakuje mi poczucia humoru, i że zadzwoni do Channel 4, żeby kodowali obraz w moim telewizorze pomiędzy dziewiątą trzydzieści a dziesiątą w piątkowe wieczory, bo jestem niewdzięcznym i nieznającym się na rzeczy widzem.) Do środy nie myślę w ogóle o tym, co powiedziała Laura w sobotni wieczór, ponieważ dopiero w środę dostaję od niej wiadomość nagrany na domową sekretarkę. Nic wielkiego, zwykłą prośbę o kopię rachunku z naszej domowej kartoteki, ale brzmienie jej głosu uświadamia mi, że niektóre z rzeczy, o jakich rozmawialiśmy, powinny mnie zmartwić, czego jakoś nie czynią.

Po pierwsze – w zasadzie po pierwsze i ostatnie – ta historia o niespaniu z Ianem. Skąd mam wiedzieć, że mówi prawdę? Z tego, co wiem, sypia z nim od tygodni, jeśli nie od

miesiący! Poza tym powiedziała, że jeszcze z nim nie spała, a miało to miejsce w sobotę, pięć dni temu. Pięć dni! Od tamtej pory mogła przespać się z nim przynajmniej pięć razy. (Równie dobrze mogła i dwadzieścia, ale wiecie, o co mi chodzi.) A nawet jeśli tego nie zrobiła, to groziła, że zrobi. No bo co znaczy to „jeszcze”? „Nie widziałem jeszcze *Wściekłych psów*”. Co to znaczy? Nic innego jak „mam zamiar”. „Mam zamiar je zobaczyć”. Prawda?

– Barry, gdybym powiedział ci „Nie widziałem jeszcze *Wściekłych psów*”, co by to znaczyło według ciebie?

Barry spogląda na mnie.

– No... powiedz. Co to według ciebie znaczy? Zwykłe zdanie: „Nie widziałem jeszcze *Wściekłych psów*”.

– Według mnie znaczyłoby to, że kłamiesz. Albo to, albo że ci odbiło. Widziałeś je dwa razy. Raz z Laurą i raz ze mną i z Dickiem. Rozmawialiśmy przecież o tym, kto zabił Pana Różowego, czy jaki on tam, kurwa, miał kolor.

– No taa... Wiem. Ale przypuśćmy, że ich nie widziałem i mówię: „Nie widziałem jeszcze *Wściekłych psów*”. Co byś pomyślał?

– Pomyślałbym, że jesteś chory. I byłoby mi cię żal.

– Nie, nie o to chodzi. Posłuchaj: czy z tego zdania wynika, że chcę je zobaczyć?

– Mam nadzieję, taa, bo w przeciwnym razie musiałbym ci powiedzieć, że nie jesteś moim kumplem.

– Nie, to...

– Wybacz, Rob, ale poruszam się po omacku. Nie rozumiem ani słowa z tej rozmowy. Pytasz mnie, co bym pomyślał, gdybyś powiedział mi, że nie widziałeś filmu,

który widziałeś. Co mam na to odpowiedzieć?

– Posłuchaj tylko. Gdybym ci powiedział...

– „... Nie widziałem jeszcze *Wściekłych psów*...” wiem, wiem, już to słyszałem!

– Czy... Czy odniósłbyś wrażenie, że chcę je zobaczyć?

– No... nie mogło ci na tym zależeć, bo byś już na nie poszedł.

– Dokładnie. Byliśmy na nich w dniu premiery, co nie?

– Ale to słowo „jeszcze”... Taa, odniósłbym wrażenie, że chcesz je zobaczyć. Gdyby tak nie było, sformułowałbyś to inaczej.

– Ale czy twoim zdaniem na pewno poszedłbym na ten film?

– A skąd mam wiedzieć? Możesz przecież wpaść pod autobus albo oślepnąć, cokolwiek. Może ci to wylecieć z głowy. Możesz być splukany. Wreszcie możesz mieć dosyć ludzi, którzy mówią ci, że powinieneś iść.

To ostatnie zdanie nie brzmi dobrze. – A co ich to obchodzi?

– Bo to wybitny film. Zabawny i jednocześnie pełen przemocy. Bo gra w nim Harvey Keitel i Tim Roth, i cała reszta. Bo ma zabójczą ścieżkę dźwiękową...

Może nie powinno się porównywać *Wściekłych psów* z Ianem śpiącym z Laurą, Ian nie ma w sobie nic z Harveya Keitela ani z Tima Rosta. I wcale nie jest zabawny. Nie stosuje przemocy. A sądząc po tym, co słyszeliśmy z góry, jego ścieżka dźwiękowa jest do dupy. Nie mogę już dalej tego ciągnąć.

Wciąż jednak martwi mnie to „jeszcze”.

Dzwonię do kancelarii Laury.

– O cześć, Rob... – mówi, jakbym był znajomym, którego miło usłyszeć. (1. Nie jestem jej znajomym. 2. Nie słuchamnie z przyjemnością. Poza tym...) – Jak leci?

– Źle, dziękuję. – Nie pozwolę jej wykpić się tym byliśmy-kiedyś-razem-ale-teraz-wszystko-jest-już-okay.

Wzdycha.

– Możemy się spotkać? Tamtego wieczoru mówiłaś o paru rzeczach, które chciałbym przedyskutować.

– Nie chcę... Nie jestem jeszcze gotowa, żeby o tym mówić.

– Więc co mam robić, czekając, aż się przygotujesz? – Wiem, jak to brzmi: jęcząco, gorzko, upierdliwie, ale nie mogę się powstrzymać.

– Po prostu... żyj. Nie możesz chodzić z nosem na kwintę, czekając, aż powiem ci, dlaczego nie chcę się z tobą widywać.

– Czy to, co się stało, można jakoś odwrócić?

– Nie wiem.

– Bo wtedy mówiłaś, że można... – Wiem, że to do niczego nie prowadzi, i zdaję sobie sprawę, że w tym stanie umysłu nie pójdzie ze mną na żadną ugodę, ale naciskam dalej.

– Niczego takiego nie mówiłam!

– Owszem, mówiłaś! Mówiłaś! Mówiłaś, że jest szansa! To to samo, co „można”! – Chryste. To naprawdę żałosne.

– Rob, jestem w pracy. Porozmawiamy, gdy...

– Jeśli nie chcesz, żebym dzwonił do ciebie do pracy, to może podasz mi swój domowy numer. Wybacz, Lauro, ale

nie odłożę słuchawki, dopóki nie zgodzisz się na spotkanie ze mną. Nie rozumiem, dlaczego zawsze ma być tak, jak ty chcesz.

Wybuchła krótkim, gorzkim śmiechem. – Okay, okay, okay, okay, okay. Jutro wieczorem? Przyjedź po mnie do pracy. – Brzmi jak pokonana.

– Jutro wieczorem? W piątek? Nie jesteś zajęta? Świetnie. Wspaniale. Miło będzie cię zobaczyć. – Nie jestem pewny, czy słyszała ten afirmatywny, ugodowy, szczyry kawałek na końcu. Odłożyła słuchawkę przede mną.

Trzynaście

Rozrabiamy kończąc pracę, całą trójką, wycieramy sobie twarze naszymi pięcioma najlepszymi pierwszymi utworami z pierwszej strony płyty (moje to: „Janie Jones" *The Clash*, z albumu *The Clash*; „Thunder Road" Bruce'a Springsteena z *Born To Run*; „Smells Like Teen Spirit" Nirvany z *Nevermind*; „Let's Get It On" Marvin'a Gaye'a z *Let's Get It On*; i „Return Of The Grievous Angel" Gram'a Parsonsa z *Grievous Angel*. Barry: – Nie mogłeś już, kurwa, wybrać czegoś bardziej oczywistego! A co z Beatlesami? Co z Rolling Stonesami? Czyżbyś zapomniał o pierdolonym... pierdolonym... Beethovenie! Pierwsze nagranie ze strony pierwszej V symfonii?! Nie powinno ci się pozwalać na prowadzenie sklepu z płytami! – A potem kłócimy się o to, czy Barry jest snobistycznym obskurantem i czy Fire Engines, którzy pojawiają się na jego liście, są naprawdę lepsi od Marvin'a Gaye'a, którego nie uwzględnił. W trakcie dyskusji pada argument określający mnie jako nudnego, starego, przeciętnego pierdziela.) W końcu odzywa się Dick, który oznajmia: – Nie mogę iść dzisiaj z wami do pubu – po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia kariery w Championship Vinyl, jeśli nie liczyć tych razów, kiedy wyjeżdżał do miejsc oddalonych o setki mil stąd, na koncert jakiejś absurdalnej kapeli. Zapada cisza, podczas której udajemy wstrząs.

– Co się wygłupiasz, Dick – odzywa się w końcu Barry.

Dick uśmiecha się z lekkim zażenowaniem. – Nie, naprawdę.

Nie idę.

– Ostrzegam cię – rzuca Barry. – Jeśli nie usłyszymy stosownego wytłumaczenia, ogłoszę cię Nepalskim Neptkiem Tygodnia.

Dick milczy.

– Nie wygłupiaj się. Z kim się umówiłeś?

Milczy jak grób.

– Dick, wyrwałeś coś?

Cisza.

– Nie wierzę własnym uszom! – wrzeszczy Barry. – Gdzie tu jest sprawiedliwość? Gdzie, pytam! Sprawiedliwości! Gdzie jesteś? Dick umówił się na gorącą randkę, Rob bzyka Marie LaSalle, a najprzystojniejszy i najinteligentniejszy z całej bandy musi obejść się smakiem!

Barry nie próbuje mnie podpuścić. Nie zerka na mnie ukradkiem, żeby sprawdzić, czy trafił w punkt. W jego głosie nie słyhać obawy, że mu przerwę. Barry wie, a ja czuję się zdruzgotany i dumny z siebie w jednej i tej samej chwili.

– Kto ci to powiedział?

– Nie wygłupiaj się, Rob. Za kogo ty nas bierzesz? Bardziej martwi mnie jednak randka Dicka. Jak do tego doszło, Dick? Jak można to racjonalnie wytłumaczyć? Poczekaj, niech zgadnę.... W niedzielę wieczorem siedziałeś w domu, bo nagrywałeś mi tę taśmę ze stronami B Creation. Byłem z tobą w poniedziałek i wczoraj... zostaje tylko... wtorek!

Dick milczy jak zakłęty.

– Gdzie byłeś we wtorek?

– Na koncercie ze znajomymi.

Czy to aż tak bardzo rzuca się w oczy? Chyba tak, w każdym razie na pewno rzucało się w oczy w sobotę. Ale Barry nie może wiedzieć, że do czegoś doszło!

– A cóż to za koncerty, na które się wchodzi jakby nigdy nic i z miejsca poznaje dziewczyny?

– Wcale nie wszedłem i nie poznałem jej z miejsca. Była ze znajomymi, których znałem.

– I umówiłeś się z nią na dzisiaj?

– Tak.

– Imię?

– Anna.

– I nic więcej? Używa tylko imienia? He? Jaka Anna? Anna Nikt? Anna z Zielonego Wzgórza? Anna Conda? No dalej!

– Anna Moss.

– Anna Moss. Mechata. Kobieta z mchu i paproci!

Słyszałem to już setki razy. I nie wiem, dlaczego mnie to nie śmieszy. Kiedyś rozmawiałem o tym z Laurą, bo Barry próbował swoich sztuczek z jej nazwiskiem. Wymyślał jakieś głupie rymowanki, nie pamiętam nawet, o co w nich chodziło. Coś o przewracaniu i leżeniu na laurach. Wściekałem się wtedy na niego. Chciałem, żeby została Laurą, żeby miała ładne, miłe, dziewczęce imię, o którym można marzyć, gdy ma się na to ochotę. Nie chciałem, żeby robił z niej pośmiewisko. Laura oczywiście uważała, że przesadzam, że jestem nadopiekuńczy i mam staroświeckie pojęcie o dziewczynach. Powiedziała, że nie traktuję kobiet w taki sam sposób jak mężczyzn. Miała rację: nie traktuję. Ale nie o to chodzi. Barry nie robi tego z myślą o

równouprawnieniu kobiet: zachowuje się tak z czystej złości, która każe mu przekłuwać balon romantycznego dobrostanu nadmuchany dla nas przez Laure, Annę czy jakąkolwiek inną dziewczynę. Barry jest cięty. Cięty i złośliwy. Wie, jaką potęgą są imiona dziewczyn, i bardzo mu się to nie podoba.

– Jest owłosiona i nosi zielony kubraczek?

Wszystko zaczęło się jako żart – Barry spełniał rolę *advocatus diaboli* oskarżenia, Dick był podsądnym – a teraz z farsy robi się tragedia. Dick czuje się winny jak jasna cholera i ma wyrzuty sumienia. I to tylko dlatego, że z kimś się umówił.

– Daj mu spokój, Barry – mówię.

– O tak, chciałbyś, prawda? Pasujecie do siebie jak ulał. Zjednoczeni Bzykacze, Londyn. He?

Próbuję zachować zimną krew. – Idziesz do pubu czy nie?

– Nie! Pierdolę!

– Całkiem słusznie.

Barry wychodzi. Dick wpada w rozpacz, a jego poczucie winy ma rozmiar Himalajów. Nie dlatego, że kogoś poznał, ale że nie mam się z kim napić.

– Zostało mi jeszcze trochę czasu. Może wpadniemy na szybkiego?

– Nie przejmuj się, Dick. To nie twoja wina, że Barry jest pojebany. Miłego wieczoru.

Zerka na mnie z prawdziwą wdzięcznością, która łamie mi serce.

Czuję się tak, jakbym przez całe życie prowadził takie

rozmowy. Żaden z nas nie jest już młodzieńcem, ale to, co się wydarzyło, mogło mieć miejsce, gdy miałem szesnaście, dwadzieścia albo dwadzieścia pięć lat. Dojrzelśmy mając lat naście, a potem wszystko się zatrzymało; sporządziliśmy wtedy mapy i zostawiliśmy granice niezmienione od lat. Chcecie wiedzieć, dlaczego Barry wpadł w taką wściekłość, dowiedziawszy się, że Dick jest umówiony z dziewczyną? Powiem wam: bo nie chce ujrzeć w kolejce do kina uśmiechu faceta z krzywymi zębami, ubranego w brudnopłową wiatrówkę. Martwi się tym, co dzieje się z jego życiem, i czuje się samotny. A samotni ludzie są najgorsi ze wszystkich.

Czternaście

Odkąd tylko mam ten sklep, usiłujemy opchnąć w nim płytę zespołu o nazwie Sid James Experience. Zazwyczaj udaje nam się pozbyć jakoś towaru, który nie idzie – obniżamy cenę do 10 pensów albo wyrzucamy go na śmietnik – ale Barry kocha ten album (sam kupił dwa egzemplarze na wypadek, gdyby ktoś go od niego pożyczył i zapomniał oddać), twierdzi, że mamy w rękach skarb i że któregoś dnia ktoś będzie nam bardzo wdzięczny. Płyta spełnia w sklepie funkcję maskotki. Stali klienci pytają o jej zdrowie, poklepują ją podczas przerzucania okładek, a czasami przynoszą ją do kasy z taką miną, jakby wreszcie zdecydowali się na zakup, po czym rzucają: – Nieee. Żartuję...

– i odkładają na miejsce.

Tak czy inaczej, w piątkowy poranek mam w sklepie faceta, którego nigdy przedtem nie widziałem, i gość zaczyna przeglądać sekcję „Brytyjski pop S-Z”. Nagle słyszę okrzyk zdumienia i facet podbiega do lady, przyciskając do piersi okładkę, jakby bał się, że ktoś mu ją wyrwie. Potem wyjmuje portfel i płaci siedem funtów, ot tak! po prostu! Nie próbuje się nawet targować, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z wyjątkowości chwili. Pozwalam Barry'emu obsłużyć gościa – to jego zwyczajstwo – i razem z Dickiem obserwuję każdy ich ruch, wstrzymując oddech. W naszych oczach wygląda to tak, jakby do sklepu wszedł facet, oblał się benzyną i wyjął zapalniczki z kieszeni. Nie wypuszczamy powietrza, póki nie

zapłonie zapalka, a razem z nią facet, a kiedy wychodzi, śmiejemy się i śmiejemy, i śmiejemy. Czerpiemy siłę z tego wydarzenia: jeśli ktoś może ot tak sobie wejść i kupić płytę Sid James Experience, to wszystko jest możliwe, a szczęście czai się tuż za rogiem.

Laura zmieniła się od soboty. Po części z powodu makijażu: maluje się do pracy, co ma nadawać jej mniej spięty i zmęczony wygląd i podkreślać jej opanowanie. Ale jest w tym także coś więcej. Wydarzyło się coś innego: może naprawdę, a może tylko w jej głowie. Bez względu na to, co się stało, widać po niej, że uważa, iż rozpoczęła nowy okres w życiu. Nie rozpoczęła. Nie pozwolę jej.

Idziemy do baru niedaleko od miejsca, w którym pracuje. Nie do pubu, ale do baru – ze zdjęciami baseballistów wiszącymi na ścianie, z jadłospisem namazanym kredą na tablicy, rzucającym się w oczy brakiem pomp do piwa i rzucającą się w oczy obecnością facetów w garniturach żłopiających amerykańskiego sikacza z butelek. Zresztą nie ma ich zbyt wielu i siadamy w pustym boksie z tyłu sali.

Laura z miejsca wyjeżdża ze swoim „No i jak ci leci”, jakbym nie był nikim ważnym. Bąkam coś i już wiem, że tego nie powstrzymam, że zaraz się spuszczę przedwcześnie: no i pierdut!

- Spalaś z nim? – Już po wszystkim.
- Czy tylko dlatego chciałeś się ze mną spotkać?
- Chyba tak.
- Chryste...

Zamierzam natychmiast powtórzyć pytanie. Bez dalszej

zwłoki. Chcę usłyszeć odpowiedź, a nie żadne „Chryste...” poparte litościwym spojrzeniem.

– Co mam ci powiedzieć?

– Masz mi powiedzieć, że nie spałaś i że mówisz prawdę.

– Nie mogę. – Mówiąc to, nie może także spojrzeć mi w oczy.

Zaczyna opowiadać o czymś innym, ale nie słyszę, co mówi. Wybiegam na ulicę, przepycham się przez te garnitury i płaszcze przeciwdeszczowe, zły i chory, pędzę do domu, do głośnej, złej, chorej muzyki, która sprawi, że poczuję się lepiej.

Następnego ranka przychodzi facet, który kupił album Sid James Experience, i mówi, że chce oddać płytę. Mówi, że pomylił ją z czymś innym.

– Z czym? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada. – Z czymś innym. – Wzrusza ramionami i patrzy po kolei na nasze trzy twarze. Wbijamy w niego wzrok. Jesteśmy zdruzgotani, przerażeni. Robi mu się głupio.

– Słuchałeś jej do końca? – pyta Barry.

– Wyłączyłem ją w połowie drugiej strony. Nie podoba mi się.

– Idź do domu i spróbuj jeszcze raz – zachęca go rozpaczliwie Barry. – Przyzwyczajasz się do niej. Dorośniesz.

Facet kręci bezradnie głową. Już postanowił. Wybiera używany kompakt Madness, a ja odkładam Sid James Experience na półkę.

Po południu dzwoni Laura.

– Wiedziałeś, że to się stanie – mówi. – Musiałeś być na to przygotowany. Tak jak mówiłeś: mieszkam z tym facetem. Prędzej czy później musiało do tego dojść. – Słyszę jej nerwowy i według mnie wielce niestosowny śmiech.

– Poza tym mówiłam ci, że to nie o to chodzi. Liczy się to, że urządziliśmy sobie piekło.

Chcę odłożyć słuchawkę, ale zazwyczaj odkłada się słuchawkę dlatego, że liczy się na kolejny telefon, a po co Laura miałaby do mnie dzwonić? Nie widzę powodu.

– Jesteś tam jeszcze? O czym myślisz?

Myślę: kąpałem się z tą osobą (tylko raz, lata temu, ale, no wiecie, kąpiel pozostaje kąpielą), a mimo to zaczynam zapominać, jak wygląda. Myślę: wolałbym, żeby ten etap już się skończył i żeby można było przejść do następnego, do etapu, w którym otwierasz gazetę, widzisz, że w telewizji puszczają *Zapach kobiety*, i myślisz sobie: „Ach, to ten film, który widziałem z Laurą”. Myślę: czy mam walczyć, z czym mam walczyć i wreszcie z kim?

– O niczym.

– Możemy umówić się na kolejne spotkanie. Wtedy wszystko ci wyjaśnię. Uważam, że tyle jestem ci winna.

Tyle.

– A ile byłoby więcej?

– Proszę?

– Nic, nic. Słuchaj, muszę kończyć. Ja też pracuję, sama wiesz...

– Zadzwonisz do mnie?

– Nie mam twojego numeru.

– Wiesz, że możesz zadzwonić do pracy. Umówimy się i porozmawiamy poważnie.

– Okay.

– Obiecujesz?

– Taa.

– Bo nie chcę, żeby to była nasza ostatnia rozmowa. Wiem, jaki jesteś.

W ogóle nie wie, jaki jestem: dzwonię do niej bez przerwy. Dzwonię do niej jeszcze tego samego popołudnia, kiedy Barry'ego nie ma w sklepie, a Dick jest zajęty sortowaniem zamówień pocztowych. Dzwonię do niej po szóstej, po wyjściu Barry'ego i Dicka. Po powrocie do domu dzwonię do informacji i dowiaduję się, jaki jest nowy numer telefonu Iana i dzwonię siedem razy, i odkładam słuchawkę, słysząc jego głos. Laura domyśla się w końcu, co się dzieje, i odbiera telefon. Dzwonię do niej następnego ranka i dwa razy po południu. Dzwonię do niej wieczorem z pubu. Po wyjściu z pubu idę pod dom Iana, żeby przekonać się, jak wygląda z zewnątrz. (Kolejny, zwykły trzypiętrowy budynek z północnego Londynu. Nie mam pojęcia, na którym piętrze mieszkają, poza tym i tak wszędzie jest ciemno.) Nie mam nic innego do roboty. Mówiąc krótko: przegrałem, znów przegrałem, tak jak z Charlie przed wielu, wielu laty.

Są mężczyźni, którzy dzwonią, i tacy, którzy nie dzwonią, i naprawdę wolę być jednym z tych pierwszych. Dzwoniący mężczyźni są mężczyznami właściwymi, takimi, o jakich myślą kobiety, kiedy pragną mężczyzny. Pomyślcie o bezpiecznym, odwiecznym i bezsensownym stereotypie:

mówię o facecie, którego z pozoru wszystko gównie obchodzi – rzuca go baba, chodzi sam do pubu przez kilka dni, a potem wraca do normy; i choć następnym razem ufa babie jeszcze mniej niż poprzednio, nie robi z siebie idioty, ani nikogo nie straszy. W tym tygodniu zrobiłem obie te rzeczy. Jednego dnia Laurze jest przykro i głupio, a następnego jest wściekła i umiera ze strachu. To ja dokonałem tej przemiany, choć wcale nie wyszło mi to na dobre. Przestałbym, gdybym mógł, ale nie miałem wyboru: przez cały czas myślę tylko o tym. „Wiem, jaki jesteś”, powiedziała Laura i chyba wie, na swój sposób: wie, że jestem kimś, kto tak naprawdę nigdy się nie przejmuje, kto ma przyjaciół, których nie widział od lat, i kto nie rozmawia już z nikim, z kim przyszło mu się przespać. Nie wie jednak, jak bardzo trzeba się napracować, żeby to osiągnąć.

* * *

Chcę je teraz zobaczyć: Alison Ashworth, która rzuciła mnie po trzech żalonych wieczorach w parku; Penny, która nie pozwalała mi się dotknąć i która potem poszła na całość i przespała się z tym sukinsynem Chrisem Thomsonem; Jackie – atrakcyjną wyłącznie wtedy, gdy chodziła z moim najlepszym przyjacielem; Sarę, z którą walczyliśmy przeciwko wszystkim szmyrgaczom na świecie i która wreszcie sama mnie szmyrgnęła. I Charlie. Szczególnie Charlie, bo chcę jej podziękować za wszystko: za moją wspaniałą pracę, erotyczną pewność siebie i całość dokonań. Chcę być prawdziwym człowiekiem i na cóż mi rozterki,

gniew, poczucie winy i obrzydzenie do samego siebie? Co zrobię, kiedy je zobaczę? Nie wiem. Może porozmawiam. Zapytam, jak się mają i czy wybaczyły mi zło, jakie im wyrządziłem, jeśli wyrządziłem im zło. Może powiem im, że wybaczyłem zło, jakie mi wyrządziły, jeśli wyrządziły mi zło. Czyż to nie wspaniałe? Gdybym zobaczył je wszystkie po kolei i przekonał się, że nie ma między nami wrogości, a został tylko lekki smutek, miękki brie zamiast starego, twardego parmezanu, poczułbym się oczyszczony, odnalazłbym spokój i mógłbym zacząć od nowa.

Bruce Springsteen bez przerwy robi to w piosenkach. Może nie bez przerwy, ale często. Znacie ten kawałek „Bobby Jean” z *Born In The USA*? No. Dzwoni do byłej dziewczyny, ale okazuje się, że ta wyjechała z miasta lata temu, i jest wkurwiony na siebie za to, że o tym nie wiedział, bo chciał się z nią pożegnać i powiedzieć, że za nią tęsknił, i życzyć jej wszystkiego najlepszego. Potem jest taka solówka na sakse, od której robi się gęsia skórka, jeśli człowiek lubi saksofonowe solówki. Bruce Springsteen. Cóż, chciałbym, żeby moje życie było jak piosenka Bruce'a Springsteena. Tylko raz. Wiem, że nie urodziłem się po to, by biec, wiem, że ulica Siedmiu Sióstr nie przypomina Drogi Grzmotu, ale uczucia niczym specjalnym się nie różnią, prawda? Chciałbym zadzwonić do tych wszystkich dziewczyn i życzyć im szczęścia, i powiedzieć im do widzenia, i wtedy one czułyby się dobrze, i ja czułbym się dobrze. Wszyscy czulibyśmy się dobrze. To byłoby... no... dobre.

Piętnaście

Zostaję przedstawiony Annie. Dick przyprawia ją wieczorem do pubu. Barry'ego akurat nie ma z nami. Jest drobna, cicha, grzeczna, lękliwie przyjazna i Dick z pewnością ją uwielbia. Chce, żebym ją zaaprobował, co przychodzi mi bez najmniejszego wysiłku. Dlaczego miałbym unieszczęśliwiać Dicka? Wcale mi na tym nie zależy. Chcę, żeby był szczęśliwy jak wszyscy. Chcę, żeby nam udowodnił, że można mieć dużą kolekcję płyt i jednocześnie być szczęśliwym w miłości.

– Nie wiesz, „czy ma dla mnie frytkę”? – pytam Dicka.

Normalnie nie mówiłbym o Annie w trzeciej osobie, przynajmniej nie wtedy, gdy z nami siedzi. Teraz jednak mam podstawy: pytanie „Czy ma dla mnie frytkę?” jest wyrazem aprobaty i jednocześnie aluzją, którą Dick chwyta w lot i uśmiecha się uszczęśliwiony.

– Richard Thompson – tłumaczy Annie. – To fragment piosenki Richarda Thompsona. „Niechaj zapłoną światła”, prawda, Rob?

– Richard Thompson – powtarza Anna głosem, z którego można wywnioskować, że przez kilka ostatnich dni zmuszono ją do przyswojenia sobie wielu bezcennych informacji. – Który to jest, bo nie pamiętam, mimo najlepszych chęci Dicka?

– Jeszcze do niego nie doszliśmy – mówi Dick. – W każdym razie Thompson śpiewa folka i rocka i jest jednym z najlepszych gitarzystów w tym kraju. Dobrze mówię, Rob? –

Ostatnie pytanie zadaje nerwowo. Gdyby siedział z nami Barry, na pewno nie omieszkałby zmieszać Dicka z błotem za ocenę Thompsona.

– Jasne, Dick – upewniam go. Dick kiwa głową z ulgą i zadowoleniem.

– Anna jest wielbicielką Simple Minds – wyznaje Dick ośmielony sukcesem z Richardem Thompsonem.

– Jasne – rzucam ni w pięć, ni w dziesięć, bo nie wiem, co powiedzieć. W naszym wszechświecie uwielbienie dla Simple Minds jest równoznaczne z politycznym samobójstwem. Nienawidzimy Simple Minds. Simple Minds zajęli pierwsze miejsce w naszym zestawieniu Pięciu Zespołów Lub Muzyków, Których Trzeba Będzie Zastrzelić, Gdy Wybuchnie Muzyczna Rewolucja. (W kolejce do plutonu egzekucyjnego ustawiliśmy także Michaela Boltona, U2, Bryana Adamsa i – o dziwo! o dziwo! – Genesis. Barry chciał także rozstrzelać Beatlesów, ale powiedziałem mu, że ktoś go ubiegł.) Wiadomość, że Dick zakolegował się z wielbicielką Simple Minds jest dla mnie tak niewyobrażalna i trudna do pojęcia, jak informacja, że zaczął spotykać się z członkinią rodziny królewskiej albo przedstawicielką gabinetu cieni: i nie chodzi o to, że podobają się sobie, ale jak w ogóle do tego doszło!

– Ale wydaje mi się, że zaczyna rozumieć, dlaczego nie powinna, prawda? – mówi Dick.

– Może... troszeczkę... – Uśmiechają się do siebie. Wygląda to żałośnie, jeśli się nad tym zastanowić.

To przez Liz przestaję wydzwaniać do Laury. Zabiera

mnie do Okrętu i daje nieźle w kość.

– Niepotrzebnie ją straszysz – mówi. – I jego.

– A co mnie on obchodzi!

– Powinien.

– Dlaczego?

– Bo... bo twoje telefony odnoszą skutek przeciwny do zamierzonego: zespalasz ich, teraz są razem przeciwko tobie. Zanim to się zaczęło, nie grali w jednej drużynie. Stanowiliście klasyczny trójkąt, w którym wszystko było możliwe. Teraz oni mają coś, co ich łączy, a przecież nie zależy ci na tym.

– Dlaczego tak bardzo tym się przejmujesz? Myślałem, że w twoich oczach jestem skurwiałym dupkiem.

– Taa... no... tak samo jak on. Ian jest jeszcze większym dupkiem, chociaż nic złego nie zrobił.

– Dlaczego jest dupkiem?

– Wiesz dlaczego.

– Skąd wiesz, że ja wiem, że jest dupkiem?

– Laura mi powiedziała.

– Rozmawialiście o tym, co według mnie jest nie w porządku z jej nowym chłopakiem?! Ciekawe, jak do tego doszłyście?

– Długimi zakolami.

– Opowiedz mi to w skrócie.

– Nie spodoba ci się.

– Nie wygłupiaj się, Liz!

– Okay. Powiedziała mi, że postanowiła od ciebie odejść w chwili, gdy usłyszała, co myślisz o Ianie i jak się na nim wyżywasz... wtedy, gdy jeszcze mieszkał nad wami.

– Wiesz, ktoś taki jak Ian najnormalniej prosi o to, żeby się na nim wyżywać. Wystarczy popatrzeć na tę jego fryzurę a la Leo Sayer, posłuchać jego głupawego śmiechu czy tanio zaangażowanych poglądów politycznych i...

Liz uśmiecha się. – Laura nie przesadzała. Nie lubisz go, prawda?

– Nie znoszę, kurwa, tego typa!

– Podobnie jak ja. Dokładnie z tych samych powodów.

– Więc o co jej chodzi?

– Powiedziała, że te twoje ataki na Iana pokazały jej, jak bardzo zgorzkniałeś... użyła właśnie tego słowa. Mówiła, że kochała cię za twój entuzjazm i twoje ciepło, i że wszystko zgubiłeś gdzieś po drodze. Będąc z tobą, przestała się śmiać i ciągle żyła w napięciu. A teraz jeszcze te telefony... Boi się jak jasna cholera. Wiesz, że mogłaby zadzwonić na policję, gdyby chciała...

Na policję! Chryste! Jednego dnia tańczysz z kimś w kuchni do muzyki Boba Willsa i Texas Playboys (hej! wtedy się śmiała, a było to zaledwie kilka miesięcy temu!), a następnego chce cię posłać do pierdła. I co mam powiedzieć? Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to gorycz. Chciałbym zapytać ją: „Niby dla kogo miałbym być ciepły? I skąd mam czerpać ten entuzjazm? Jak można kogoś rozśmieszyć, gdy szczuje cię policją?”

– Po co do niej wydzwaniasz? Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żeby wróciła?

– No właśnie! Jak myślisz?

– Nie wiem. Laura też nie wie.

– Jak nie wie, to o co chodzi?

– Zawsze o coś chodzi. W tym wypadku może chodzić o to... jak uniknąć takiego bagna następnym razem. To ważne.

– Następnym razem? Myślisz, że będą jakieś następne razy?

– Przestań, Rob. Zachowujesz się żałośnie. I zadałeś aż trzy pytania, żeby uniknąć odpowiedzi na moje jedno.

– Jakie jedno?

– Cha, cha... Widziałam takich mężczyzn ja ty na filmach z Doris Day. Myślałam, że nie istnieją naprawdę. – Zaczyna mówić z głupim, amerykańskim akcentem. – Faceci, którzy nie potrafią z nikim się związać, którzy nie mogą wydobyć z siebie „kocham”, nawet jeśli chcą, i którzy na słowo „miłość” reagują kaszlem, pluciem i wysypką, i szybko zmieniają temat. Zupełnie jak ty. Żywy, oddychający okaz. Niesamowite!

Wiem, o jakich filmach mówi i uważam je za głupie. Takich mężczyzn nie ma. Mówienie „kocham” jest łatwe i proste jak szczanie i prawie każdy facet, jakiego znam, bez przerwy mówi jakiejś, że ją kocha. Faktem jest, że parę razy zachowywałem się tak, jakbym nie mógł tego powiedzieć i nawet nie wiem dlaczego? Może chciałem rozegrać ów moment niczym wiejski romans z Doris Day w roli głównej i nadać mu rangę, na jaką nie zasługiwał. Wiecie, jak to wygląda: siedzi się z jakąś i zaczyna coś mówić, a potem przerywa w pół słowa, wtedy ona pyta: „Co?”, a wy mówicie: „Nic”, na co ona reaguje: „Powiedz to, proszę”, a wy: „Nie, bo to zabrmi głupio”, wreszcie zmusza was do wyrzucenia tego z siebie, choć i tak przez cały czas chcieliście jej to powiedzieć, a ona myśli, że usłyszała Bóg-wie-co, bo sama to

sobie wywalczyła. Z drugiej strony, może się domyślać, że robicie z niej balona, ale wcale to jej nie przeszkadza. Bo jak mówi przysłowie: wszyscy gramy swoje marne komedie, choć zdarzają się takie dni, kiedy chciałoby się pożyć naprawdę.

Nie mam zamiaru wyprowadzać Liz z błędu. Nie powiem jej, że w tym wszystkim chodzi jedynie o odzyskanie kontroli, że nie wiem, czy Kocham Laurę czy nie i nigdy nie dowiem się na pewno, jeśli będzie mieszkała z obcym facetem. Wolę, żeby Liz została z przekonaniem, że należę do owych milczących i zatwardziałych przeciętniaków, którzy dopiero po latach widzą światło. Chyba nie wyjdzie mi to na złe – myśląc perspektywicznie.

Szesnaście

Zaczynam od Alison. Proszę mamę o odnalezienie numeru jej rodziców w książce telefonicznej i mam już jakiś początek.

– Czy mówię z panią Ashworth?

– Owszem. – Nigdy nie przedstawiono mnie pani Ashworth. Podczas mojego sześciogodzinnego romansu z jej córką nie było okazji bliżej się poznać.

– Jestem starym znajomym Alison i chciałbym się z nią skontaktować.

– Czy podać panu jej adres w Australii?

– Eee... jeśli tam mieszka... taak. – Nie będę wybaczał Alison w pośpiechu. Zajmie mi to tygodnie: tygodnie, zanim zabiorę się do pisania listu, i kolejne tygodnie czekania na odpowiedź.

Dostaję adres córki pani Ashworth i pytam, jak się tam znalazła. Okazuje się, że wyszła za kogoś z branży budowlanej. Jest pielęgniarką, ma dwoje dzieci, córki i tak dalej, i tym podobne. W ostatniej chwili gryzę się w język i nie pytam pani Ashworth, czy Alison mnie wspomina. Nie wolno przesadzać z egotyzmem. Pytam jeszcze o Davida, który pracuje w Londynie i jest księgowym, ma żonę i dwie córki (Boże, czy w tej rodzinie nikt nie potrafi spłodzić chłopca? Kuzynka Alison też niedawno urodziła dziewczynkę!). Wyrażam niedowierzanie we wszystkich stosownych miejscach.

– Skąd... pan zna Alison?

– Byłem jej pierwszym chłopcem.

Zapada cisza i przez moment zastanawiam się, czy w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie oskarżano mnie w domu Ashworthów o jakąś zbrodnię na tle seksualnym, której nie popełniłem.

– Hmm... Alison wyszła za swojego pierwszego chłopca... Jest teraz panią Bannister.

Wyszła za Kevina Bannistera! A więc zostałem odepchnięty przez siły, na które nie mogłem mieć wpływu! To niesamowite! Nie dałbym rady, porywając się na kismet! Byłem bez szans. Nie ponoszę żadnej winy: Alison nie rzuciła mnie z powodu moich braków. Rozmawiam z panią Ashworth i czuję, jak rana zadana przez jej córkę zaczyna się zablźniać.

– Naprawdę tak mówi? Chyba kłamie... – To miał być żart, ale nie został właściwie odebrany.

– Że co?!

– Nie, nie... taki żart na boku... cha, cha... Mówiąc poważnie, spotykałem się z nią przed Kevinem. Ale tylko przez jakiś tydzień... – Musiałem trochę dodać, bo gdybym powiedział jej prawdę, wzięłaby mnie za obłąkanego. – W każdym razie i to się liczy, prawda? Całus jest całusem, prawda? Cha, cha, cha... – Nie dam się wyrzucić z kart historii! Odegrałem swoją rolę. Nawet jeśli byłem statystą.

– Przepraszam, nie dosłyszałam pańskiego nazwiska?

– Rob, Bobby. Bob. Robert. Robert Zimmerman... – A co, kurwa, nie można?

– No cóż, Robercie, powiem Alison, że dzwoniłeś. Chociaż nie jestem pewna, czy cię pamięta...

Ma rację, rzecz jasna. Będzie pamiętała wieczór, kiedy odeszła z Kevinem, ale nie to, co było przedtem. Chyba tylko ja pamiętam poprzedni wieczór. Zdaje się, że powinienem zapomnieć o nim lata temu, ale zapominanie nie jest moją najmocniejszą stroną.

Do sklepu wchodzi facet i chce kupić temat z Fireball XL5 dla żony na urodziny (mam oryginalne wydanie, które oddaję mu za dychę). Jest może o dwa, trzy lata młodszy ode mnie, ale wygląda na elokwentnego, ma na sobie garnitur i macha kluczami do samochodu, i te trzy rzeczy sprawiają – nie wiedzieć czemu? – że czuję się od niego młodszy o jakieś dwie dekady, czuję się jak dwudziestolatek rozmawiający z facetem po czterdziestce. I nagle ogarnia mnie nieodparte pragnienie zapytania go, co o mnie sądzi. Nie poddaję się mu, rzecz jasna („Oto pańska reszta, to płyta, a teraz proszę – tylko bez wykrętów – przyznać, że uważa mnie pan za śmiecia, prawda?”), ale później myślę o tym latami... zastanawiam się, jak wyglądałem w jego oczach?

Facet ma żonę, co już samo w sobie jest przerażające, ma takie kluczyki do auta, że może sobie nimi machać bez obawy, że wzbudzi politowanie, czyli na pewno ma bmw albo batmobila, albo coś równie egzotycznego; dalej, ma pracę i chodzi do niej w garniturze, który nawet w moich oczach laika wyglądał na bardzo drogi. Co prawda, dzisiaj wyglądam bardziej elegancko niż zwykle – włożyłem stosunkowo nowe, czarne dżinsy, a nie starożytne niebieskie; do nich koszulkę polo z długim rękawem, i w dodatku wyprasowaną! – ale mimo to nie przypominam dorosłego

mężczyzny wykonującego dorosłą pracę. Czy chciałbym wyglądać tak jak on? Nie sądzę, chyba nie. Chodzi o to, że znów wpadłem w depresję i rozważam po raz setny kwestię znaczenia muzyki pop: czy lubię ją dlatego, że jestem nieszczęśliwy, czy raczej jestem nieszczęśliwy dlatego, że ją lubię. Pomogłoby mi, gdybym wiedział, czy ten facet myślał kiedyś o tym. Czy siedział kiedyś samotnie, otoczony tysiącami, wieloma tysiącami piosenek o... o... (wyduś to wreszcie, człowieku!) ... no o miłości. Sądzę, że nie. Podobnie jak Douglas Hurd i ten facet, który kieruje Bankiem Anglii. Podobnie jak David Owen, Nicholas Witchell i Kate Adie, i cała masa innych sławnych ludzi, których powinienem znać, ale nie znam, bo nigdy nie grali z Bookerem T and the MGs. Ci ludzie zawsze wyglądają tak, jakby nigdy nie mieli czasu na wysłuchanie pierwszej strony *Al Green's Greatest Hits*, nie mówiąc już o innych rzeczach (jak choćby dziesięciu albumach samej wytwórni Hi, choć tylko dziewięć z nich wyprodukował Willie Mitchell); są zbyt zajęci progami podatkowymi i wprowadzaniem pokoju w byłej Jugosławii, żeby zanucić sobie „Sha La La (Make Me Happy)”.

Mogą więc naskoczyć na mnie za brak powszechnie akceptowanej powagi (choć jak wszyscy wiedzą, album *Al Green Explores Your Mind* jest poważny jak samo życie), ja za to jestem od nich lepszy, jeśli idzie o sprawy sercowe. Mógłbym powiedzieć tak: „Droga Kate, to wspaniale, że widać cię wszędzie tam, gdzie toczą się wojny, ale co masz zamiar zrobić z tym, co naprawdę się liczy? I wiesz, o czym mówię, małańka”. Potem mógłbym udzielić jej paru cennych

rad w sprawach uczuciowych, czerpiąc z bogatej skarbnicy wiedzy, jaką zdobyłem w Muzycznym Uniwersytecie. Szkoda, że jest inaczej. Nie mam pojęcia, jak wygląda życie uczuciowe Kate Adie, ale na pewno nie jest w gorszym stanie niż moje. Wykluczone, prawda? Spędziłem blisko trzydzieści lat na słuchaniu ludzi śpiewających o złamanym sercu i czy to coś pomogło? Gówno, nie pomogło.

Więc może jest coś w tym, co powiedziałem o słuchaniu płyt i brużdzeniu sobie w życiu... może naprawdę coś w tym jest. Weźmy takiego Davida Owena... jest żonaty, prawda? Zadał o to wcześniej, a teraz został wielkim dyplomata. Facet, który przyszedł do sklepu w garniturze, machając kluczykami, też był żonaty i został no... nie wiem... biznesmenem. Ja z kolei nie mam żony – w tej chwili jestem tak nieżonaty, jak to tylko możliwe – i co? Mam podupadający sklep z płytami. Wydaje mi się, że jeśli umiejscowi się muzykę (albo książki czy filmy, czy teatr, czy cokolwiek, co każe nam czuć) w centrum zainteresowań, to nie ma szans na poradzenie sobie z własnym życiem emocjonalnym, nie ma szans na myślenie o nim jak o skończonym produkcie. I co zostaje? Wydzieranie z niego po kawałku i dokładanie do ognia, wzbudzanie napięcia po to, by znów wydrzeć kolejny kawałek, tym razem większy, aż wreszcie nic nie zostaje i trzeba zaczynać od nowa. Może ci z nas, którzy pochłaniają uczucia całymi dniami, żyją na zbyt dużych obrotach, i w konsekwencji nie potrafią usiąść i delektować się zwykłym radosnym zadowoleniem. My musimy być nieszczęśliwi, albo przeciwnie, pijani, odurzeni szczęściem, a oba te stany trudno jest osiągnąć w zwykłym,

stabilnym związku. Może Al Green jest bardziej winny, niż przypuszczałem...

Widzicie, płyty bez wątpienia pomagały mi się zakochiwać. Usłyszałem coś nowego, jakąś zmianę akordu, po której zrobiło mi się miękko w nogach, i zanim zdążyłem się zorientować, szukałem kogoś, i zanim zdążyłem się zorientować, znajdowałem. Zakochałem się w Rosie od jednoczesnego orgazmu po tym, jak zakochałem się w piosence „Cowboy Junkies”: słucałem jej i słucałem, i wpadłem w rozmarzenie, i potrzebowalem kogoś, o kim mógłbym marzyć, i znalazłem ją, i... wpadłem w tarapaty.

Siedemnaście

Z Penny jest łatwo. Nie chodzi mi o... no wiecie... to łatwo (gdyby mi o to chodziło, nie musiałbym się z nią spotykać i rozmawiać o waleniu i Chrisie Thomsonie, bo sam bym ją zwalił i nie musiał wysłuchiwać tego durnia przy całej klasie); chodzi mi o to, że łatwo ją znajduję. Moja mama dosyć często widuje się z jej mamą i jakiś czas temu dała mi jej numer z prośbą o telefon, a jej mama dała jej mój numer z podobną prośbą, i żadne z nas z nich nie skorzystało, choć ja zachowałem kartkę. Penny jest zaskoczona słysząc mój głos – zapada długa, komputerowa cisza, podczas której jej pamięć przetwarza megabajty nazwisk, wreszcie: klik! dopisuje nazwisko do osoby i wybucha krótkim śmiechem – ale nie jest, jak sądzę, niezadowolona, i umawiamy się na wyjście do kina na jakiś chiński film, który musi obejrzeć ze względu na pracę, i po którym zjemy kolację.

Film jest okay, lepszy niż przypuszczałem – o takiej kobiecie, którą wysyłają, żeby zamieszkała z jednym Chińczykiem (domyślcie się, co nie?), który ma już dziesiątki żon. Film opowiada o tym, jak ta nieszczęsna dziewczyna daje sobie radę z rywalkami, to znaczy nie daje sobie rady, jak to w życiu, oczywiście. Penny ma taki specjalny długopis ze światełkiem na końcu – jeden z tych, jakie dają krytykom filmowym, choć nie jest krytykiem, a dziennikarką radiową z BBC – i ludzie patrzą na nią i szturchają się znacząco, a ja – siedząc obok niej – czuję się jak idiota. (Muszę dodać, choć nie zabrzmiało to elegancko, że

wygląda śmiesznie nawet bez tego długopisu: Penny zawsze należała do dziewcząt ubierających się w sposób... nazwijmy go... tradycyjnym, ale to, co dzisiaj włożyła na siebie, czyli długa suknia w kwiaty i beżowy prochowiec, nadaje słowu „tradycyjny” niezamierzone, komiczne znaczenie. „Co robi ten czadowy koleś w skórzanej kurtce ze starszą siostrą Margaret Thatcher?” – pytają siebie siedzący wokół nas widzowie. Zapewne.)

Idziemy do włoskiej restauracji, którą zna i w której ją znają, bo serwując potrawy wykonują dziwne, wulgarne ruchy z pieprzniczką, co wprowadza ją w rozbawienie. Często bywa tak, że ludzie traktujący poważnie swoją pracę cieszą się z głupich żartów, jakby brakowało im innych powodów do radości, co w konsekwencji prowadzi do przedwczesnej ejakulacji śmiechem. Ale Penny jest okay, naprawdę. Jest fajna, jest jak fajny kumpel i łatwo przychodzi mi nawiązanie z nią rozmowy o Chrisie Thomsonie i waleniu. Po prostu zaczynam o tym mówić bez specjalnych powodów.

Próbuję przypomnieć jej tę historię w lekki, autoironiczny sposób (przecież mówię o sobie, a nie o nim czy o niej), ale Penny wpada w panikę i wygląda na pełną niesmaku: odkłada nóż i widelec, patrzy gdzieś w bok i widzę, że jest bliska łez.

– Skurwysyn – wyrzuca z siebie. – Żałuję, że mi o tym przypomniałeś.

– Przepraszam. Myślałem, że... no wiesz... to było tak dawno i w ogóle...

– W twoich ustach zabrzmiało to tak, jakby wydarzyło się wczoraj.

Słusznie.

– Nie, nie. Pomyślałem tylko, że to dziwne...

– Skąd ta nagła potrzeba przypomnienia mi o tym?

Wzruszam ramionami. – Nie wiem. Tylko...

Potem wykazuję jej czarno na białym, że owszem, wiem: opowiadam jej o Laurze i Ianie (choć nie wspominam o Marie, pieniądzech, aborcji czy upierdliwej jak wrzód na dupie Rosie), i o Charlie, o Charlie nawet więcej, niżby chciała wiedzieć; próbuję jej wyjaśnić, że czuję się jak Człowiek Odrzucony, że Charlie wołała sypiać z Marco, a nie ze mną, że Laura woli sypiać z Ianem, a nie ze mną, że Alison Ashworth – przed wielu, wielu laty – wołała całować się z Kevinem Bannisterem, a nie ze mną (jednak w tym miejscu dzielę się z nią swoimi nowymi odkryciami na temat niezwykniętego kismet), i że wreszcie ona sama wołała Chrisa Thomsona, a nie mnie, więc może będzie tak dobra i pomoże mi zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, dlaczego jestem bezspornie skazany na odrzucenie?

Pomaga mi i wyjaśnia z wielką mocą, i – nie ma co ukrywać – jadę, to co pamięta: że szalała na moim punkcie i że chciała się ze mną przespać, ale nie w wieku szesnastu lat, na co jej nie pozwoliłem, bo rzuciłem ją, nie czekając na to, co będzie później. – Kiedy mnie rzuciłeś – powtarza wściekle – bo byłem, żeby użyć twojego czarującego wyrażenia, „ciasna”, płakałam i płakałam, i nienawidziłam cię. A wtedy pojawił się ten gówniarz i umówił się ze mną, a ja byłem zbyt wykończona, żeby z nim walczyć i... to nie był gwałt, bo powiedziałam okay, ale coś w tym rodzaju. A potem nie spałam z nikim przez wiele, wiele lat. Zrobiłam to

dopiero po studiach, bo tak nienawidziłam seksu. A teraz
zjawiasz się i chcesz ze mną rozmawiać o odrzuceniu. Coś ci
powiem: pierdolę cię, Rob!

Mam więc kolejną, którą nie muszę się przejmować.
Powinienem był to zrobić lata temu.

Osiemnaście

Po wewnętrznej stronie sklepowych drzwi wisi przyklepiona taśmą, napisana odręcznie ulotka, pożółkła i przyprószone kurzem. Napisano na niej co następuje:

POTRZEBNY CZADOWY, MŁODY PISTOLET
(BAS, BĘBNIY, GITARA) DO NOWEGO ZESPOŁU.
KONIECZNY ODPAL NA REM, PRIMAL SCREAM,
FAN CLUB ETC. PYTAĆ U BARRY'EGO W
SKLEPIE.

Kiedyś pod tekstem widniało zniechęcające postscriptum: BYLE NIE LUZNIACHA, BŁAGAM, ale po braku jakiegokolwiek odzewu przez kilka pierwszych lat rekrutacji, Barry postanowił przyjmować również luzniaków, zresztą bez większego efektu; może nie mogli się zebrać na przejście od drzwi do lady. Jakiś czas temu pojawił się facet z bębnami i nawet odbyło się kilka prób minimalistycznego duetu perkusja/wokal (niestety, nie zachowały się żadne taśmy), ale Barry doszedł do całkiem słusznego wniosku, że potrzebne mu jest pełniejsze brzmienie.

Od tamtej pory zapadła cisza... aż do dziś. Dick zauważa go pierwszy, szturcha mnie w bok i razem patrzymy zafascynowani, jak facet czyta ulotkę. Gdy odwraca się w naszą stronę, by sprawdzić, który z nas jest Barry, szybko wracamy do poprzednich zajęć. Nie jest ani czadowy, ani młody – wygląda bardziej na technicznego z obsługi Status

Quo, niż na przyszłą gwiazdę nastolatków z okładki *Smash Hits*. Ma długie, rzadkie, czarne włosy związane w kitkę i brzuch wystający zza paska, gdzie zostało mu za mało miejsca. W końcu podchodzi do lady i pokazuje ręką ulotkę.

– Czy jest ten facet Barry?

– Zaraz go poproszę.

Idę do magazynu, gdzie Barry odbywa drzemkę.

– Oj, Barry. Przyszedł jakiś gość z ogłoszenia.

– Jakiego ogłoszenia?

– O zespole.

Otwiera oko i patrzy na mnie. – Odpierdol się.

– Poważnie. Chce z tobą porozmawiać.

Zrywa się i idzie do sklepu.

– Taa?

– Ty dałeś to ogłoszenie?

– Zgadza się.

– Na czym grasz?

– Na niczym. – Zżerająca Barry'ego pasja zagrania kiedyś w Madison Square Garden nie objawiła się w tak przyziemny sposób, by zmusić go do nauki gry na instrumencie.

– Ale śpiewasz, tak?

– Taa.

– Szukamy wokalisty.

– Co gracie? .

– No... te rzeczy, o których... wiesz... wspomniałeś. Ale jesteśmy za eksperymentami. Chcemy zachować korzenie popu, ale pociągnąć trochę wszecz.

Boże uchwaj!

– Brzmi nieźle.

– Nie mamy jeszcze koncertów ani nic takiego. Dopiero zaczęliśmy. Trochę dla śmichu... wiesz, jak to jest... Zobaczysz się, co będzie dalej, kapujesz?

– Jasne.

Techniczny z Quo pisze jakiś adres, ścisną dłoń Barry'ego i wychodzi. Razem z Dickiem wpatrujemy się w jego plecy, tak na wszelki wypadek, bo mogą mu przecież wyrosnąć skrzydła, mogą otoczyć go ognie Św. Elma, albo może po prostu zniknąć.

Barry natomiast chowa adres do kieszeni dżinsów i rozgląda się za płytą, której da się słuchać, jakby to, co przed chwilą zaszło – owo pojawienie się znikąd tajemniczego nieznanego spełniającego najskrytsze marzenia – nie było żadnym cudem, na który tyłu z nas czeka na próżno.

– Co? – pyta. – Co jest z wami? To tylko zwykła, garażowa kapela, nic więcej.

Jackie mieszka w Pinner – niedaleko od miejsca, w którym dorastaliśmy – razem z moim byłym przyjacielem Philem. Dzwonię do niej i od razu mnie poznaje – chyba dlatego, że byłem jedynym Innym Mężczyzną w jej życiu – choć na początku odnosi się do mnie z rezerwą i podejrzliwością, jakbym telefonował po to, żeby zacząć wszystko jeszcze raz. Mówię jej, że mama i tato mają się dobrze, że prowadzę sklep, że nie jestem żonaty i nie mam dzieci. W tym momencie jej podejrzliwość ustępuje miejsca współczuciu przemieszanemu zapewne z odrobiną poczucia winy. (Czy to przeze mnie? myśli, a ja to słyszę. Czy jego życie uczuciowe skończyło się w roku 1975, kiedy wróciłam

do Phila?) Odpowiada, że mają dwójkę dzieci i mały domek, że oboje pracują, choć nie studiowała, tak jak zawsze przewidywała. Dalej następuje chwila ciszy, którą kończy zaproszeniem do domu na kolację, potem znów chwila ciszy, którą kończę przyjęciem zaproszenia.

Jackie ma siwe pasemka we włosach, ale wciąż jest ładna, miła i rozsądna i nie brak jej żadnej z zalet, które miała przed laty. Całuję ją w policzek i wyciągam rękę do Phila. Phil jest już mężczyzną, ma wąsy, koszulę z długim rękawem, zakola i rozluźniony krawat, i robi przedstawienie przed podaniem mi dłoni – chce mi pokazać, że chwila jest symboliczna i że wybacza mi mój brak wycucia sprzed wielu, wielu lat. Chryste, myślę, podobno słonie są pamiętliwe; czy faceci z serwisu British Telecom także? Z drugiej strony przyszedłem tu po to, żeby rozdrapywać rany, które dla większości ludzi byłyby niczym więcej jak skazą na skórze.

Jackie i Phil są dwójką najnudniejszych ludzi w południowo-wschodniej Anglii – zapewne dlatego, że zbyt długo są małżeństwem i nie mają już o czym rozmawiać poza tym, jak dawno ze sobą żyją. W końcu nie wypada mi pytać o nic innego jak o sekret ich długoletniego pożycia, co robię z przymrużeniem oka. Okazuje się, że oszczędziłem sobie czasu, bo i tak mieli zamiar powiedzieć mi o tym.

– Jeśli znajdziesz kogoś właściwego, to wiesz, że znalazłeś kogoś właściwego, bez względu na to, ile masz lat. (Phil)

– Związek dwojga ludzi wymaga pracy. Nie można rzucać wszystkiego w kął za każdym razem, gdy coś się nie udaje. (Jackie)

– Zgadza się. Łatwo jest spakować manatki i zacząć od nowa z kimś, kto właśnie wpadł ci w oko. Prędzej czy później dojdiesz do etapu, kiedy będziesz musiał pracować nad nowym związkiem. (Phil)

– Mówiąc szczerze, nie jadamy obiadów przy świecach i nie robimy sobie wiecznych miesięcy miodowych. To już przeszłość. Teraz jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi. (Jackie)

– Nie możesz wskoczyć do łóżka z pierwszą z brzegu i mieć jednocześnie nadziei, że twoje małżeństwo to przetrzyma – bez względu na to, co się o tym mówi. (Phil)

– Dzisiejsza młodzież nie rozumie... – Nie, nie, żartuję. Tak czy inaczej, Jackie i Phil przekazują mi swoją wiedzę o szczęśliwym stadle w sposób ewangeliczny, zupełnie tak, jakbym przyjechał z północnego Londynu, by zaaresztować ich za to, że są monogamiczni. Nie to było moim zamiarem, ale nie mylą się: tam skąd pochodzę, monogamia jest zbrodnią, jest wbrew prawu, bo wszyscy jesteśmy cynikami i romantykami, czasami jednocześnie, i nienawidzimy stanu małżeńskiego – w jego zbanalizowanej, tłęcej się jak dogasająca żarówka formie – tak jak wampiry czosnku.

Jestem w domu i nagrywam kompilację jakichś starych singli, gdy odzywa się telefon.

– Cześć. Mówię z Robem?

Rozpoznaję głos, który należy do kogoś, kogo nie lubię, ale nic ponad to.

– Mówi Ian, Ray...

Milczę.

– Wiesz... pomyślałem, że powinniśmy pogadać. Wyprostować parę rzeczy...

Kurwa... ja chyba śnię! Śnię albo oszalałem. Albo... coś... oszalało. Tak się mówi, gdy chce się zakomunikować fakt, że coś, co było okay, wyrwało się spod kontroli, na przykład: „Nasza demokracja oszalała”. Chcę użyć tego wyrażenia, ale nie wiem, co jest tym „czymś”. Północny Londyn? Życie? Lata dziewięćdziesiąte? Nie wiem. Jedyne co wiem, to to, że w przyzwoitym, zdrowym społeczeństwie Ian nie dzwoniłby do mnie, żeby wyprostować parę rzeczy. Ja również nie dzwoniłbym w tej sprawie do niego. Zamiast rzeczy wyprostowałbym Iana, ale jeśli chce jeść przez tydzień własne spodnie, to dobrze trafił.

– Co trzeba wyprostować? – Jestem tak wściekły, że drży mi głos, tak jak wtedy, kiedy w szkole groziła mi bójka; w efekcie mój głos nie brzmi wściekle, a lękliwie.

– Nie wygłupiaj się, Rob! Mój związek z Laurą na pewno sprawił ci wielką przykrość...

– Fakt, nie skacze z radości. – Krótko i węzłowato.

– Z tym że tutaj nie chodzi o żarty, Rob. Chodzi natomiast o podpadające pod kodeks karny uciążliwe nękanie. Dziesięć telefonów nocą, wystawanie pod moimi oknami...

Kurwa mać! Jak mnie zobaczył?!

– Taa, mamy to już za sobą, prawda? – Żadne krótko i węzłowato; bąkam i mamrocze, jakbym czuł się winny.

– Zauważyliśmy to i bardzo się cieszymy. Ale wiesz... chodzi o to, że chcemy zawrzeć pokój. Chcemy ci pomóc. Problem w tym, że nie wiemy, jak to zrobić? Rzecz jasna,

Laura jest dla mnie kimś wyjątkowym, ale zdaję sobie sprawę, co możesz teraz czuć. Nie chciałbym jej stracić. Ale gdyby postanowiła odejść, uszanowałbym tę decyzję. Rozumiesz, co mówię?

– Taa.

– Dobrze. Więc na czym staniemy?

– Nie wiem. – I rzucam słuchawką. Nie po jakiejś ciętej, przyszpilającej go do podłogi ripocie czy wściekłym steku wyzwisk, tylko po zwykłym „nie wiem”. Do końca życia tego nie zapomni.

ON: Dobrze. Więc na czym staniemy? JA: Stań se na głowie, żaloszny skurwysynu! Liz miała co do ciebie rację. [I rzucam słuchawką.]

ON: Dobrze. Więc na czym staniemy?

JA: Na niczym, Ian. Przynajmniej nie ja! Na twoim miejscu zmieniałbym numer telefonu. Zmieniałbym adres. Jeszcze będziesz wspominał te piękne czasy, kiedy tylko raz dziennie wystawałem przed domem i dziesięć razy dzwoniłem w nocy. Uważaj na siebie, chłopie. [I rzucam słuchawką.]

ON: Ale gdyby postanowiła odejść, uszanowałbym tę decyzję.

JA: Gdyby postanowiła odejść od ciebie, uszanowałbym tę decyzję. Szanowałbym ją. Jej przyjaciele by ją szanowali. Wszyscy krzyknęliby: hurra!, bo świat stałby się lepszym miejscem.

ON: Mówi Ian, Ray.

JA: Odpierdol się. [I rzucam słuchawką.]

No cóż...

No cóż, nic... Tak powinienem był zareagować. Powinienem był użyć przynajmniej jednego przekleństwa. A już na pewno powinienem był zagrozić mu skuciem mordy. Nie powinienem rzucać słuchawką po „nie wiem”. Wiem, że nie da mi to spokoju i będzie mnie dręczyło aż padnę trupem na raka albo atak serca. I trzęsę się, i drzę, i poprawiam w głowie kolejne scenariusze, aż jad spływa z nich gęsty jak krew. Ale i to nie pomaga.

Dziewiętnaście

Sarah wciąż przysyła mi kartki na Boże Narodzenie z adresem i numerem telefonu. (Rzecz jasna nie wypisuje ich: nalepia takie gówniane samoprzylepne wizytówki.) Na kartkach nie ma nic innego oprócz „Wesołych Świąt! Ucałowania, Sarah” pisanego odręcznie okrągłym pismem nauczycielki. Rewanżuję się jej podobnym pustosłowiem. Kilka lat temu zauważyłem, że zmieniła adres; zauważyłem też, że zmieniła adres z Ulicy Numer na Ulicę Numer Łamany Przez Literę, i to nie „a” albo „b”, co zazwyczaj oznacza dom, ale „c” czy „d”, co może tylko oznaczać mieszkanie. Specjalnie się nad tym wówczas nie zastanawiałem, ale teraz fakt ów nabiera zupełnie nowego sensu. Według mnie Ulica Numer należała do Toma, a Ulica Numer Łamany Przez Literę należy do Sary, co może oznaczać tylko jedno: Tom dał nogę. Sprytny jestem? Prawda?

Wygląda tak samo – może trochę schudła (Penny strasznie przytyła, ale na jej usprawiedliwienie mam to, że jest dwa razy starsza od tej, którą znałem w szkole; Sarah natomiast postarzała się tylko o pięć lat, przez które kobiety jeszcze nie grubieją) i wciąż patrzy na mnie spod grzywki. Umawiamy się na pizzę i przeraża mnie to, jak wiele to dla niej znaczy... to znaczy nie sama pizza, ale to, że się umawiamy. Tom dał nogę, i to w dosyć spektakularny sposób. Wyobraźcie sobie coś takiego: nie powiedział jej, że jest nieszczęśliwy w ich związku, że chciałby spotykać się z

kimś, kogo poznał, że wreszcie spotyka się z nią. Nieee... Powiedział jej, że ma zamiar się ożenić! Klasyk, he! Powinienem tarzać się ze śmiechu, ale udaje mi się opanować. Jest to jedna z tych pechowych historii, w których cierpią tylko ofiary, więc potrząsam z niedowierzaniem głową i wpadam w zadumę nad okrucieństwem tajemniczego wszechświata.

Sarah wpatruje się w kieliszek z winem. – Nie wiem, dlaczego zostawiłam cię dla niego – oznajmia. – Musiałam chyba oszaleć.

Nie chcę tego słyszeć! Nie chcę, żeby odrzuciła odrzucenie. Chcę, żeby je wyjaśniła i żebym mógł ją rozgrzeszyć.

Wzruszam ramionami. – Wtedy uważałaś to pewnie za doskonały pomysł.

– Pewnie tak... nie pamiętam już...

Mógłbym w zasadzie zaciągnąć ją do łóżka i wcale mnie to nie przeraża. Czy jest lepszy sposób na wyegzorcyzmowanie demonów odrzucenia, niż przelecieć tę, która cię odrzuciła? Lecz w tym wypadku nie spałbym jedynie z osobą: zabrałbym do łóżka całą smutną subkulturę ludzi samotnych. Jeśli pójdziemy do niej, na pewno będzie tam kot, i kot wskoczy do łóżka w zasadniczym momencie, więc trzeba będzie przestać i czekać, aż przegoni zwierzę i zamknie je w kuchni. Prawdopodobnie puści mi nagrania Eurythmics i nie będzie miała nic do picia. Na pewno nie potraktuje mnie jednym z tych spojrzeń w stylu wiesz-baby-także-bywają-napalone, które poznałem u Marie LaSalle; potem będą telefony, zażenowanie i wyrzuty sumienia. Więc

nie zaciągnę Sary do łóżka, chyba że w trakcie wieczoru okaże się, że oprócz niej nic mnie już w życiu nie czeka. Łatwo potrafię sobie wyobrazić, jak ulegam tej mrocznej wizji: przecież tak zaczęliśmy parę lat temu. Dlatego odeszła ode mnie do Toma. Obliczyła to sobie, sprawdziła własne szanse i wyszło jej na to, że musi odejść. Teraz chciałaby spróbować jeszcze raz i fakt ów mówi o niej i o mnie więcej niż pieniądze: Sarah ma trzydzieści pięć lat i wie, że życie nie zaoferuje jej już niczego więcej oprócz takich wieczorów jak ten, spędzanych przy pizzy ze starym chłopakiem, którego tak naprawdę wcale nie lubiła. Dosyć ponura perspektywa, ale doskonale rozumie, dlaczego tak się stało.

Cóż, oboje wiemy, że to nie powinno być takie ważne, że w życiu liczą się jeszcze inne sprawy oprócz parzenia, a za taki styl wegetacji winę ponoszą media i tak dalej, i tym podobne. Czasami jednak trudno w to uwierzyć, szczególnie w niedzielny rano, kiedy ma się jeszcze dziesięć godzin do otwarcia pubu i pierwszej rozmowy dnia.

Nie mam serca zmuszać jej do dyskusji o odrzuceniu. Nie ma między nami wrogości i cieszę się, że to ona mnie spławiła, a nie odwrotnie. Mam i bez tego dosyć poczucia winy. Rozmawiamy trochę o filmach – podobał jej się *Tańczący z wilkami* i dostawała gęziej skórki od ścieżki dźwiękowej *Wściekłych psów* – potem o pracy, potem trochę o Tomie i trochę o Laurze, choć w tym miejscu kłamię i nie mówię, że się rozstaliśmy, tylko że przechodzimy ciężki okres. Zaprasza mnie do siebie, ale nie idę i rozstajemy się zgodni co do tego, że spędziliśmy miły wieczór, który trzeba będzie powtórzyć. Teraz została tylko Charlie.

Dwadzieścia

– Jak tam eksperymentowanie? Wciąż zachowujesz korzenie popu rozciągając je trochę wszertz?

Barry piorunuje mnie wzrokiem. Nie znosi rozmów o zespole.

– Właśnie, czy naprawdę słuchają tego, co ty? – pyta Dick z niewinną miną.

– My nie słuchamy piosenek, Dick. My je piszemy. Są nasze.

– Zgadza się – mówi Dick. – Przepraszam.

– Nie pieprz, Barry – wtrącam się. – Powiedz lepiej, jak brzmią wasze piosenki. Zrzynacie z Beatlesów? Nirvany? Papy Abrahama i Smurfów?

– Artyści wywierający na nas wpływ na pewno nie są ci znani – odpowiada Barry.

– Przekonaj mnie.

– Głównie Niemcy.

– Jacy? Kraftwerk i te rzeczy?

Spogląda na mnie z politowaniem. – Eee... niezupełnie.

– Więc kto?

– Na pewno o nich nie słyszałeś, Rob, więc przymknij jadaczkę.

– Wymień choćby jednego.

– Nie.

– Więc podaj choćby inicjały.

– Nie.

– Bo wszystko, kurwa, zmyśliłeś, zgadza się?

Wychodzi ze sklepu.

Wszyscy tak robią i myślą, że to najlepsza odpowiedź. Przykro mi, ale jeśli ktoś na tym świecie potrzebuje baby, to tym kimś na pewno jest Barry.

Wciąż mieszka w Londynie – zdobywam jej telefon i adres w Usługach Informacyjnych – w Ladbroke Grove. Dzwonię, ale trzymam słuchawkę nie dalej niż cal od telefonu, by móc ją odłożyć, gdy tylko ktoś odbierze. Odkładam. Próbuję jeszcze raz jakieś pięć minut później, i teraz trzymam słuchawkę nieco bliżej ucha i słyszę, że odpowiada maszyna. Mimo to odkładam słuchawkę. Nie jestem jeszcze gotów, by usłyszeć jej głos. Za trzecim razem wysłuchuję nagrania; za czwartym zostawiam wiadomość. To niesamowite, naprawdę, gdy pomyśleć, że mogłem to zrobić w każdej chwili przez ostatnie dziesięć lat, i mimo wszystko nie zrobiłem: Charlie nabrała w mojej wyobraźni takiego znaczenia, jakby mieszkała na Marsie i próby nawiązania z nią kontaktu kosztowały miliony funtów i trwały lata świetlne. Jest pozaziemskim stworzeniem, duchem, mitem, a nie osobą, która ma automatyczną sekretarkę, rdzewiejący wok i sieciówkę na dwie strefy metra.

Jej głos brzmi starzej i – jak mi się wydaje – bardziej napuszenie – Londyn wygładził jej bristolskie kolce, ale tak czy siak to ona. Nie mówi, że z kimś mieszka – co nie znaczy, że spodziewałem się znaleźć na odtwarzanej automatycznie taśmie wszystkie szczegóły jej życia uczuciowego, ale wiecie... nie mówi, że: „Charlie i Marco nie ma w domu” ani nic takiego, tylko „Nie ma nikogo, proszę

zostawić wiadomość po sygnale".

Nagrywam moje imię, nazwisko, numer telefonu i dodaję, że dawno się nie widzieliśmy i tak dalej.

Nie oddzwania. Kilka dni później próbuję jeszcze raz i mówię to samo. Wciąż nic. Właśnie o to mi chodzi, gdy mówię o odrzuceniu: minęło dziesięć lat, a ona nie chce nawet odpowiedzieć na mój telefon.

Do sklepu przychodzi Marie.

– Czołem, chłopaki.

Dick i Barry znikają, co bardzo rzuca się w oczy i wygląda żenująco.

– Pa, chłopaki – rzuca za nimi i wzrusza ramionami.

Przypatruje mi się spod oka. – Unikasz mnie, chłopcze?

– pyta z udawaną złością.

– Nie.

Marszczy brwi i przekrzywia głowę.

– Poważnie: jak mógłbym cię unikać, jeśli nie wiem nawet, gdzie się podziewasz?

– Ale jesteś zażenowany?

– Chryste, tak.

Uśmiecha się. – Nie powinieneś.

Tak to właśnie jest, gdy sypia się z Amerykankami: traktują cię jak dobre ciocie i trąbią o wszystkim na prawo i lewo. Żadna porządna Brytyjka nie przestąpiłaby progu tego sklepu po jednonocnym numerze. W naszym pojęciu najlepiej zapomnieć o takich sprawach. Ale jak miemam, Marie chce o tym mówić, chce wiercić mi dziurę w brzuchu i przekonać się, co było nie tak; pewnie chce nas zapisać na

jakaś terapię grupową, na którą chodzą pary po nieudanej sobotniej nocy. Pewnie będziemy musieli się rozebrać i odegrać to, co zaszło, a sweter znów zapłacze mi się wokół szyi.

– Wpadałam, bo pomyślałam sobie, że może chcesz zobaczyć występ T-Bone'a.

Oczywiście, że nie chcę. Czy nie pojmujesz, kobieto, że nie możemy ze sobą rozmawiać? Uprawialiśmy seks i na tym się skończyło. Takie jest prawo w tym kraju. A jak ci się nie podoba, to wracaj tam, skąd się wzięłaś.

– Jasne. Świetnie.

– Znasz taką okolicę, która nazywa się Stoke Newington? T-Bone tam gra. Pod... Rękoma Tkacza... ?

- - Wiem, wiem. – Podejrzewam, że mógłbym nie pójść, ale wiem, że tam będę.

I dobrze się bawimy. Marie całkiem słusznie podeszła do tego po amerykańsku: to, że byliśmy razem w łóżku, nie znaczy, że musimy się nienawidzić. Podoba nam się występ T-Bone'a. Marie śpiewa z nim w bisach (a gdy wchodzi na scenę, ludzie patrzą na miejsce, w którym stała i nawet mi się to podoba). A potem jedziemy całą trójką do niej na drinka i rozmawiamy o Londynie i o Austin, o muzyce i o płytach, nie wspominając w ogóle o seksie ani o naszej wspólnej nocy w szczególności, jakby to było coś najzwyczajniejszego w świecie, jak wyprawa do baru curry, która również nie wymaga zastanowienia. Potem wracam do domu, a Marie żegna mnie miłym pocałunkiem, i po drodze myślę sobie, że w moim życiu jest jednak coś, jeden związek i tylko jeden niestety, z którego mogę być dumny, małe światełko w

długim, ciemnym tunelu.

Charlie odzywa się w końcu. Przeprasza, że nie zadzwoniła wcześniej, ale nie było jej w kraju, wyjechała służbowo do Stanów. Próbuje udawać, że wiem, jak to jest, ale rzecz jasna nie wiem – wyjeżdżam służbowo do Brighton, do Redditch i nawet do Norwich, ale nigdy nie byłem w Stanach.

– I co tam u ciebie? – pyta i przez moment, jedną króciutką chwilkę – choć i to wystarczy – zastanawiam się, czy nie wziąć jej na litość: „Niespecjalnie, dzięki, Charlie. Ale nie martw się, właśnie wróciłaś ze służbowej podróży do Stanów i mną się nie przejmuj”. Niechaj zapiszą mi to w niebie, że zdołałem się opanować. Udaję, że przez dwanaście lat, jakie upłynęły od naszej ostatniej rozmowy, funkcjonuję jak każda w pełni wartościowa istota ludzka.

– W porządku, dzięki.

– Świetnie. Cieszę się. Jesteś w porządku i zasługujesz na to. – Coś... gdzieś... jest nie tak, ale nie potrafię tego umiejscowić.

– Au ciebie?

– Dobrze. Świetnie. Mam dobrą pracę, miłych przyjaciół, ładne mieszkanie, wiesz, jak to jest... To, co było w college'u, wydaje się teraz takie odległe... Pamiętasz, jak siadywaliśmy w barze i zastanawialiśmy się nad przyszłością?

Nieeee.

– Bo wiesz... wszystko wyszło fajnie, jestem szczęśliwa i cieszę się, że tobie też się powiodło.

Nie powiedziałem, że mi się powiodło. Powiedziałem, że

jest w porządku, co oznacza, że nie byłem przeziębiony, nie wpadłem pod samochód i nie mam wyroku w zawieszeniu. Zresztą... nieważne.

– Masz... no wiesz... dzieci i to wszystko... jak inni?

– Nie. Mogłabym je mieć, gdybym chciała, rzecz jasna, ale nie chciałam. Jestem za młoda, a one są...

– Za młoda... ?

– Nooo... tak, za młoda, oczywiście... – Śmieje się nerwowo, jakbym był idiotą, czego nie wykluczam, ale pod innym względem niż jej się wydaje – ... a one są... no nie wiem... czasochłonne... chyba o to mi chodzi.

Wcale tego nie wymyślam. Charlie dokładnie tak mówi, wyraża się tak, jakby nigdy przedtem w historii ludzkości nikt nie rozmawiał na takie tematy.

– No tak. Rozumiem, co masz na myśli.

Właśnie udało mi się zdołować Charlie! Charlie! Charlie Nicholson! To niesamowite! Przez dwanaście ostatnich lat z okładem niemal co dnia myślałem o niej i przypisywałem jej, a jeśli nie jej to naszemu rozstaniu, winę za większość moich niepowodzeń. Na przykład: gdyby nie ona, nie rzuciłbym college'u; nie zacząłbym pracy w Taśmach i Płytach; nie wylądowałbym w tym sklepie; nie miałbym nieznośnego życia osobistego. Ta kobieta złamała mi serce i zrujnowała życie! Jest osobiście odpowiedzialna za moją nędzę, bezkierunkowość i porażkę. Kobieta, o której śniłem regularnie przez pięć lat. I teraz dałem jej w kość! Powinienem się za to podziwiać, naprawdę. Powinienem uchylić przed sobą kapelusza i powiedzieć sobie: „Rob, jesteś niesamowity facet”.

– Taa, a ty, Rob, wpadasz czy wypadasz?

– Proszę? – Pocieszające, że mimo upływu lat, wciąż posługuje się frazami, które tylko ona rozumie. Kiedyś bardzo mi się to podobało i nawet zazdrościłem jej tej umiejętności, bo sam nigdy nie potrafiłem wymyślić niczego choćby z grubsza dwuznacznego.

– Nie, to ja przepraszam. Chodzi o to, że... mówiąc szczerze... trochę wyprowadzają mnie z równowagi te telefony od dawnych chłopaków. Ostatnio miałam ich dosyć... dużo. Pamiętasz Marco? Tego faceta, z którym byłam po tobie?

– Hmm... Tak, chyba tak... – Wiem, co powie, i nie mogę w to uwierzyć. Pomyślcie: cierpiałem przez dwanaście lat, fantazjowałem o ich małżeństwie, potomstwie, i trwało to latami, a ona pewnie puściła go w trąbę po sześciu miesiącach.

– No więc wyobraź sobie, że zadzwonił do mnie kilka miesięcy temu, a ja naprawdę nie miałam pojęcia, o czym z nim rozmawiać. Wydaje mi się, że przechodził... no wiesz... jakiś kryzys... ? Zastanawiał się, co to wszystko znaczy... Chciał się ze mną spotkać i porozmawiać o tym czy tamtym, a ja... no wiesz... nie byłam w stanie. Czy wszyscy mężczyźni przez to przechodzą?

– Pierwsze słyszę.

– Może tylko ci, z którymi miałam do czynienia. To znaczy, nie bierz tego...

– Nie, nie, w porządku. Rozumiem, że to wygląda trochę absurdalnie, że tak ni z tego, ni z owego dzwonię do ciebie... ale pomyślałem, że... no wiesz... – Hmm, ja nie wiem, więc

nie widzę powodu, dla którego ona miałaby wiedzieć. – Ale, ale... co znaczy „wpadasz czy wypadasz?”

– To znaczy... no nie wiem... jesteśmy przyjaciółmi czy nie? Bo jeśli jesteśmy, to w porządku, a jeśli nie, to... no wiesz... nie ma po co zawracać sobie głowy telefonami. Chciałbyś przyjść do mnie na obiad w sobotę? Będzie kilku przyjaciół i potrzebuję wolnego faceta. Jesteś wolny?

– No... – Po co udawać? – ... akurat tak.

– Więc wpadasz czy wypadasz?

– Wpadam.

– Świetnie. Będzie Clara, moja przyjaciółka, która nie ma akurat faceta. Jest w twoim stylu. O ósmawej?

I to wszystko. Teraz już wiem, co jest nie tak: Charlie jest okropna. Kiedyś nie była okropna, ale spotkało ją coś złego i zmieniła się. Mówi potwornie głupie rzeczy i nie ma za grosz poczucia humoru. Ciekawe, co by o niej pomyślał Bruce Springsteen?

Mówię Liz o telefonie od Iana; odpowiada, że to oburzające i że Laura będzie zdumiona, co cieszy mnie niepomiernie. Opowiadam jej o Alison, Penny, Sarze i Jackie, mówię o idiotycznym długopisiku z lampką, a potem wspominam o Charlie i jej służbowej podróży do Stanów. Liz mówi, że właśnie wybiera się służbowo do Stanów, co daje mi asumpt do zabawy jej kosztem, ale Liz się nie śmieje.

– Dlaczego nienawidzisz kobiet, które mają lepszą pracę od ciebie? Odpowiedz, Rob?

Czasami tak się zachowuje. Cała Liz. Jest w porządku, ale należy do paranoicznych feministek, które węższą męski

szowinizm we wszystkim, co mówisz.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Mówię o kobiecie, której nienawidzisz za to, że zabrała długopis z latarką do kina, co samo w sobie jest całkiem zrozumiałe, jeśli chce się pisać w ciemności. Nienawidzisz tej... Charlie?... za to, że pojechała do Stanów, choć... może wcale nie chciała tam jechać. Tak jak ja. Nienawidzisz Laury za to, że nosi ubrania, które musi nosić, mając taką, a nie inną pracę. Wreszcie uważasz, że JA jestem godna pogardy, bo muszę lecieć do Chicago, rozmawiać przez osiem godzin z mężczyznami w hotelowym pokoju i...

– Jestem seksistą, prawda? Tak brzmi prawidłowa odpowiedź?

Trzeba zacisnąć zęby i wydalić to z siebie jak najprędzej, bo inaczej chybabym oszalał.

Dwadzieścia jeden

Gdy Charlie otwiera drzwi, serce skacze mi do gardła: jest piękna. Wciąż nosi krótkie, jasne włosy, ale fryzura kosztuje ją pewnie majątek. Starzeje się w bardzo elegancki sposób – wokół oczu ma delikatne, urokliwe i seksowne kurze łapki, które nadają jej wygląd Sylvii Sims. Jest ubrana w świadomie dorosłą czarną suknię koktajlową (świadomie dorosłą tylko w moich oczach, zapewne; w oczach człowieka, dla którego dopiero wczoraj wyskoczyła z pary powypychanych dzinsów i podkoszulka Grupy Toma Robinsona), a ja już w proggu zaczynam się martwić, że znów się w niej zakocham i zrobię z siebie głupka, i że wszystko skończy się bólem, poniżeniem i obrzydzeniem do samego siebie, dokładnie tak jak poprzednio. Całuje mnie, ściska, mówi, że w ogóle się nie zmieniłem i że cieszy się widząc mnie w dobrej formie, a potem prowadzi do pokoju, w którym mogę zostawić kurtkę. Do sypialni (artystowskiej, rzecz jasna, z olbrzymim abstrakcyjnym obrazem na jednej ścianie i czymś, co wygląda jak dywan, na drugiej). Wchodząc tam, czuję nagłą panikę: płaszcze leżące na łóżku są drogie i przez chwilę kusi mnie, żeby przetrząsnąć wszystkie kieszenie, a potem dać nogę.

Chcę jednak poznać Clare, przyjaciółkę Charlie. Dziewczyne w moim stylu. Chcę ją poznać, bo nie wiem, jaki jest mój styl, nie mam pojęcia, czy pasuję do swojej ulicy, miasta, kraju, i mam nadzieję, że Clara pomoże mi się

odnaleźć. Poza tym ciekawi mnie, co Charlie uważa za mój styl. Czy według niej pasuję do Old Kent Road czy do Park Lane. (Pięć kobiet, które nie są – o ile wiem – w moim stylu, ale z którymi z chęcią zamieszkałbym przy jednej ulicy to: Holly Hunter z *Wiadomości*; Meg Ryan z *Bezsenności w Seattle*; pani doktor, którą raz widziałem w telewizorze, i która miała mnóstwo długich loczków i ochotę na zasiadanie w parlamencie z ramienia torysów – widziałem ją w debacie poświęconej embrionom i nie wiem, jak się nazywa, i nigdy nie mogłem trafić na jej zdjęcie na rozkładówce; Katherine Hepburn z *Opowieści filadelfijskiej*; Valerie Harper z serialu telewizyjnego *Rhoda*. Są to kobiety potrafiące mówić, kobiety o prawdziwej umysłowości, kobiety z werwą, ostrzem i bigłem... a jednocześnie kobiety, które – jak sądzę – potrzebują miłości dobrego mężczyzny. Mógłbym je ocalić. Mógłbym je zbawić. Mogłyby mnie rozśmieszać i ja mógłbym je rozśmieszać, gdybym miał dobry dzień... Moglibyśmy siedzieć w domu i oglądać ich filmy albo programy telewizyjne, albo debaty o embrionach nagrane na wideo, i moglibyśmy zaadoptować mnóstwo uzdolnionych inaczej dzieci i grać z nimi w piłkę nożną w Central Parku...)

Wchodząc do salonu, przekonuję się natychmiast, że jestem skazany na długą, powolną śmierć w męczarniach. Jest tam już pan w marynarce koloru cegły i inny pan w starannie wymiętym lnianym garniturze, do tego Charlie w sukni koktajlowej i jakaś kobieta we fluorescencyjnych legginsach i oślepiająco białej jedwabnej bluzce, i jeszcze jedna, która ma na sobie spodnie wyglądające jak spodnica,

ale będące spodniami... nie spódnicą. Nieważne. I gdy tylko mój wzrok pada na tę gromadę, czuję, że zaleję się łzami – nie tylko z przerażenia, ale i – a może przede wszystkim – z czystej zazdrości. Dlaczego nie dane mi jest tak żyć?

Obie kobiety, które nie są Charlie, są równie jak ona piękne – nie tylko ładne, atrakcyjne czy pociągające: piękne! – i w mych spanikowanych, mrugających, zmrużonych oczach praktycznie nie do odróżnienia: kilometry ciemnych włosów, tysiące olbrzymich kolczyków, metry czerwonych warg, setki białych zębów. Ta w białej, jedwabnej bluzce przesuwa się na gigantycznej sofie wykonanej ze szkła albo ołowiu, albo złota – w każdym razie z jakiegoś niesofowego, onieśmielającego materiału – i uśmiecha się do mnie. Charlie przerywa innym (Panowie... panowie...) i przedstawia mnie zgromadzeniu. Clara to ta na sofie – ze mną, cha, cha, cha... Nick to ten w ceglanej marynarce, Barney to ten od garnituru z lnu i Anna w spodniach jak spódnica. Jeśli ci ludzie są w moim stylu, to chyba źle wybrałem adres.

– Właśnie rozmawialiśmy o tym, jak nazwalibyśmy psa, gdybyśmy mieli psa – oznajmia Charlie. – Anna ma labradora, którego nazwała Dizzy na cześć Dizzy'ego Gillespiego...

– Rozumiem – rzucam. – Ale nie lubię psów.

Wszyscy przez chwilę milczą. Nie mają nic do powiedzenia o moim braku miłości do zwierząt.

– Czy z powodu wielkości mieszkania, traumatycznego przeżycia w dzieciństwie, zapachu czy... ? – pyta słodko Clara.

– Nie wiem. Po prostu... – wzruszam bezradnie

ramionami – no wiesz... nie lubię.

Uśmiechają się wyrozumiale.

Jak się okazuje, jest to mój jedyny przyczynek do prowadzonych tego wieczoru rozmów i później wspominam z żalem to „nie lubię psów” niczym wyjątek ze Złotej Księgi Dowcipu i Humoru. Powiedziałbym to jeszcze raz, gdybym mógł, ale pozostałe tematy dyskusji nie dają mi takiej szansy – nie widziałem filmów i sztuk, które widzieli, i nie byłem w miejscach, które odwiedzali. Dowiaduję się, że Clara pracuje w wydawnictwie, a Nick w reklamie. Dowiaduję się również, że Anna mieszka w Clapham. Anna dowiaduje się, że mieszkam w Kanapowym Zaułku, a Clara dowiaduje się, że prowadzę sklep z płytami. Anna przeczytała autobiografię Johna McCarthy'ego i Jill Morrell; Charlie nie przeczytała ich jeszcze, ale bardzo by chciała i może nawet pożyczy te książki od Anny. Barney był niedawno na nartach. Przypomniałbym sobie jeszcze parę innych rzeczy, gdybym musiał. Przez większą część wieczoru siedzę tam jak pudding i czuję się jak dziecko, któremu pozwolono zostać do późna z gośćmi. Jemy rzeczy, o których nie mam pojęcia, a Nick albo Barney wygłaszają komentarz do każdej butelki wina, którą pijemy. Milczą tylko przy tej, którą ja przyniosłem.

Różnica pomiędzy tymi ludźmi a mną polega na tym, że oni skończyli studia, a ja nie (nie rozstawali się z Charlie, a ja tak); w rezultacie znaleźli sobie fajne posady, podczas gdy ja mam gównianą; są bogaci, podczas gdy ja jestem biedny; są pewni siebie, gdy ja jestem zagubiony; nie palą, a ja palę; mają swoje zdanie, a ja mam listy. Czy mogę powiedzieć im, po jakim locie cierpi się największe katusze z powodu

zmiany czasu? Nie. Czy mogą przedstawić mi oryginalny skład Wailersów? Nie. Założę się, że nawet nie wiedzą, kto z nimi śpiewał.

Generalnie nie są źli. Nie jestem bojownikiem o zniesienie klas, a oni nie są specjalnie napuszeni. Na pewno mają rodziców w Watford bądź w okolicy, bądź w czymś równie prowincjonalnym. Czy chcę coś z tego, co mają? Jasne. Chcę mieć ich opinie, ich pieniądze, ubrania, chcę mieć ich spokój, gdy mówią o imionach psów, nie czując zażenowania. Chcę wrócić do roku 1979 i zacząć wszystko od nowa.

Nie pomaga nawet to, że Charlie mówi bzdury przez cały wieczór. Nikogo nie słucha, wygłasza dziwaczne sądy i posługuje się niestosownymi i zupełnie nieuzasadnionymi manierami. Chciałbym móc powiedzieć, że to jej nowy styl, ale to nieprawda. Zawsze taka była. Nieliczenie się z nikim brałem kiedyś za siłę charakteru, tępotę myliłem z tajemniczością, a manieryzm był dla mnie przejawem jej uroku i talentu dramatycznego. Jak to się stało, że zapomniałem o tym przez te wszystkie lata? Jak to się stało, że uczyniłem z niej panaceum na wszystkie problemy trapiące ten świat?

Trwam do końca wieczoru, choć mówiąc szczerze, niewart jestem miejsca na sofie, które niepotrzebnie zajmuję. Przetrzymuję Clare, Nicka, Barneya i Annę. Gdy już ich nie ma, dochodzę do wniosku, że zamiast mówić, piłem; w efekcie mam kłopoty z wyraźnym widzeniem.

– Mam rację, prawda? – mówi Charlie. – Jest w twoim typie.

Wzruszam ramionami. – Jest w typie każdego. – Nalewam sobie kawę. Jestem pijany i nic nie wydaje mi się za trudne.

– Charlie, dlaczego mnie zostawiłaś? Dlaczego wybrałaś Marco?

Patrzy na mnie twardo. – Wiedziałam...

– Co?

– Przechodzisz kryzys. Jeden z tych okresów, kiedy zadaje się pytania w stylu co-to-wszystko-znaczy. – Owo „co-to-wszysto-znaczy” wypowiada z amerykańskim akcentem, a potem marszczy brwi.

Nie potrafię jej okłamać. – Owszem, w zasadzie tak. Nawet na pewno. Absolutnie. – Śmieje się – ze mnie, jak sądzę, a nie do mnie – i zaczyna się bawić jednym z wielu pierścionków.

– Powiedz obojętnie co – nalegam wspaniałomyślnie.

– To wszystko jest teraz... obleczone gęstą mgłą czasu...

– „Gęstą mgłą czasu” wymawia z irlandzkim akcentem zupełnie bez powodu, a potem macha dłonią przed twarzą, co ma zapewne unaocznic mi gęstość mgły. – Nie chodzi o to, że Marco bardziej mi się podobał, bo uważałam, że w niczym mu nie ustępujesz. (Pauza.) Rzecz w tym, że Marco wiedział, że jest przystojny, a ty nie, i na tym polega różnica. Zachowywałaś się tak, jakbym była nienormalna dlatego, że chcę się z tobą spotykać, i stało się to męczące, jeśli wiesz, co mam na myśli. Twój obraz samego siebie zaczął wpływać na moją psychikę i w końcu doszło do tego, że istotnie zastanawiałam się nad swoją normalnością. Wiedziałam, że jesteś miły, troskliwy, że potrafisz być zabawny. Kochałam w

tobie oddanie dla rzeczy, które kochasz, ale... Marco był... nie wiem... bardziej urokliwy? Bardziej pewny siebie, bardziej na bieżąco? (Pauza.) Wymagał mniejszego wysiłku, bo nad tobą musiałam się napracować. (Pauza.) Był chyba pogodniejszy i bystrzejszy. (Pauza.) Nie wiem. Wiesz, jacy są ludzie w tym wieku: osądzają wszystko bardzo powierzchownie...

Nieprawda! Byłem i jestem ponury, smutny, nudny, niemodny, nieatrakcyjny i niezdamy. Nie uważam tego za powierzchowny osąd. Nie uważam tego za draśnięcie naskórka, ale za groźne dla życia rany organów wewnętrznych.

– Sprawia ci to przykrość? Marco okazał się durniem, jeśli chcesz wiedzieć. Marne pocieszenie, ale wcale mi na nim nie zależy.

Chciałem szczegółów i oto je mam. Żaden kismet jak z Alison Ashworth; żadne przepisywanie historii jak z Sarą; nawet nie przypomnienie, że pomyliłem rzucające strony, jak w przypadku Penny. Usłyszałem całkiem zrozumiały i przejrzysty wywód na temat „Dlaczego jedni to mają, a inni nie”. Później, siedząc z tyłu taksówki, zdaję sobie sprawę, że Charlie wyłożyła mi własnymi słowami to, co od dawna wiem o moim geniuszu przeciętności; faktycznie, może przeceniałem ów szczególny i jedyny talent, jaki mam.

Dwadzieścia dwa

Zespół Barry'ego będzie grał koncert i wokalista chce wywiesić plakat w sklepie.

– Pierdołę, nie zgadzam się.

– Dzięki za wsparcie, Rob. Doceniam to.

– Zdaje się, że wprowadziliśmy przepis zakazujący reklamy podwórkowych kapel.

– Taa, dla ludzi z ulicy. Dla rynsztokowców bez szans na kontrakt.

– Rynsztokowców... ? Bez szans na kontrakt? Mówisz o Suede, których sam wywaliłeś na zbity pysk? O The Auteurs? A może o St. Etienne?

– Co to znaczy „sam ich wywaliłeś na zbity pysk”? To ty wymyśliłeś ten przepis.

– Owszem, ale ty z uwielbieniem wprowadzałeś go w życie. Czerpałeś osobistą satysfakcję z wykopywania za drzwi tych biednych dzieciaków.

– Okay, pomyliłem się. W porządku? Nie wygłupiaj się, Rob, potrzebujemy naszych stałych klientów, bo inaczej nikt nie przyjdzie.

– Okay, jak się nazywa twój zespół? Jeśli ma dobrą nazwę, pozwolę ci powiesić plakat.

Barry rozwija plakat, na którym jest nazwa grupy i jakiś fikuśny wzorek.

– Barrytown?! Barrytown!! Kurwa mać! Twoja arogancja, Barry, nie zna granic.

– Tu nie chodzi o mnie. Zacerpnęliśmy nazwę z piosenki

Steely Dan, którą śpiewano w *The Commitments*.

– Wiem! Ale pomyśl, nie możesz mieć na imię Barry i śpiewać w zespole Barrytown, bo to brzmi...

– Oni się tak, kurwa, nazwali zanim do nich doszedłem, okay? To nie był mój pomysł.

– To dlatego zostałeś ich wokalistą, prawda?

Barry z Barrytown milczy.

– Prawda?

– Była to jedna z przyczyn, owszem, ale...

– Wspaniale! Nie mogę wyjść, kurwa, z podziwu! Kazali ci śpiewać ze względu na imię! Oczywiście zgadzam się na twój plakat, Barry. Chcę, żeby wiedziało o tym całe miasto. Tylko nie w oknie, okay? Powieś go nad stelażami.

– Ile biletów mam dla ciebie odłożyć?

Chwytam się za brzuch i rechoczę bezlitośnie. – Cha, cha, cha, cha, cha, cha... Przestań, Barry, bo się zleję.

– Nie przyjdiesz nawet?

– Jasne, że nie przyjdę. Czy wyglądam jak ktoś, kto chodzi posłuchać eksperymentalnego hałasu w dusznych pubach? Gdzie gracie? – Rzucam okiem na plakat. – W pierdolonym Lauderze! Ha!

– Dobra! Nie jesteśmy już kumplami, Rob. Jesteś skwaśniałym sukinsynem, wiesz o tym?

Kwaśny. Gorzki. Wszyscy się zgadzają, że nie smakuje zbyt dobrze.

– Skwaśniałym? Bo nie gram w Barrytown? Nie wiedziałem, że to aż tak rzuca się w oczy. Zachowuję się tak samo jak ty wobec Dicka... w sprawie Anny. Dałeś mu odczuć, że stanowimy jedną wielką rodzinę Championship

Vinyl.

Przypomniałem sobie, że życzę jak najlepiej Dickowi i Annie. Czy teraz jestem zgorzkniały? Co w tym kwaśnego?

– To były żarty. Nie mam nic przeciwko Annie. Chodzi o to... że to nie moja wina, że pierdolisz wszystko, czego się tkniesz...

– Jasne, a ty byłbyś pierwszy w kolejce na mój występ.

– Może nie pierwszy, ale przyszedłbym.

– Dick idzie?

– Pytanie! I Anna, i Marie, i T-Bone... Świat jest naprawdę wspaniałomyślny. Nie wiedziałem.

Jeśli chcecie, możecie nazywać to zgorzknieniem. Nie myślę o sobie w ten sposób, choć czuję się rozczarowany. Miałem nadzieję stać się kimś wartościowszym, ba, myślałem, że tym kimś jestem i że za wcześniej jeszcze na rozczarowania. Nie chodzi tylko o pracę i to, że mam trzydzieści pięć lat i jestem sam, choć rzecz jasna w niczym to nie pomaga. Chodzi o to, że... no nie wiem. Oglądaliście kiedyś swoje zdjęcia z dzieciństwa? Albo zdjęcia słynnych ludzi, gdy byli dziećmi? Są albo smutne, albo radosne. Jest takie cudowne zdjęcie Paula McCartneya, gdy był uczniem, i kiedy ujrzałem je po raz pierwszy, poczułem wielką radość: taki talent, takie pieniądze, tyle lat domowego szczęścia, trwałe małżeństwo i wspaniałe dzieci, a on jeszcze o tym nie wie. Ale są też inne fotografie: JFK, nieżyjący albo zapomniani muzycy rockowi, ludzie, którzy oszaleli, ludzie, którzy popełnili samobójstwo, ludzie, których zamordowano, którzy unieszczęśliwili siebie albo innych na tyle rozlicznych

sposobów, że nie warto ich nawet wymieniać... Patrzysz na nich i myślisz: zostań taki, jak na fotografii. Lepiej już nie będzie!

Przez kilka ostatnich lat moje zdjęcia z dzieciństwa, te, których nie chciałem pokazywać dziewczynom... zaczęły sprawiać mi jakiś ból – patrząc na nie jestem nieszczęśliwy, ale czuję jakiś cichy, dojmujący żal. Mam taką fotografię w kowbojskim kapeluszu z pistoletem wycelowanym w obiektyw. Chcę na niej wyglądać jak kowboj i nie mogę – choć bardzo się staram – a teraz nie mogę nawet na to patrzeć. Laura uważała, że zdjęcie jest słodziutkie (użyła tego słowa! słodziutkie – przeciwieństwo gorzkiego!) i powiesiła je w kuchni, ale schowałem je z powrotem do szuflady. Chciałbym przeprosić tego małego chłopca: „Wybacz, stary, sprawiłem ci zawód. Miałem się tobą opiekować, ale mi nie wyszło. Podejmowałem złe decyzje o fatalnych porach i zamieniłem ciebie w siebie”.

Pojmujecie, o co chodzi? Ten mały poszedłby na koncert Barry'ego; nie przejmowałby się Ianem w tandetnych spodniach czy długopisikiem Penny (podałaby mu się ten długopisik z latarenką), czy podróżami Charlie do Stanów. Potrafiłby zrozumieć, dlaczego to wszystko sprawia mi taką przykrość. I gdyby był tutaj, gdyby mógł wyskoczyć z tej fotografii i wskoczyć prosto do sklepu, natychmiast uciekłby stąd i pobiegł z powrotem do roku 1967 ile sił w małych nogach.

Dwadzieścia trzy

Wreszcie, wreszcie, w miesiąc po odejściu, Laura przychodzi po swoje rzeczy. Nie ma problemu z tym, co do kogo należy; dobre płyty są moje, a dobre meble, większość wyposażenia kuchni i książki w twardych okładkach należą do niej. Jediną kłopotliwą dla mnie sprawą było przejrzenie sterty albumów i kilku płyt kompaktowych, które dałem jej w prezencie – rzeczy, które mi się podobały i które dla niej kupiłem, i które wreszcie wylądowały jakoś wśród okazów z mojej kolekcji. Byłem bardzo skrupulatny: Laura nie pamiętałaby połowy z tych płyt i mógłbym je sobie zabrać, ale wyciągnąłem wszystkie co do jednej.

Bałem się, że przyprowadzi Iana, ale nie zrobiła tego. Mówiąc szczerze, jest jej głupio z powodu tego telefonu.

– Nie martw się, to nie twoja wina – mówię jej.

– Nie miał prawa i powiedziałaś mu o tym.

– Wciąż jesteście razem?

Spogląda na mnie sprawdzając, czy nie żartuję, a potem wykrzywia się nieszczęśliwie, co wcale nie jest zabawne, jeśli się nad tym zastanowić.

– Dobrze wam się układa?

– Mówiąc szczerze, wołałabym o tym nie mówić.

– To fatalnie, he?

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

Pożyczyła od ojca na weekend jego volvo estate, i samochód jest wypełniony po dach. Kończymy pakowanie i zapraszam ją na herbatę.

– Nora, prawda? – Widzę jak rozgląda się po mieszkaniu, jak patrzy na wyblakłe plamy na ścianach, tam gdzie wisiały jej rzeczy. Chcę uprzedzić falę krytyki.

– Przecież możesz coś z tym zrobić, Rob. Nie kosztuje to aż tak wiele, a od razu poczujesz się lepiej.

– Założę się, że sama sobie się dziwisz, co tu w ogóle robiłaś, prawda?

– Nieprawda. Byłam tu, bo chciałam być z tobą.

– Nie, miałem na myśli metraż... ile teraz masz? Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt? A tu musiałaś gnieździć się w takiej norze w zaułku.

– Wiesz, że mi to nie przeszkadzało. A poza tym mieszkanie Raya wcale nie jest lepsze.

– Wybacz, ale ustalmy wreszcie, jak on ma na imię. Ian czy Ray? Jak do niego mówisz?

– Ray. Nie lubię Iana.

– Rozumiem. Teraz będę wiedział. No tak... więc jak wygląda jego mieszkanie? – Dziecinada, ale sprawia mi radość. Laura ma zboląły, choć pełen stoicyzmu wyraz twarzy. Parę razy już to widziałem, spokojna głowa.

– Jest mniejsze. Mniejsze niż to. Ale schludniejsze i mniej zagracone.

– To dlatego, że ma tylko dziesięć płyt... i to kompaktów.

– W związku z tym jest gorszy, prawda?

– Owszem, w moim świecie tak. Barry, Dick i ja doszliśmy do wniosku, że nie można być poważną osobą, jeśli ma się mniej...

– Niż pięćset płyt. Słyszałam to wiele razy. I nie zgadzam się z tym. Uważam, że można być poważnym nawet jeśli w

ogóle nie ma się płyt.

– Jak Kate Adie.

Patrzy na mnie, marszczy brwi i otwiera usta – co jest jej sposobem komunikowania mi, że mam nie po kolei w głowie.

– Skąd wiesz, że Kate Adie nie ma ani jednej płyty?

– Nie powiedziałem, że nie ma ani jednej. Na pewno ma kilka... Pavarottiego i resztę... Może Tracey Chapman i największe przeboje Boba Dylana... ze dwie, trzy płyty Beatlesów...

Wybucho śmiechem. To nie miał być żart, ale jeśli uważa, że to zabawne, to niech jej będzie.

– Założę się, że na prywatkach krzyczała „łuuuuuu!” na końcówce „Brown Sugar.”

– A w twoim świecie nie ma większej zbrodni, prawda?

– Porównywalną zbrodnią jest śpiewanie na cały głos refrenu „Hi Ho Silver Lining”.

– Robiłam to kiedyś.

– Niemożliwe!

Żarty się skończyły i patrzę na nią przerażony. Laura wybucho perlistym śmiechem.

– Dałeś się nabrać! Dałeś się nabrać! Uważasz, że jestem zdolna do wszystkiego. – Śmieje się jeszcze trochę, a potem przypomina sobie, gdzie i dlaczego jest, i przestaje.

Udzielam jej napomnienia: – W tym miejscu powinnaś powiedzieć, że nie uśmiełaś się tak od lat. Pojęłabyś błąd, jaki popełniasz.

Robi minę. – To prawda, że jesteś zabawniejszy od Raya, jeśli to chciałeś usłyszeć.

Uśmiecham się z udawanym zadowoleniem, którego nie

muszę udawać, bo jestem zadowolony.

– Ale to bez różnicy, Rob. Naprawdę. Moglibyśmy się śmiać i przez sto lat, ale to nie znaczy, że wypakuję rzeczy i wprowadzę się na powrót. Wiedziałam, że jesteś zabawny. Wciąż nie wiem o wszystkim innym.

– Dlaczego po prostu nie powiesz, że Ian to dupek i nie skończysz z tym? Od razu poczułabyś się lepiej.

– Rozmawiałaś z Liz?

– Dlaczego? Czy ona także uważa go za dupka? To... interesujące.

– Nie psuj tego, Rob. Dzisiaj było nam ze sobą dobrze. Zostawmy to tak jak jest.

Wyciągam płyty i kompakty, które dla niej wybrałem. Jest tam *The Nightfly* Donalda Fagena, którego nigdy nie słyszała, kilka bluesowych kompilacji, które – według mnie – powinna mieć, parę rzeczy z jazzem do tańca, które kupiłem jej, gdy zaczęła chodzić na lekcje tańca, na których wcale nie uczono jazzu, wreszcie trochę country z okresu, gdy próbowałem – na próżno – zmienić jej stosunek do tej muzyki, i...

Nie chce ani jednej płyty.

– Są twoje.

– To ty tak uważasz. Nie są naprawdę moje. Wiem, że je dla mnie przynosiłeś, co było bardzo miłe, ale robiłeś to z myślą, że będę taka jak ty. Nie mogę ich zabrać. Stałyby i patrzyły na mnie jak wyrzut sumienia i... poza tym nie pasują do tego, co jest naprawdę moje, rozumiesz? Ta płyta Stinga, którą mi kupiłeś... to był prezent dla mnie. Lubię Stinga, a ty go nienawidzisz. Ale reszta... – Wyjmuje jedną z bluesowych

kompilacji. – Kto to do cholery jest Little Walter? Albo Junior Wells? Nie znam tych ludzi i...

– Okay, okay, rozumiem.

– Przykro mi, że muszę o tym mówić, ale w tym wszystkim tkwi jakaś prawda o nas i chcę, żebyś ją pojął.

– Pojmuję. Lubisz Stinga, ale nie lubisz Juniora Wellsa, bo nigdy go nie słyszałaś.

– Celowo udajesz idiotę!

– Owszem.

Zbiera się do wyjścia.

– Zastanów się nad tym.

Później zastanawiam się, ale po co? Po co mam się nad tym zastanawiać? Jeśli jeszcze z kimś się związę, i tak będę kupował jej to, co powinno jej się podobać; przecież po to są nowi chłopcy. Mam nadzieję, że nie będę musiał pożyczać od niej pieniędzy, mam nadzieję, że nie spotkam drugiej Rosie i że nie trzeba będzie uciekać się do aborcji czy zgoła uciekać z sąsiadami i jeszcze się nad tym zastanawiać! Laura nie zamieszkała z Rayem dlatego, że kupowałem jej kompakty, których nie chciała, a udawanie, że jest inaczej to... to... psychopatologia. Jeśli tak uważa, to myli żywopłoty z brazylijskim lasem deszczowym. A jeśli nie będę mógł kupować przecenionych kompilacji dla nowych dziewczyn, to równie dobrze mogę dać sobie z nimi spokój, bo nie jestem pewny, czy wiem, jak się robi cokolwiek innego.

Dwadzieścia cztery

Zazwyczaj lubię obchodzić urodziny, ale dzisiaj wcale nie jest mi fajnie z tego powodu. W latach niepokoju powinno się zawieszać świętowanie urodzin: powinno być prawo – ludzkie, jeśli nie naturalne – że można się starzeć wyłącznie wtedy, gdy wszystko idzie dobrze. Po co mi te trzydzieści sześć lat? Nie wiem. Mam z tej przyczyny same nieprzyjemności. Życie Roberta Fleminga zamarło, a on sam odmawia zgody na starzenie. Proszę zachować wszystkie kartki z życzeniami, torty i prezenty do kolejnych urodzin.

Okazuje się, że większość ludzi tak właśnie zrobiła. Prawem kaduka urodziny wypadły mi w tym roku w niedzielę, więc nie ma kartek ani gości; w sobotę też nic nie dostaję. Nie spodziewałem się niczego od Dicka czy Barry'ego, choć powiedziałem im o urodzinach w pubie po pracy. Zgodnie z oczekiwaniami mieli wyrzuty sumienia i stawiali mi drinki, i obiecywali różności (no... w każdym razie taśmy kompilacyjne); sam jednak nie pamiętam o ich urodzinach – nie pamięta się takich rzeczy, jeśli nie jest się kobietą, prawda? – więc nie mogłem dostać ataku apopleksji z powodu przeoczenia moich. Ale że Laura... ? Krewni? Przyjaciele? (Nikt, kogo znacie, ale naprawdę mam paru, z którymi spotykam się od czasu do czasu. Dwóch czy trzech wie, kiedy mam urodziny.) Dziadkowie? Nikt inny? Dostałem kartkę od mamy i pozdrowienia od taty, ale rodzice się nie liczą. Jeśli starzy nie przysyłają kartek, to ma się już prawdziwe kłopoty.

Rankiem owego dnia spędzam mnóstwo (o wiele za dużo) czasu, wyobrażając sobie olbrzymie niespodziankowe przyjęcie zorganizowane przez Laureę... może z pomocą mamy i taty, którzy mogliby dać jej adresy i numery telefonów ludzi, których nie zna; po jakimś czasie stwierdzam, że jestem nawet zły, bo o niczym mi nie powiedzieli. Przypuśćmy, że wybrałbym się do kina na urodzinowy seans, o niczym ich nie informując... I jak by się czuli, he? Siedzieliby sobie schowani w jakiejś szafie, a ja oglądałbym wszystkie trzy części *Ojca chrzestnego* w Scala. Mieliby nauczkę. Postanawiam nie mówić im, dokąd idę: niech się gnioτά w tej szafie i niech się wściekają („Myślałam, że ty do niego zadzwonisz!” „Mówiłem ci, że nie mam czasu!” itd.). Po kilku filiżankach kawy dochodzę jednak do wniosku, że ten rodzaj myślenia nie przyniesie mi korzyści, a co gorsza, może doprowadzić mnie do obłądu, postanawiam więc zająć się czymś pozytywnym.

Tylko czym?

Na początek mogę pójść do wypożyczalni i wziąć sobie kilometry filmów, których celowo nie obejrzałem czekając na tak smętną okazję. Są to: *Naga broń 2 1/2*, *Terminator 2*, *Robocop 2* i inne. Potem zadzwonię do paru przyjaciół i zapytam, czy nie wybiorą się wieczorem na drinka. Na pewno nie do Dicka i Barry'ego. Może do Marie albo ludzi, z którymi od dawna się nie widziałem. Potem obejrzę jeden albo dwa filmy, wypiję trochę piwa i zagryzę chipsami, może nawet chipsami Kettle. Brzmi nieźle. Wygląda zachęcająco. Wygląda na właściwy sposób świętowania urodzin przez całkiem nowego trzydziestosześcioletka. (I niestety, wygląda

na jedyny sposób świętowania urodzin przez całkiem nowego trzydziestosześcioletka, takiego trzydziestosześcioletka, który nie ma żony, rodziny, przyjaciółki czy pieniędzy. Chipsy Kettle! Kurwa mać!)

Przyznajcie się, myśleliście, że w wypożyczalni niczego już nie będzie, prawda? Myśleliście, że odgrywam takiego pechowca, że przyjdzie mi oglądać jakąś nigdy niewyświetlaną w tym kraju tragikomedie z Whoopi Goldberg. Otóż nie! Wszystkie filmy są na miejscu i wynoszę je z dumą pod pachą. Właśnie minęła dwunasta, więc mogę kupić piwo. Idę do domu, otwieram puszkę, zasłaniam okna przed marcowym słońcem i oglądam *Nagą broń*, która okazuje się całkiem śmieszna.

Mama dzwoni akurat wtedy, gdy wsuwam do maszyny *Robocopa 2*. Znow jestem rozczarowany, że to nie kto inny. Ale jeśli nawet matka nie zadzwoni w dniu waszych urodzin, to wiecie, jakie macie kłopoty? Prawdziwe.

Mama jest całkiem miła. Jest jej przykro, że spędzam ten dzień samotnie, choć na pewno boli ją to, że wolę być sam, niż przyjechać do niej i ojca. („Może wybierzesz się z nami do kina? Tata zaprosił Yvonne i Briana?" pyta. „Nie" odpowiadam. Tylko tyle. Krótkie „nie." Czyżbym zaczynał się hamować?) Potem nie wie już, co powiedzieć. Rodzicom chyba jest przykro, gdy widzą, że ich dziecku nie wiedzie się najlepiej i że co gorsza nie można do niego trafić zwykłymi rodzicielskimi ścieżkami, bo ścieżki te znacznie się wydłużyły. Zaczyna wspominać wcześniejsze urodziny: te, na których byłem chory, bo zeżarłem setki tysięcy kanapek i popiłem je hektolitrami tęczowych koktajli; ale rzygałem

szczęśliwy, choć teraz wcale mnie to nie bawi i przerywam jej niegrzecznie. Co słysząc, zaczyna swoją jękliwą przemowę pod tytułem „Jak to możliwe, że wpakowałeś się w takie bagno”, która jest – o czym wiem doskonale – wynikiem jej bezsilności i strachu. Ale to ja mam dzisiaj urodziny – cokolwiek by o nich myśleć – i wcale nie chcę tego słuchać. Matka przyjmuje z godnością moją prośbę o zamknięcie buzi: wciąż traktuje mnie jak dziecko, któremu pozwala się na wszystko w dniu urodzin.

Laura dzwoni – z automatu! – w połowie *Robocopa 2*. Ciekawe dlaczego? (Nie dlaczego dzwoni, tylko dlaczego z automatu?) Ale nie czas o tym rozmawiać – przynajmniej nie z Laurą. Może później... z Liz albo kimś takim... ale nie teraz. Każdy idiota by na to wpadł.

– Dlaczego dzwonisz z automatu?

– Skąd? – Niezbyt udana riposta.

– Musiałaś wrzucić monetę albo skorzystać z karty, żeby ze mną porozmawiać?

– Tak.

– Cuchnie uryną?

– Tak.

– No więc dzwonisz z automatu. Dlaczego dzwonisz z automatu?

– Bo chcę życzyć ci wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Wybacz, ale zapomniałam wysłać kartkę.

– Nie chodzi mi o to, tylko...

– Akurat wracam do domu i po drodze...

– Dlaczego nie zaczekałaś, aż będziesz w domu?

– Po co mam ci odpowiadać? Znasz wszystkie

odpowiedzi.

– Chcę potwierdzenia.

– Dobrze się bawisz?

– Nieźle. *Naga broń 2x/2*: bardzo śmieszne. *Robocop 2*: nie umywa się do części pierwszej. Na razie tylko tyle.

– Oglądasz filmy na wideo?

– Owszem.

– Sam?

– A co? Chcesz wpaść? Mam jeszcze *Terminatora 2*.

– Nie mogę. Muszę wracać.

– Jasne.

– No tak...

– Jak zdrowie taty?

– Nieźle... dzięki, że zapytałeś.

– To dobrze.

– Spędź jakoś miło ten dzień, okay? Zrób z nim coś dobrego. Nie marnuj czasu, siedząc przed telewizorem.

– Jasne.

– Nie wygłupiaj się, Rob. To nie moja wina, że jesteś sam. Nie tylko ja żyję na tym świecie. Poza tym myślę o tobie... nie zapominam...

– Pozdrów ode mnie Iana, okay?

– Bardzo śmieszne.

– Poważnie.

– Wiem, że się nie wygłupiasz. Mimo to... bardzo śmieszne.

Aha, złapałem ją! Ian nie chce, żeby do mnie dzwoniła, a ona nie powie mu, że się sprzeniewierzyła. Spoko.

Po *Terminatorze 2* jestem trochę zagubiony. Nie ma

jeszcze czwartej i choć przedarłem się już przez trzy wielkie główniane filmy i większą część sześciopaku piwa, wciąż nie mogę pozbyć się wrażenia, że nie świętuję należycie urodzin. Mógłbym jeszcze przeczytać gazety i nagrać parę taśm, ale wiecie... Zamiast tego podnoszę słuchawkę telefonu i zaczynam organizować własne niespodziankowe przyjęcie w pubie. Zbiorę do kupy paru ludzi, spróbuję zapomnieć, że do nich dzwoniłem, i posiedzę sobie od ósmej Pod Koroną albo Głową Królowej nad spokojną szklanką piwa, pozwalając się aż do bólu klepać po plecach urodzinowym gościom, których w ogóle się nie spodziewałem.

Rzecz okazuje się trudniejsza, niż myślałem. To Londyn, co nie? Równie dobrze mógłbym proponować im wzięcie rocznych wakacji i wybranie się ze mną w podróż dookoła świata. Tak reagują, gdy pytam, czy nie wyszliby później z domu na szybkiego drinka: tutaj później znaczy pod koniec miesiąca albo pod koniec roku, w każdym razie jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, a nigdy nie później tego samego dnia. „Wieczorem?” pytają po kolei. Ludzie, z którymi nie widziałem się od miesiący, byli koledzy z pracy albo starzy znajomi ze studiów. „Dzisiaj wieczorem?” Są zdumieni, są zaskoczeni, czasem nawet rozbawieni, ale większość nie wierzy własnym uszom. Ktoś dzwoni i proponuje drinka jeszcze dzisiaj! Ni z tego, ni z owego! Nie przysyła faksu, nie podaje terminów kolejnych spotkań, nie prowadzi negocjacji z partnerem! Nie-samo-wite!

Jednak parę osób zaczyna się łamać i wykorzystują ich słabość bezlitośnie. Nie mówię tu o słabości w stylu noo-

naprawdę-nie-powiniennem-ale-napiłbym-się-piwa; mówię o słabości nie-mogę-powiedzieć-nie. Nie chcą dzisiaj wychodzić, ale słyszą rozpacz w mym głosie i nie mają dość siły, by zareagować z konieczną w takich razach stanowczością.

Pierwszy łamie się Dan Maskell (naprawdę ma na imię Adrian). Dan jest żonaty, ma dziecko i mieszka w Hounslow (i jak wszyscy wiemy, jest niedzielne popołudnie), ale nie byłbym sobą, gdybym wypuścił go z sieci.

– Cześć, Dan. Mówi Rob.

– Czołem, kolego! (W tym miejscu wyraża jeszcze nieudawane zadowolenie, a to już jest coś.)

– Co u ciebie?

Więc mówię mu, co u mnie, a potem szkicuję sytuację – przepraszam, że dzwonię w ostatniej chwili, ale na froncie organizacyjnym poddałem trochę tyły (udaje mi się zapanować nad chęcią poinformowania go, że poddałem tyły na wszystkich frontach), ale w zasadzie trzeba się spotkać, i tak dalej, i tym podobne. Słyszę wahanie w jego głosie. Wtedy – znając Adriana (który jest wielkim miłośnikiem muzyki, dzięki czemu przetrwaliśmy razem szkołę i nie zapomnieliśmy o sobie od tamtej pory)

– wyciągam asa z rękawa.

– Słyszałeś o Marie LaSalle? To świetna wokalistka country-folkowa.

Nie słyszał, co wcale mnie nie dziwi. Wyczuwam jednak zainteresowanie.

– No... w każdym razie jest... moją... no... przyjaciółką... i wpadnie... więc... jest naprawdę fajna, warto ją poznać i... nie

wiem czy....

Wystarczy. Mówiąc szczerze, Adrian jest przygłupem, i dlatego wybrałem Marie na przynętę. Dlaczego chcę spędzić urodziny, pijąc piwo z przygłupem? To długa historia, której większą część już znacie.

Steven Butler mieszka w północnym Londynie, nie ma żony ani zbyt wielu przyjaciół. Więc dlaczego nie miałyby wpaść do pubu? Bo wypożyczył już film na wieczór.

– Kurwa, Steve, nie załamuj mnie!

– Wiesz... powinieneś zadzwonić wcześniej. Dopiero co wróciłem z wypożyczalni.

– Dlaczego nie obejrzysz go teraz?

– To niemożliwe. Mam swoje zasady i nigdy nie oglądam filmów przed herbatą. Bo wiesz... to tak, jakbyś oglądał je dla samego oglądania, rozumiesz, o co mi chodzi? Każdy film obejrzany za dnia to jeden film mniej na wieczór.

– Jak do tego doszedłeś?

– Nijak. Uważam po prostu, że to marnotrawstwo.

– Możesz go obejrzyć kiedy indziej.

– Doprawdy? Myślisz, że mam tyle pieniędzy, żeby wywalać dwa funty dziennie do rynsztoka?

– Nie każę ci codziennie ich wywalać. Tylko... Posłuchaj, zwrócę ci te dwa funty, dobra?

– No... nie wiem... Jesteś pewny?

Tak! Jestem pewny! I mam ich: Dana Maskella i Steve'a Butlera. Nie znają się i nie przypadną sobie do gustu. Nie mają ze sobą nic wspólnego poza pewnym obszarem ich kolekcji płyt. (Dan nie bardzo lubi czarną muzykę, Steve nie interesuje się muzyką białych, ale obaj mają kilka płyt

jazzowych.) Dan spodziewa się ujrzeć Marie, ale Marie nie spodziewa się ujrzeć Dana, bo nawet nie wie jeszcze o jego istnieniu. Zapowiada się cudowny wieczór.

Marie ma już telefon, a Barry zna jej numer. Marie jest uszczęśliwiona, że zadzwoniłem, tym bardziej że zapraszam ją na drinka. Gdybym powiedział jej, że mam urodziny, zapewne wpadłaby w ekstazę. Nie mówię jej jednak i sam nie wiem dlaczego. Nie muszę jej do niczego zachęcać, nie muszę sprzedawać wieczoru, i dobrze, bo nie wiem, czy byłbym w stanie oddać go za darmo. Marie musi jednak najpierw coś załatwić, więc czeka mnie pełna udręki godzina w sześcioro oczu ze Steve'em i Danem. Rozmawiam z Danem o muzyce rockowej, a Steve przygląda się komuś, kto trafił śliwki na automacie, potem rozmawiam ze Steve'em o muzyce soulowej, a Dan robi sztuczki z podkładką do piwa znane jedynie prawdziwie irytującym osobom. Potem wszyscy wymieniamy uwagi o jazzie, przechodzimy beładnie do stadium a-co-pozza-tym-słysać, i wreszcie brakuje nam paliwa i zaczynamy wpatrywać się w faceta, który trafia owoce na automacie.

Marie, T-Bone i bardzo jasnowłosa, bardzo urokliwa i bardzo młoda panienka z ich kraju pojawiają się w końcu za piętnaście dziesiąta. Zostało nam więc zaledwie czterdzieści pięć minut na picie. Pytam, co zamawiają i Marie nie wie, więc zabieram ją do baru, by spojrzęła, co mają.

– Teraz rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o życiu erotycznym T-Bone'a – szepczę do niej przy barze.

Marie unosi oczy do sufitu. – Prawda? I wiesz co?

Przysięgam, że to najbrzydsza, z jaką się spotyka.

– Cieszę się, że mogłaś przyjść.

– Więc cieszymy się razem. Co to za faceci?

– Dan i Steve. Znam ich od lat. Obawiam się, że są trochę nudni, ale od czasu do czasu wypada się z nimi spotkać.

– Flaki noires, tak?

– Proszę?

– Mówię na takich flaki noires. Taka mieszanina flaków z olejem z dodatkiem *betę noire*. Ludzie, których nie chcesz widywać, choć wiesz, że powinienesz.

Flaki noires! Bardzo proszę! A ja musiałem błagać, mało tego, płacić im, żeby przyszli się napić w moje urodziny!

Nigdy nie dojdę z tym do ładu. Nigdy! – Wszystkiego najlepszego – mówi Steve, gdy stawiam przed nim drinka. Marie próbuje obdarzyć mnie spojrzeniem... osłupienia i chyba najgłębszego współczucia i bezmiernego zrozumienia, ale nie dają jej szansy.

Wieczór jest całkiem do niczego. Kiedy byłem mały, moja babcia spędzała drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia z babcią Adriana. Moi rodzice pili z jego rodzicami, ja bawiłem się z Adrianem we własnej osobie, a dwie staruszki siedziały przed telewizorem i wymieniały się uprzejmościami. Nic nadzwyczajnego, ale był pewien hak: obie były głuche jak pień. I o dziwo wcale im to nie przeszkadzało. Mało tego, były zadowolone, mogąc prowadzić to, co nazywały rozmową. Zresztą istotnie rozmawiały ze sobą, robiły pauzy, kiwały głowami, uśmiechały się do siebie, jak wszyscy. Z tym że mówiły bez związku. Nie zastanawiałem się nad tym od lat. Dzisiaj

przypominam sobie o tym przy stole.

Steve irytuje mnie przez cały wieczór: ma dziwny zwyczaj odczekiwania aż wszyscy zaczną rozmawiać i wtrącania szeptem uwag wprost do mojego ucha. Robi to za każdym razem, kiedy z kimś mówię albo usiłuję słuchać, co mówią do mnie. Mogę go zignorować i okazać się niegrzecznym, albo odpowiedzieć mu, przerywając innym i zmuszając ich do zmiany tematu. Zmusza nas do mówienia o soulu, a potem zmienia temat na *Star Trek* (jeździ na zjazdy fanów itede), a potem na najlepsze ciemne piwa z północnej Anglii (jeździ na zjazdy piwoszy itede) – temat, o którym żadne z nas nie ma najmniejszego pojęcia – po czym wszystko zaczyna się od początku. Dan często ziewa, Marie zachowuje spokój, T-Bone jest rozdrażniony, a jego panienska, Suzie, wygląda na autentycznie przerażoną. „Co ja tu robię w tym obskurnym pubie?” – pyta sama siebie i nie ma pojęcia. Ja też nie. Może Suzie i ja powinniśmy gdzieś zniknąć, poznać się bliżej, zostawić tych nieudaczników własnemu losowi? Mógłbym opisać wam cały wieczór, ale to nie ma sensu, bo kogo by to obeszło, więc dam wam tylko nudną, ale w pełni reprezentatywną próbkę:

MARIE: ... mówię wam, niewiarygodne! Prawdziwe zwierzęta! Śpiewam akurat „Miłość rani”, a taki facet wrzeszczy „Ale nie wtedy, gdy uprawiasz ją ze mną, laluniu”, a potem obrzyguje sobie cały podkoszulek i nawet nie drgnęła mu powieka! Stoi, jak stał i wrzeszczy bez przerwy w moją stronę, i śmieje się z kumplami. [Śmiech.] Byłeś tam, T-Bone, prawda?

T-BONE: ... chyba.

MARIE: T-Bone marzy o takich miłutkich fanach, prawda? Bo tam, gdzie gra, trzeba... [Tego nie słyszę, bo przerywa mi...]

STEVE: [szepczący mi do ucha] Wiesz, że wydali już *Barona* na kasetach? W sześciu odcinkach. Pamiętasz ten temat muzyczny?

JA: Nie, chyba nie... [Marie, T-Bone i Dan wybuchają śmiechem] Przepraszam, Marie, nie dosłyszałem... co było trzeba... ?

MARIE: Mówiłam, że tam, gdzie gra T-Bone i ja, trzeba...

STEVE: Kapitalny kawałek. Coś jak: der-der-DER! Der-der-der DER!

DAN: Pamiętam to... *Mężczyzna w walizce*.

STEVE: Nie, *Baron*. Jest już na kasetach.

MARIE: *Baron*? Kto w tym grał?

DAN: Steve Forrest.

MARIE: Chyba to u nas pokazywali. Czy to nie w tym serialu jest taki facet, który [Nie słyszę, bo przerywa mi...]

STEVE: [szepczący mi do ucha] Czytałeś *Głosy z cienia*? Drukowali je w „Soulu”. Kapitalne. Wiesz, że Steve Davis kupił „Soul”? Davis... ten, który gra zawodowo w bilard?

[Suzie robi minę do T-Bone'a. T-Bone patrzy na zegarek.]

Itd.

Ludzie ci już nigdy nie zasiądą razem przy stole. To niemożliwe – co zresztą widać. Myślałem, że w tłumie odnajdę spokój i poczucie bezpieczeństwa, ale pomyliłem się.

Tak naprawdę nie znam żadnej ze zgromadzonych tu osób, nawet tej, z którą spałem, i po raz pierwszy odkąd opuściła mnie Laura, mam ochotę osunąć się na ziemię i zalać łzami. Tęsknię za domem.

f Mówi się, że to kobiety wyizolowują się w związkach z mężczyznami: zapominają o swoich przyjaciółach, akceptują przyjaciół partnera i starają się robić to, co on (jak na przykład biedna Anna, która stara się zapamiętać, kim jest Richard Thompson i zapomnieć o swoim błędnym uwielbieniu dla Simple Minds), a kiedy zostają rzucone albo same rzucają, stwierdzają z przykrością, że nic je z nikim nie łączy, nawet z dawnymi przyjaciółmi, których widziały ostatnio trzy albo cztery lata wcześniej. Przed Laurą właśnie tak wyglądało życie moich partnerek, przynajmniej większości z nich...

Ale Laura... Nie wiem, co się stało. Lubilem jej znajomych: Liz i całą resztę, którą poznałem w Groucho. Z jakichś przyczyn – prawdopodobnie z powodu stosunkowego powodzenia zawodowego i związanej z nim alienacji – jej znajomi nie łączyli się w stadła i byli przy tym elastyczniejsi niż ludzie, których ja znałem. Dlatego po raz pierwszy w swoim życiu odgrywałem rolę kobiety i związałem swój los z losem Laury. Nie chodzi o to, że nie lubiła moich przyjaciół (nie mówię o ludziach pokroju Dicka, Barry'ego, Steve'a czy Dana, ale o prawdziwych przyjaciółach, których gdzieś tam po drodze straciłem). Rzecz w tym, że swoich lubiła bardziej i chciała, żebym ja również ich polubił, co też uczyniłem. Polubiłem ich bardziej niż swoich przyjaciół i zanim zdążyłem się zorientować (w zasadzie nigdy się nie

zorientowałem, a jeśli już, to o wiele za późno), związek z Laurą był wszystkim, co dawało mi poczucie umiejscowienia. A gdy traci się to poczucie, zaczyna się tęsknić za domem. Logiczne.

I co teraz? Wygląda na to, że doszedłem do końca kolejki. Nie mówię o tym w amerykańskim rockandrollowo-samobójczym sensie, ale w czysto brytyjskim: parowoszynowym. Właśnie! Zabrakło mi pary i mój wagonik zatrzymał się z delikatnym szarpnięciem w szczerym polu.

– Ci ludzie są naprawdę twoimi przyjaciółmi? – pyta mnie następnego dnia Marie, gdy spożywamy wspólnie posturodzinowy świeżutki bekon i kanapkę z avocado.

– Nie jest tak źle. Było ich tylko dwóch.

Patrzy na mnie sprawdzając, czy żartuję. Wybuchu śmiechem, co oznacza, że tak.

– Ale to były twoje urodziny!

– No wiesz...

– Urodziny, Rob! I na nic więcej cię nie stać?

– Dobra, przypuśćmy, że dzisiaj są twoje urodziny i chciałabyś wyjść na drinka. Kogo byś zaprosiła? Dicka i Barry'ego? T-Bone'a? Mnie? Nie jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółmi na świecie, prawda?

– To co innego, Rob. Nie jestem u siebie. Wyjechałam z kraju. Dzieli mnie tysiące mil od domu...

– Dokładnie o to mi chodzi.

Obserwuję pary, które przychodzą do sklepu, pary, które widuję w pubach, w autobusach i przez okna. Niektóre z nich – te rozmawiające, dotykające się, wybuchające śmiechem i

ciekawe świata – są ze sobą od niedawna i dlatego nie można brać ich pod uwagę: jak większość ludzi sprawdzam się, będąc połową nowego związku. Interesują mnie natomiast pary dłuższe stażem i cichsze – te, które zaczęły iść przez życie ręką w rękę albo ramię w ramię i mają za sobą etap twarzą w twarz.

Niewiele można wywnioskować z ich oblicz. Naprawdę. Niewiele różni ich od ludzi samotnych. Spróbujcie kiedyś podzielić tych, których mijacie na ulicy, na cztery życiowe kategorie: szczęśliwie sparzonych, nieszczęśliwie sparzonych, samotnych i zrozpaczonych. Przekonacie się, że to niemożliwe. A raczej możliwe, ale bez stuprocentowej pewności. Tak nie powinno być! Przynajmniej według mnie. Mówimy o najważniejszej rzeczy w życiu, a człowiek nie wie, czy ktoś ją ma czy nie? Coś tu nie gra. Przecież ludzie, którzy są szczęśliwi, powinni wyglądać na szczęśliwych, bez przerwy, bez względu na to, ile mają pieniędzy, bez względu na małe buty i krótki sen własnych dzieci; a ludzie, którym się powodzi, ale nie znaleźli jeszcze towarzysza życia, powinni wyglądać... no nie wiem... dobrze, ale niespokojnie jak Billy Crystal w *Kiedy Harry poznał Sally*; a ludzie zrozpaczeni powinni coś nosić – może żółtą kokardę, która pozwalałaby ich rozpoznać ludziom równie zdesperowanym. Kiedy przestanę być zrozpaczony, kiedy to wszystko się wyprostuje, przysięgam – tu i teraz – że już nigdy nie będę narzekał, że nigdy nie będę się skarżył. Na nic! Pominąwszy rzecz jasna interesy w sklepie, bezduszość współczesnej muzyki i niebotyczne ceny w barze kanapkowym przy naszej ulicy (1, 60 za jajko w majonezie i świeżutki bekon, choć nikt

nigdy nie dostał tam więcej niż cztery kawałki świeżutkiego bekonu naraz!) Będę rozpromieniony jak wszyscy święci pańscy! Z ulgi!

Nic specjalnego – przez co rozumiem mniej niż zwykle – nie dzieje się przez kilka tygodni. W sklepie ze starzyzną niedaleko domu znajduję egzemplarz „Wszystkiego po trochu” i kupuję go za piętnaście pensów. Daję go w prezencie Johnny'emu podczas jego kolejnej wizyty, wymuszając na nim przyrzeczenie, że wreszcie się od nas odpierdoli i zostawi nas w spokoju. Następnego dnia Johnny zjawia się jak zwykle i zgłasza reklamację: mówi, że płyta jest porysowana i żąda zwrotu pieniędzy. Barrytown odbywa swój tryumfalny debiut w pubie Sir Harry'ego Laudera, miażdżąc wszystkich siłą ekspresji. Słuchacze są zdruzgotani i wszędzie jest pełno ludzi, którzy wyglądają jak łowcy talentów z wytwórni płytowych, w dodatku naprawdę szaleją i... żałuj, Rob, że nie byłeś... (Kiedy pytam o to Marie, ta wybucha śmiechem i mówi, że każdy jakoś zaczynał.) Dick namawia mnie na randkę w ciemno z dwudziestojednoletnią przyjaciółką Anny, ale nie zgadzam się. Idziemy na koncert Marie do klubu folkowego w Farringdon i słuchając jej piosenek, myślę o Laurze, a nie o Marie, choć ta dedykuje jeden utwór „chłopakom z Championship Vinyl”. Idę na drinka z Liz, która przez cały wieczór pomstuje na Raya, co brzmi świetnie. A potem umiera ojciec Laury i wszystko się zmienia.

Dwadzieścia pięć

Dowiaduję się o tym tego samego ranka, co ona. Dzwonię do Raya ze sklepu z zamiarem nagrania się na sekretarce. Tak jest mi łatwiej, a muszę przekazać wiadomość od jej byłego kolegi z pracy, który nagrał się na naszej sekretarce. Mojej sekretarce. Jej sekretarce, jeśli mówimy o prawie własności. Tak czy inaczej, nie spodziewałem się, że Laura odbierze telefon, a gdy to robi, jej głos dobiega do mnie jak ze studni. Jest przytłumiony, niski i płaski, i od pierwszej do ostatniej sylaby powleczony smarkami.

– Moje ty półtora nieszczęścia! Mam nadzieję, że leżysz w łóżku z gorącą książką i dobrym termoforem. A w ogóle to mówi Rob.

Milczy.

– Laura? To ja, Rob.

Wciąż nic.

– Czy coś się stało?

I wtedy się zaczyna.

– Nie ma tacek – mówi, choć tak naprawdę muszę zgadywać, bo nie rozumiem ani słowa.

– Nie przejmuj się – odpowiadam. – Połóż się do łóżka i zapomnij o tym. Wrócimy do tego, kiedy poczujesz się lepiej.

– Ale... Prosiaczek... Prosiaczek nie żyje.

– Jaki, kurwa, prosiaczek?

Tym razem słyszę ją wyraźnie: – Mój tato... umarł... – łka. – Mój tato, tato...

I odkłada słuchawkę.

Często myślę o umieraniu, ale zawsze dotyczy to ludzi blisko związanych ze mną. Zastanawiam się, jak bym zareagował na wiadomość o śmierci Laury, jak by zareagowała Laura słysząc, że ja umarłem, i jak bym się czuł, gdyby umarła moja mama albo ojciec. Nigdy jednak nie myślałem o śmierci rodziców Laury. Bo niby po co, prawda? Ken chorował przez cały czas, kiedy byliśmy razem, ale nigdy specjalnie tym się nie przejmowałem. Mój ojciec ma brodę, jej ma *anginę pectoris* – na jedno wychodzi, prawda? Nie sądziłem, że to do czegoś doprowadzi. A teraz, gdy umarł, żałuję... że co? Czego żałuję? Że nie byłem wobec niego miłszy? Byłem stuprocentowo miły podczas tych niewielu okazji, kiedy się spotykaliśmy. Że nie byłem mu bliższy? Przecież mówimy o moim teściu *in spe*, z którym bardzo się różniliśmy, poza tym był chory... i współczułem mu, jak zwykle w takich razach. Kiedy ktoś umiera, zawsze się czegoś żałuje (a przynajmniej powinno), ma się wyrzuty sumienia, gani się za błędy i zaniedbania, więc robię to samo, najlepiej jak umiem. Z tym że nie znajduję żadnych błędów i zaniedbań. Wicie, mówimy o ojcu mojej byłej dziewczyny, prawda? Jak mam się czuć, do cholery?

– Nic ci nie jest? – pyta Barry widząc, jak gapię się w próżnię. – Z kim rozmawiałaś?

– Z Laurą... Umarł jej ojciec...

– No tak... Miał pecha... – A potem rusza na pocztę ze stertą zamówień pod pachą. Widzicie, o co mi chodzi? Od Laury do mnie i do Barry'ego: od rozpaczki do emocjonalnego zamętu i do ucieczki poprzedzonej średnim zainteresowaniem. Jeśli szukacie sposobu na pozbycie się

żądła śmierci, to porozmawiajcie z Barrym. Przez chwilę wydaje mi się, że to niemożliwe, że tych dwoje ludzi... jedno oszalało z rozpaczy do tego stopnia, że nie może mówić, i drugie, którego nie stać nawet na wzruszenie ramionami... ma ze sobą cokolwiek wspólnego. A mają! To ja jestem ogniwem, które ich łączy, choć to dziwne. Ale jeszcze dziwniejsze jest to, że mieszkają w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Ale Ken to tylko ojciec byłej dziewczyny szefa Barry'ego. Więc niby jak Barry ma się zachować?

* * *

Laura dzwoni jakąś godzinę później. Nie spodziewałem się tego.

– Przepraszam – mówi. Wciąż trudno ją zrozumieć przez łzy, smarki, rozpacz i ból.

– Nie, nie... nie zwracaj sobie mną głowy.

Placze przez chwilę. Milczę i czekam, póki się nie uspokoi.

– Kiedy jedziesz do domu?

– Za chwilę. Jak tylko się zbiorę.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. – Łka, a potem powtarza: – Nie – jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nikt jej nie może pomóc, jakby po raz pierwszy była w takiej sytuacji. Tak jak ja. Całe zło, jakie spotkało mnie do tej pory, można było odwrócić, już to jednym machnięciem różdżki dyrektora banku, już to nagłą woltą dziewczyny, czy wreszcie dzięki walorom – takim jak poświęcenie, determinacja i upór – które mógłbym znaleźć w

samym sobie, gdybym chciał. Nie życzę sobie – nigdy, przenigdy – dawać rady z takim nieszczęściem, jakie dotknęło Laurę. Jeśli ludzie muszą umierać, niech umierają gdzieś dalej, byle nie blisko mnie. Moi rodzice nie umrą w pobliżu, postarałem się o to. Kiedy odejdą, nie poczuję niczego.

Następnego dnia znowu dzwoni.

– Mama chce, żebyś przyjechał na pogrzeb.

– Ja?!

– Tata cię lubił. Na to wygląda. Mama nigdy mu nie powiedziała o naszym rozstaniu, bo... no wiesz... miał inne problemy... Zresztą sama nie wiem... ? Nie rozumiem, dlaczego tak postąpiła, ale nie mam siły wdawać się z nią w dyskusje. Mamie się chyba wydaje, że on będzie widział, kto jest na pogrzebie. Bo... – wydaje z siebie jakiś dziwny odgłos, który później rozpoznaję jako szalony chichot – ... uważa, że przez tyle przeszedł... tak długo chorował... że nie można go już martwić...

Wiedziałem, że Ken mnie lubił, choć nie miałem pojęcia dlaczego. Może dlatego, że kiedy szukał oryginalnego londyńskiego nagrania *My Fair Lady*, wysłałem mu je, przypadkowo kupiwszy ten album na targach płytowych. Widzicie do czego prowadzą przypadkowe dobre uczynki? Do obecności na pogrzebie, niech to wszystko szlag!

– A ty chcesz żebym przyjechał?

– Wszystko mi jedno. Możesz przyjechać pod warunkiem, że nie będziesz trzymał mnie za rękę.

– A Ray... będzie?

– Nie, Raya nie będzie.

– Dlaczego?

– Bo nie został zaproszony, wystarczy?

– Mogę przyjechać, jeśli chcesz...

– Boże, jak to miło z twojej strony! Przecież to twój dzień!

Chryste.

– No więc przyjeżdżasz czy nie?

– Tak, oczywiście...

– Liz cię podwiezie. Wie dokąd jechać i tak dalej.

– Dobrze. A jak ty się czujesz?

– Nie mam czasu na pogawędki, Rob. Mam za dużo do zrobienia...

– Jasne. Do zobaczenia w piątek. – Odkładam słuchawkę, nie czekając na to, co odpowie. Chcę pokazać jej, że czuję się zraniony, a potem chce mi się do niej zadzwonić i przeprosić za wszystko. Ale wiem, że nie można. To tak jak wtedy, kiedy przestaje się z kimś sypiać: nic, co się robi, nie jest dobre. Nie można tego cofnąć ani obejść, jest tylko jedna droga i prowadzi do przodu.

Tak naprawdę to nie ma piosenek pop o śmierci – to znaczy są, ale niezbyt dobre. Może dlatego lubię muzykę pop, a muzykę klasyczną uważam za gównianą. Jest taki instrumentalny kawałek Eltona Johna, „Song For Guy”, wiecie... takie plim-plum na fortepianie, które nadaje się tak samo dobrze na lotnisko, jak i na pogrzeb.

– Okay, panowie, pięć najlepszych piosenek pop o śmierci?

– Cud! – wola Barry. – Układamy Listę W Hołdzie Dla Taty Laury! Okay... okay... „Leader Of The Pack”, facio umiera na motorze, co nie? Co jeszcze... „Dead Man's Curve” tych no... Jan and Dean... potem „Terry” Twinkle... Hmm... i ta Bobby'ego Goldsboro no... „And Honey, I Miss You...” – Śpiewa kilka taktów i fałszuje bardziej niż normalnie, co wywołuje radość Dicka. – A co powiesz na „Tell Laura I Love Her”. Od tej powinni oszaleć, mówię ci... – Dobrze, że nie ma z nami Laury. Byłoby jej przykro, że śmierć ojca sprawia nam tyle radości.

– Myślałem o czymś poważniejszym... Wiesz... czymś pełnym dostojeństwa...

– Czego? Będiesz didżejem na tym pogrzebie, czy co? No, no! Przykra robota! Ale zarycam ci, że Bobby Goldsboro zrobi furorę. Ludziom potrzeba trochę oddechu. Mama Laury mogłaby to zaśpiewać... – I znów wyje kilka taktów, i znów fałszuje, choć tym razem robi to falsetem, udając, że jest kobietą.

– Odpierdol się, Barry.

– Taa... Ja już wiem, co zagrają na moim pogrzebie: „One Step Beyond” Madness i „You Can,,t Always Get What You Want”.

– Dlatego, że grali to w *Wielkim chłodzie*.

– Nie widziałem *Wielkiego chłodu*, prawda?

– Łziesz jak pies. Byliśmy razem na podwójnym seansie Lawrence'a Kasdana. Pokazywali *Wielki chłód* i *Gorączkę ciał*.

– No taa... Zapomniałem, klnę się na Boga... Ale podobał mi się ten pomysł.

– A mnie nie.

I tak dalej.

– Później pytam jeszcze raz.

– „Abraham, Martin and John” – mówi Dick. – To całkiem niezły kawałek.

– Jak miał na imię tato Laury?

– Ken.

– „Abraham, Martin, John and Ken”. Nieee... to nie brzmi dobrze...

– Odpierdol się.

– Coś Black Sabbath? Nirvany? Też śpiewają o śmierci...

Tak czci się pamięć Kena w Championship Vinyl.

Ja też już wiem, co powinni zagrać na moim pogrzebie, ale nie mówiłem o tym nikomu, bo wszyscy umarliby ze śmiechu. „One Love” Boba Marleya; „Many Rivers To Cross” Jimmy’ego Cliffa i „Angel” Arethy Franklin. Mam też nadzieję, że jakaś piękna, zalana Izami kobieta każe odtworzyć „You’re The Best Thing That Ever Happened To Me” Gladys Knight, ale nie potrafię na razie ustalić jej tożsamości. Jak mówi przysłowie: to mój pogrzeb i wara od niego innym. Jeśli zechcę, mogę być sentymentalny i cikliwy. W każdym razie nie zmienia to wniosków, do jakich nieświadomie doszedł Barry: mamy tu z siedem trylionów godzin muzyki, z czego nawet pół minuty nie oddaje uczuć Laury.

Mam tylko jeden garnitur, ciemnoszary, i po raz ostatni nosiłem go trzy lata temu na czyimś ślubie. Ubranie leży na

mnie fatalnie we wszystkich istotnych miejscach, ale nie mam wyboru, będę je musiał włożyć. Prasuję białą koszulę i znajduję krawat, jeden z niewielu, których nie uszyto ze skóry i nie ozdobiono saksofonami, a potem czekam na Liz, która powinna przyjechać lada moment. Nie mam niczego, co mógłbym ze sobą zabrać – wszystkie karty z kondolencjami, jakie widziałem w kiosku, wyglądają przerażająco. Przypominają pocztówki, jakimi mogłaby obdarowywać się rodzina Adamsów z okazji Wszystkich Świętych. Żałuję, że nigdy jeszcze nie byłem na pogrzebie. Jeden z moich dziadków umarł, zanim się urodziłem, a drugi, kiedy miałem zaledwie kilka lat. Obie babcie żyją, jeśli można nazwać to życiem, ale w ogóle ich nie widuję. Jedna jest w domu starców, a drugą opiekuje się ciotka Eileen, siostra ojca. Kiedy umrą, trudno to będzie nazwać końcem świata. Nikt nie drukuje dodatków nadzwyczajnych, kiedy umiera ktoś bardzo stary. I choć mam znajomych, którzy mieli znajomych, którzy umarli – jeden facet, z którym studiowała Laura, był gejem i zachorował na AIDS, kumpel mojego kumpla Paula zabił się w wypadku motocyklowym, paru innych straciło rodziców – zawsze udawało mi się uniknąć bezpośredniego kontaktu ze śmiercią. Teraz widzę, że nie uniknę kontaktu z rzeczami ostatecznymi przez resztę życia. W kolejce czekają dwie babcie, rodzice, ciotki i wujkowie, i – założywszy, że nie odjadę jako pierwszy z mojej paczki – dziesiątki ludzi w moim wieku... prędzej czy później. Może nawet prędzej niż później, biorąc pod uwagę fakt, jak niektórzy z nich się prowadzą. Gdy zaczynam o tym myśleć, przyszłość jawi mi się jako przerażające pasmo pogrzebów,

może nawet trzech albo czterech tygodniowo w przeciągu kolejnych czterdziestu lat, jak więc znajdę czas i chęć na cokolwiek innego? Jak ludzie sobie z tym radzą? Czy trzeba uczestniczyć w pogrzebach? Co by się stało, gdybym odmówił, tłumacząc, że są one według mnie kurewsko ponure? („Współczuję ci, Lauro, ale wiesz... to nie miejsce dla mnie".) Chyba nie stać mnie na to, żeby się zestarzeć i zaczynam odczuwać pewien umiarkowany podziw dla rodziców, ponieważ byli na dziesiątkach pogrzebów i nigdy się nie skarżyli, przynajmniej nie w mojej obecności. Możliwe również, że brakuje im wyobraźni, by ujrzeć pogrzeb w jego prawdziwej, przygnębiającej postaci.

Jeśli mam być szczerzy, jadę na ten pogrzeb tylko dlatego, że mogę na nim skorzystać w dalszej perspektywie. Czy można iść do łóżka z byłą dziewczyną po pogrzebie jej ojca? Nie sędzę. Ale nigdy nie wiadomo.

– Więc jak to jest? Pastor mówi coś miłego, a potem... co? Maszerujemy na dwór i zakopują trumnę?

Liz wprowadza mnie w szczegóły.

– Nie. Wszystko odbędzie się w krematorium.

– Nabierasz mnie.

– Nie mam najmniejszego zamiaru, ty idioto.

– W krematorium?! Chryste!

– A co to za różnica?

– No... żadna... ale... Jezu! – Nie byłem na to przygotowany.

– O co ci chodzi?

– Nie wiem... tylko... kurwa mać!

Wzdycha. – Mam cię wysadzić przy stacji metra?

– Nie, nie. Oczywiście, że nie.

– Więc się zamknij.

– Nie chciałbym zemdleć, to wszystko. Jeśli zemdleję z braku zaprawy, to będzie twoja wina.

– Nie bądź żałosny, Rob. Wiesz, że nikt przy zdrowych zmysłach nie bierze udziału w pogrzebach z własnej woli. Wiesz, że dla nas wszystkich nie będzie to przyjemne przeżycie. Więc zapomnij na chwilę o sobie, dobrze? Już raz byłam na kremacji i pamiętam, jak potwornie się po tym czułam... ale nawet gdybym była na stu kremacjach, nie byłoby mi z tym łatwiej. Nie zachowuj się jak mazgaj.

– Jak myślisz, dlaczego nie będzie Raya?

– Nie został zaproszony. Nikt z rodziny go nie zna. Ken bardzo cię lubił, a Jo wprost przepada za tobą... – Jo jest siostrą Laury i ja też za nią przepadam. Jo z wyglądu przypomina Laurę, chociaż nie jest tak elegancka, nie ma tak ciętego języka i nie przynosiła ze szkoły samych piątek.

– I nic więcej?

– Ken nie umarł dla twojej przyjemności, pomyślałaś o tym? Czy w filmie, którym jest twoje życie, wszyscy oprócz ciebie grają role drugoplanowe?

Oczywiście. Jak w filmach każdego z nas.

– Twój tata... też nie żyje, prawda?

– Tak. Umarł dawno temu... miałam wtedy osiemnaście lat.

– Czy miało to na ciebie wpływ? – Co za idiotyzm! Okropieństwo! – To znaczy, jak długo to trwało? – Wybrnąłem. Niewiele brakowało.

– Wciąż trwa.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Wciąż mi go brakuje... myślę o nim. Czasami nawet z nim rozmawiam.

– I co mu mówisz?

– To tajemnica. – Liz wypowiada tę kwestię delikatnie, z lekkim uśmiechem. – Po śmierci dowiedział się o mnie znacznie więcej, niż było mu dane wiedzieć za życia.

– A czyja to była wina?

– Jego. Był stereotypowym ojcem... wiesz... ciągle zajęтым... ciągle zmęczonym... Kiedy umarł, było mi przykro z tego powodu, ale w końcu doszłam do wniosku, że to nie moja wina i że nic nie mogę na to poradzić. Byłam dobrą córką, więc nie umarł przeze mnie...

Cudownie! Mam zamiar kultywować przyjaźnie z ludźmi, którym umarli rodzice, znajomi albo partnerzy. Są naprawdę ciekawi! I jakże przystępni! Są wszędzie wokół nas. Co prawda astronauta, byli Beatlesi albo ofiary kolizji na morzu mają więcej do opowiedzenia – choć nie jestem tego pewny – ale i tak trudno się do nich dopchać. Ludzie, którzy znają umarłych ludzi – jak mogłaby zaśpiewać Barbra Streisand, chociaż niestety nie zaśpiewała – są najszcześniejszymi ludźmi na świecie.

– Czy jego także skremowano?

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie wiem. Po prostu jestem ciekaw. Bo mówiłaś, że byłaś już na kremacji i zastanawiałem się... no wiesz...

– Na twoim miejscu dałabym Laurze odpocząć kilka dni, zanim zaczniesz zasypywać ją pytaniami. Przeżycia tego

rodzaju nie nadają się do towarzyskich pogawędek...

– To znaczy, że mam się zamknąć, czy tak?

– Tak.

Całkiem słusznie.

Krematorium jest położone w szczerym polu. Zostawiamy samochód na olbrzymim, prawie pustym parkingu i ruszamy w stronę grupy budynków: całkiem nowych i potwornych; za jasnych, jeśli wziąć pod uwagę cel, jakiemu służą. Trudno sobie wyobrazić, że palą tutaj ludzi; prędzej uwierzyłbym, że jest to miejsce cotygodniowych spotkań przy piosence jakiejś kolorowo ubranej sekty religijnej. Nie pozwoliłbym pochować tutaj mojego starego. Wydaje mi się, że potrzebowałbym pewnej atmosfery, żeby móc odpowiednio rozpaczać; atmosfery, której nie dają gołe cegły i lśniące sosnowe deski.

Kompleks składa się z trzech kaplic. Na przedniej ścianie jest nawet tablica informacyjna, która mówi nam, co się dzieje w każdej kaplicy i o której godzinie:

KAPLICA 1. 11. 30 PAN E. BARKER KAPLICA 2. 12. 00 PAN K. LYDON KAPLICA 3. 12. 00 – Dobre wieści! Przynajmniej w kaplicy 3. odwołano kremację. Wiadomości o mojej śmierci są znacznie przesadzone, cha, cha. Siadamy w poczekalni i czekamy. Schodzą się jacyś ludzie.

Liz kiwa głową paru osobom, których nie znam. Próbuje przypomnieć sobie wszystkie męskie imiona na „E”. Mam nadzieję, że w kaplicy 1. kremują kogoś starszego, bo nie chcę po zakończeniu procesu widzieć rozpaczających

żałobników. Erie. Ernie. Ebenezer. Ethelred. Ezra. Jeśli tak, to wszystko w porządku. Można się śmiać. No... może niezupełnie śmiać, ale z moich dociekań wynika, że ten na „E” musiał mieć ze czterysta lat. W tych okolicznościach nikt nie będzie za nim rozpaczał, prawda? Ewan. Edmund. Edward. Bzdury! Mógł być w każdym wieku.

W poczekalni nikt jeszcze nie płacze, ale paru ludzi jest już na krawędzi i widać, że zrobią krok naprzód, nim upłynie ranek. Wszyscy są w średnim wieku i znają scenariusz. Rozmawiają przyciszonym głosem, podają sobie ręce, uśmiechają się słabo, całują czasami. I nagle – bez żadnego powodu, choć mogę się mylić, bo nie jestem sobą i czuję się jak zagubiony ignorant – wstają i maszerują do drzwi z napisem KAPLICA 2.

W środku jest na szczęście ciemno, więc łatwiej dostroić się do okoliczności. Trumna stoi z przodu na lekkim podwyższeniu, które jest... nie wiem czym? Laura, Jo i Janet Lydon stoją w pierwszym rzędzie bardzo blisko siebie. Otacza je kilku mężczyzn, których nie znam. Śpiewamy hymn, modlimy się, pastor wygłasza krótką i niezbyt interesującą mowę, posiłkując się cytatami z księgi, potem jeszcze jeden hymn i rozlega się straszny, niespodziewany chrzęst maszynerii, i trumna znika w podłodze. Trwa to jakiś czas, a z pierwszego rzędu dobiega skowyt, potworny, potworny dźwięk, którego nie chcę słyszeć; mogę się tylko domyślać, że to głos Laury – chociaż wiem, że tak, wiem to na pewno – i w tej samej chwili chcę do niej podejść, podać rękę i powiedzieć, że będę innym człowiekiem, przestanę być

swoim starym ja; wystarczy, że pozwoli mi opiekować się sobą, a sprawię, że będzie nam lepiej.

Gdy wychodzimy na dwór, ludzie tłoczą się wokół Laury, Jo i Janet; ściskają je. Chciałbym zrobić to samo, ale nie mam pojęcia jak. Laura dostrzega Liz i mnie na skraju grupy żałobników, podchodzi do nas i dziękuje nam za przyjście, a potem przytula nas długo do siebie, i kiedy mnie puszcza, czuję, że nie muszę stawać się innym człowiekiem: już się nim stałem.

Dwadzieścia sześć

W domu jest łatwiej. Wiadomo, że najgorsze jest już za nami i w pokoju panuje wymęczony spokój – taki, jaki czuje się w żołądku po zwymiotowaniu. Ludzie zaczynają rozmawiać o innych sprawach, choć ciągle są to sprawy ważne – praca, dzieci, życie. Nikt nie dyskutuje o ilości paliwa spalanej przez jego volvo ani o imieniu, jakie powinien dać psu. Robimy sobie z Liz po drinku i stajemy oparci o biblioteczkę w kącie, daleko od drzwi. Prowadzimy jakąś rozmowę, ale głównie obserwujemy ludzi.

Dobrze mi jest w tym pokoju, choć przyczyna, dla której tu jestem, budzi pewien niepokój. Lydonowie mają duży, wiktoriański dom, stary, wilgotny i pełen rzeczy – mebli, obrazów, ozdób i roślin – które nie pasują do siebie, choć wybrano je z wielkim smakiem i znanstwem. W pokoju, w którym jesteśmy, wisi nad kominkiem wielki, niesamowity portret rodzinny. Namalowano go, gdy dziewczynki miały odpowiednio: dziesięć i osiem lat. Na obrazie ubrane są w coś, co wygląda jak sukienki drухen, i stoją upozowane obok Kena. Widać też psa, Allegro, Allie, który zdechł, zanim się pojawiłem. Pies stoi przed dziewczynkami, częściowo zasłaniając ich nogi. Opiera się o udo Kena, który z uśmiechem stroszy mu sierść. Janet ukazana jest nieco z tyłu, za mężem i dziećmi, jakby przyglądała się scenie. Rodzina wygląda szczuplej niż teraz i pokryta jest kolorowymi plamami (na tym zdaje się polega urok malarstwa). Już na pierwszy rzut oka widać, że mamy tu do czynienia ze sztuką

współczesną, wielobarwną i pełną radości, i że obraz został namalowany przez kogoś, kto zna się na rzeczy (Laura wspomniała, że jego autorka miała nawet wystawy), ale ogólne wrażenie psuje nieco sąsiedztwo wypchanej wydry stojącej na kominku bezpośrednio pod dziełem. Nie mówiąc już o ciemnych, starych meblach, których nienawidzę. Aha, w jednym rogu wisi hamak, na którym ułożono sterty poduszek, a w drugim stoi nowiutka, czarna wieża hi-fi, najcenniejszy nabytek Kena, mimo obrazów i antyków. Wszystko razem sprawia wrażenie bałaganu, ale z miejsca kocha się rodzinę, która w nim mieszka, bo wiadomo, że jest ciekawa, miła i subtelna. Wiem teraz, że lubiłbym być członkiem tej rodziny, i choć narzekałem, gdy przyszło mi tu przyjechać na weekend czy niedzielne popołudnie, nigdy się nie nudziłem w tym domu. Mija kilka minut i podchodzi do nas Jo, całuje nas i dziękuje za przyjście.

– Co u ciebie? – pyta ją Liz, akcentując „ciebie”, przez co pytanie brzmi znacząco i tchnie współczuciem. Jo wzrusza ramionami.

– Chyba wszystko dobrze... Mama nieźle to znosi, ale Laura... nie wiem...

– I bez tego miała dosyć ciężki okres – oznajmia Liz, a ja czuję maleńki przypływ dumy: chodzi o mnie. To przeze mnie miała ciężki okres, przeze mnie i kilku innych, jej samej nie wyłączając. Ale nieważne. Zapomniałem już, że mogę mieć wpływ na życie Laury, i czuję się dziwnie, gdy przypomina mi się o mojej potędze emocjonalnej w samym środku uroczystości pogrzebowych, kiedy to – jak wynika z mojego niewielkiego doświadczenia – traci się wpływ na

cokolwiek.

– Dojdzie do siebie – stwierdza z przekonaniem Liz. – Chociaż wiem, co czuje. Tak to bywa, gdy człowiek skupi się na jednym wycinku życia i nagle okazuje się, że to zły wycinek... – Spogląda na mnie z nagłym zażenowaniem, poczuciem winy... nie wiem.

– Nie przejmujcie się mną – zwracam się do Liz i Jo. – Naprawdę. Nie ma sprawy. Możecie udawać, że mówicie o kimś innym. – Chciałem, żeby to zabrzmiało uprzejmie, słowo daję. Chciałem im po prostu dać do zrozumienia, że jeśli zamierzają omawiać życie uczuciowe Laury w jego dowolnym aspekcie, to nie mam nic przeciwko temu, w każdym razie nie dzisiaj.

Jo uśmiecha się, a Liz patrzy na mnie jakoś dziwnie. – Mówimy o kimś innym. O Laurze. O Laurze i Rayu, jeśli chcesz wiedzieć.

– To nie fair, Liz.

– Och?! – Unosi brew, jakbym sprawił jej przykrość.

– I przestań na mnie, kurwa, „ochać!” – Dwoje ludzi odwraca głowy, gdy używam słowa na „k”, a Jo kładzie mi rękę na ramieniu. Strącam ją. Nagle czuję wściekłość i nie wiem, jak się opanować. Czuję się tak, jakbym przez kilka ostatnich tygodni żył z czyjąś ręką na ramieniu: nie mogę rozmawiać z Laurą, bo mieszka z innym i dzwoni do mnie z automatu, i udaje, że tak nie jest! Nie mogę rozmawiać z Liz, bo wie o pieniądzach, aborcji i tamtej dziwce! Nie mogę rozmawiać z Dickiem i Barrym, bo są Dickiem i Barrym, i nie mogę rozmawiać z przyjaciółmi, bo nie rozmawiam z przyjaciółmi, a teraz nie mogę rozmawiać z nikim, ponieważ

umarł ojciec Laury i muszę to zaakceptować, bo inaczej okażę się złym chłopcem, z akcentem na „chłopcem”: złym, egoistycznym, ślepym i głupim! Otóż nie jestem taki, w każdym razie nie zawsze, i wiem, że to nie najlepszy moment – nie jestem aż taki próżny – ale jeśli nie ten, to który? Kiedy pozwoli mi się mówić?

– Przepraszam, Jo! Naprawdę przepraszam... – Wracam do pogrzebowego szeptu, chociaż chce mi się krzyczeć. – Chodzi o to, Liz, że... czasami muszę się bronić, bo jeśli uwierzyłbym we wszystko, co o mnie mówisz, skończyłbym nienawidząc własnego odbicia w lustrze. Być może uważasz, że powinienem, ale nikt nie potrafi tak żyć, chyba wiesz...

Liz wzrusza ramionami.

– To za mało, Liz. Zapewniam cię, że się mylisz, a jeśli tego nie wiesz, to jesteś głupsza niż myślałem.

Wzdycha teatralnie, a potem dostrzega mój wyraz twarzy.

– Może istotnie powiedziałam coś nie fair. Ale czy pora...

– Pora zawsze jest zła. Nie możemy przez całe życie przepraszać, że żyjemy.

– Jeśli masz na myśli mężczyzn, to wystarczyłby jeden raz.

Nie wyjdę z pogrzebu ojca Laury, trzaskając drzwiami. Nie wyjdę z pogrzebu ojca Laury, trzaskając drzwiami. Nie wyjdę. Wychodzę z pogrzebu ojca Laury, trzaskając drzwiami.

Dom Lydonów stoi dobrych kilka mil za miastem, którym jest Amersham, choć to bez różnicy, bo i tak nie wiem, jak do niego dojechać. Skręcam w jakąś ulicę, potem jeszcze jedną i

wychodzę na coś w rodzaju drogi głównej, przy której widzę przystanek. Nie jest to niestety przystanek napawający optymizmem: nikt na nim nie czeka na autobus, a w okolicy nic się nie dzieje. Po jednej stronie stoją willowe domy, po drugiej jest plac zabaw. Czekam na przystanku przez kilka minut, zamarzając w garniturze, ale tak jak przypuszczałem, musiałbym zainwestować kilka dni, żeby przekonać się, czy coś w ogóle się tu zatrzymuje. I wtedy na drodze pojawia się znajomy zielony volkswagen. To Laura, która wyjechała mnie szukać.

Bez namysłu przeskakuję murek oddzielający czyjaś posiadłość od ulicy i kładę się plackiem na czyjejś grządce. Ziemia jest mokra. Wolę się jednak utopić, niż pozwolić Laurze na zruganie mnie za ucieczkę ze stypy, więc zaciskam zęby i trwam pośród bylin. Zawsze gdy wydaje mi się, że osiągnąłem dno, zapadam się jeszcze bardziej, ale teraz wiem, że nic gorszego już mnie nie spotka bez względu na to, co będzie się działo potem, bez względu na to, jak zbiednieję, zgłupieję czy oszaleję z samotności. Tych kilka minut spędzonych na grządce pozostanie ze mną do końca życia niczym ostrzegawcza latarnia. „Czy to gorsze od leżenia twarzą na ziemi po pogrzebie ojca Laury?” – zapytam siebie, gdy komornik zajmie mi sklep albo gdy następna Laura odejdzie z kolejnym Rayem. I odpowiedź zawsze będzie brzmiała: „Nie”.

Kiedy mam już dosyć, kiedy biała koszula brązowieje, a po marynarce ścieka błoto, kiedy wreszcie zaczyna mnie kłuć w boku – skurcz, reumatyzm albo paraliż? – i w nogach, wstaję i strzepuję z siebie ziemię. Laura, która przez cały czas

siedziała w samochodzie na przystanku, odkręca szybę i każe mi wsiadać.

To, co stało się ze mną podczas pogrzebu, można streścić następująco: przekonałem się po raz pierwszy, jak bardzo boję się śmierci – choćby i dotyczyła innych – i jak ów strach przeszkadzał mi w robieniu różnych rzeczy – choćby w rzuceniu palenia (którego nie rzucają zarówno ci, którzy biorą śmierć zbyt poważnie i kierują się przeświadczeniem, że i tak prędzej czy później umrą, jak i ci, którzy ją lekceważą i tak jak ja odpychają od siebie myśl o własnej śmiertelności) czy rozważeniu swojego życia (szczególnie pracy) pod kątem zawierającym pojęcie przyszłości (strasliwe pojęcie przywodzące na myśl śmierć). Strach, o którym mówię, przeszkadzał mi głównie w utrzymywaniu stałych związków z kobietami, bo jeśli utrzymuje się taki związek, człowiek zaczyna być zależny od życia partnera, który, jak wiadomo, jest osobą śmiertelną (pominąwszy taką okoliczność, że jest się związanym z bohaterem kreskówki) i... no właśnie, i co wtedy... ? Budzimy się z ręką w nocniku. Wszystko byłoby okay, gdybym umarł pierwszy, ale konieczność zejścia z tego świata przed kimś innym wcale nie musi mi się uśmiechać, prawda? Poza tym skąd mam wiedzieć, kiedy ona umrze? Przecież jutro może przejechać ją przysłowiowy autobus, a to oznaczałoby, że jeszcze dzisiaj powinienem zacząć rozglądać się za odpowiednim piętrusem. Kiedy ujrzałem w krematorium twarz Janet Lydon... nie wiem... Jak można być tak odważnym? Bo co ma niby teraz zrobić? Dlatego bardziej sensowne według mnie jest

przeskakiwanie od kobiety do kobiety, póki ma się jeszcze siły, żeby to robić. Potem zostaje się samemu i umiera w samotności, i nie ma w tym nic strasznego, jeśli zastanowić się nad alternatywą. Kiedy byłem z Laurą, wtulałem się nocą w jej plecy i drżałem przejęty dojmującym, bezimiennym strachem. Teraz już wiem, jak ten strach ma na imię: Brian. Cha, cha. Okay, nie chodzi o imię, ale o to, skąd się bierze. Teraz już wiem, dlaczego chciałem przespać się z upierdliwą jak wrzód na dupie Rosie od jednoczesnego orgazmu, choć być może wyda się to wam kiepskim argumentem, w dodatku przemawiającym na moją korzyść. Dobra, no więc ktoś... nie ja... sypia z innymi kobietami, bo boi się śmierci! – przykro mi, ale tak wygląda prawda.

Kiedy wtulałem się nocą w plecy Laury, bałem się, że ją stracę, a zawsze kogoś tracimy, czy tego chcemy, czy nie, na końcu. Wolę nie ryzykować. Wolę nie wracać po pracy do domu za jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat i stawać twarzą w twarz z pobladałą, wystraszoną kobietą, która informuje mnie, że sra krwią – przepraszam, przepraszam, ale tak właśnie bywa z ludźmi. Wolę nie prowadzić jej do doktora, który powie, że stadium jest nieoperowalne... brak mi odwagi, rozumiecie? Zamiast tego wolę uciec, zamieszkać w innym mieście pod innym nazwiskiem, a Laura niech idzie do szpitala i niech umiera, i niech pytają ją: „Czy pani... partner nie przyjdzie w dniu odwiedzin?”, na co odpowie: „Nie, bo kiedy dowiedział się, że mam raka, dał nogę”. Wspaniały facet! „Rak? Jaki rak? Przepraszam, to nie dla mnie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!” Lepiej nie stwarzać sobie takich problemów. Lepiej dać temu spokój.

Czas na wnioski. Logiką, która kryje się za tym wszystkim, jest gra na procent. Mam trzydzieści sześć lat, prawda? Załóżmy, że najniebezpieczniejsze choroby – rak, schorzenia serca, cokolwiek – atakują nas po pięćdziesiątce. Można mieć pecha i wcześniej kopnąć w kalendarz, ale z reguły najbardziej narażona na odjazd jest grupa wiekowa pięćdziesięciolatków i starszych. Chcąc grać bezpiecznie, musimy ustawić cezurę: przez następne czternaście lat angażuję się w kilkunasto – bądź kilkudziesięciomiesięczne związki, a potem basta, koniec, wystarczy. Proste i logiczne. Czy wyjaśnię to osobie, z którą zacznę się spotykać? Może. Tak byłoby fair. Tak byłoby łatwiej kończyć to, co nas łączyło, i rozstawać się w zgodzie. „Niedługo umrzesz, więc nie ma sensu ciągnąć tego dalej, prawda?” Doskonale rozumie się ludzi, którzy kończą związek, emigrując lub wracając do swojego kraju. Robią to dla obopólnego dobra, bo miłość na odległość bywa bolesna. Dlaczego to samo nie miałyby dotyczyć śmierci? Oddalenie, jakie niesie ze sobą śmierć, jest na pewno stokroć boleśniejsze niż oddalenie po wyjeździe. Chodzi mi o to, że gdy ktoś emigruje, zawsze można zabrać się z nim. Zawsze można powiedzieć sobie: „Pierdołę, zwijam interes i wyjeżdżam. Zostanę kowbojem w Teksasie albo zbieraczem herbaty w Indiach itd.” Jednak gdy w grę wchodzi wielkie Ś, nic nie da się zrobić, prawda? Chyba że pójdzie się śladem Romea, a gdy się nad tym zastanowić...

– Myślałam, że chcesz przeleżeć na tej grządce całe popołudnie.

– He? Aha. Cha, cha. Nie. Cha... – Rozbawiona nonszalancja jest w takiej sytuacji trudniejsza do osiągnięcia niż się wydaje, choć leżenie na czyjejś grządce w dniu śmierci ojca byłej dziewczyny – w dniu jego spalenia – nie należy zapewne do sytuacji rodzajowych i jest raczej czymś niepowtarzalnym i bezprecedensowym.

– Jesteś cały mokry.

– Mmmm.

– Poza tym jesteś idiotą.

Czekają mnie inne bitwy. Nie ma sensu wdawać się w tę, gdy wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

– Doskonale rozumiem, dlaczego tak mówisz. Posłuchaj: przykro mi, naprawdę. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, było... dlatego wyszedłem, okay?... straciłem głowę i mało brakowało, a wpadłbym w szal... a tego nie chciałem... i... posłuchaj, Lauro... przespałem się z Rosie i wszystko zepsułem, bo bałem się, że umrzesz. To znaczy, wiem, że nic ci nie groziło, ale bałem się umierania... śmierci... wszystko jedno. I wiem, że to brzmi... ale... – Wszystko wysycha tak samo szybko, jak się wylało, i teraz gapię się na nią z rozdziawioną paszczą.

– No cóż, na pewno umrę. Pod tym względem niewiele się zmieniło.

– Nie, nie, doskonale rozumiem i nie oczekuję, że powiesz mi coś innego. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, to wszystko.

– Dziękuję. Doceniam to.

Nie rusza się, nie zapala silnika.

– Szkoda, że nie mogę odwzajemnić się tym samym.

– Co to znaczy?

– Nie spałam z Rayem dlatego, że bałam się twojej śmierci. Spałam z Rayem, bo miałam cię dosyć i potrzebowałam czegoś innego.

– No jasne... nie... rozumiem. Posłuchaj, nie chcę zabierać ci czasu. Wracaj, a ja zaczekam na autobus.

– Nie chcę wracać. Ja również urządziłam scenę.

– No jasne... świetnie... To znaczy, nie świetnie, ale no wiesz...

Zaczyna padać. Laura włącza wycieraczki i widzimy mniej niż poprzednio.

– Kto cię zdenerwował?

– Nikt. Po prostu nie czułam się na siłach... Jestem na to wszystko za dziecinna... chciałam, żeby ktoś się mną zajął, a nikt jakoś nie miał zamiaru, i kiedy Liz powiedziała mi, że zniknąłeś, potraktowałam to jako wymówkę...

– Jesteśmy dobraną parą.

– A ciebie kto zdenerwował?

– Ech... nikt... To znaczy Liz... była taka... – Nie przychodzi mi do głowy żadne dorosłe wyrażenie, więc stwierdzam: – Czepiała się.

Laura prycha. – Ona się czepiała, a ty na nią skarżysz.

– Tak to mniej więcej wygląda.

Śmieje się bezlitośnie. – Nic dziwnego, że wszyscy tkwimy w takim bagnie. Zachowujemy się jak Tom Hanks w *Dużym*. Mali chłopcy i małe dziewczynki uwięzieni w dorosłych ciałach, zmuszeni do udawania. W życiu jest jeszcze gorzej niż na filmie, gdzie wystarczyło parę gagów o całowaniu i piętrowych łóżkach... W życiu jest jeszcze to

wszystko... – Pokazuje ręką na szybę, za którą jest plac zabaw, przystanek i facet spacerujący z psem. Wiem, co ma na myśli. – Coś ci powiem, Rob. Ucieczka z tego pogrzebu była najgorszą rzeczą, jaką zrobiłam. I najbardziej radosną. Nie umiem ci powiedzieć, jak źle i jak dobrze się czuję... A może umiem: czuję się jak upieczona Alaska.

– Nie uciekłaś z pogrzebu, wyszłaś ze stypy, a to co innego.

– Ale mama i Jo, i... nigdy mi tego nie zapomną. Wszystko jedno. Tyle o nim myślałam, tak wiele mówiłam, a ci... tam w domu żądają ode mnie, bym pomyślała jeszcze trochę i podzieliła się z nimi refleksjami, a ja chciałabym wrzeszczeć...

– Ken zrozumiałby.

– Myślisz? Nie jestem pewna. Na jego miejscu wolałabym, żeby wszyscy zostali do samego końca. Tyle przynajmniej mogą zrobić.

– Ale twój tata był miłszy od ciebie.

– Też tak myślę.

– Jakieś pięć, sześć razy miłszy.

– Nie przesadzaj.

– Przepraszam.

Obserwujemy mężczyznę, który próbuje zapalić papierosa, trzymając w ręce smycz zakończoną psem, gazetę i parasol. To się nie uda, ale facet nie chce się poddać.

– Kiedy wracasz?

– Nie wiem. Kiedyś. Później. Posłuchaj, Rob, czy przespałbyś się ze mną?

– Co?!

– Chyba potrzebuję seksu. Chcę poczuć coś innego... coś, co nie jest żalem i wyrzutami sumienia. Albo to zrobisz, albo wrócę do domu i wsadzę rękę do ognia. Chyba że wolisz gasić mi papierosy na przedramieniu...

To nie jest Laura. Laura jest prawnikiem z zawodu i z zamiłowania, a teraz zachowuje się tak, jakby chciała zagrać w filmie z Harveyem Keitelem.

– Zostały mi tylko dwa. Chowam je na później.

– A więc seks!

– Ale gdzie? I co z Rayem? I co... – Chcę powiedzieć „ze wszystkim”. I co ze wszystkim?

– Musimy zrobić to w samochodzie. Gdzieś nas zawiozę. Zawozi nas gdzieś.

Wiem, co myślicie: Jesteś żalonym fantastą, Fleming. Śnisz na jawie itd. Jednak gotów jestem przysiąc, że nigdy – nawet w najgorszym koszmarze – nie wykorzystałbym wydarzeń dzisiejszego dnia do snucia erotycznych fantazji. Po pierwsze, jestem mokry i choć rozumiem, że wilgoć ma wiele seksualnych konotacji, nawet najgorszy zboczeniec nie mógłby się podniecić, będąc tak mokrym jak ja, bo na stan ów składają się: zimno, otarcia (spodnie od garnituru nie mają niestety podszewki i moje uda przypominają surowy połącz mięsa), przykre zapachy (żaden ze znanych mi perfumiarzy nie pokusił się nigdy – z całkiem oczywistych przyczyn – o oddanie odoru wilgotnych spodni) i fragmenty roślinności zwisające w krytycznych punktach ubioru. Poza tym nigdy nie aspirowałem do robienia tego w samochodzie (moje fantazje zawsze, ale to zawsze związane były z łóżkiem) i choć pogrzeb mógł z nieznanymi mi przyczyn

wprowadzić w odpowiedni nastrój córkę zmarłego, ja przeżyłem wstrząs i mówiąc szczerze, nie wiem, co sądzić o uprawianiu seksu z Laurą, która mieszka z obcym mężczyzną (czy jest lepszy, czy jest lepszy, czy jest lepszy?), i wreszcie...

Zatrzymuje samochód i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że przez ostatnie kilka minut podróży strasznie nami rzucało.

– Tata przywoził nas tutaj, kiedy byliśmy małe.

Stoimy na poboczu długiej, wyżłobionej koleinami, piaszczystej drogi prowadzącej do dużego domu. Po jednej stronie mamy dżunglę traw i krzewów, po drugiej rząd drzew. Stoimy po stronie drzewiastej przodem do domu i zapadamy się w piach.

– Kiedyś była tu mała prywatna szkoła, ale zbankrutowała przed laty i dom od tamtej pory stoi pusty.

– Po co was tutaj przywoził?

– Na spacer. Latem rosną tu jeżyny, a jesienią można zbierać kasztany. To prywatna droga, więc wyprawy bywały ekscytujące.

Jeżu! Dobrze, że nie mam pojęcia o psychoterapii, o Jungu, Freudzie i całej reszcie. Gdybym miał, wpadłbym zapewne w przerażenie: kobieta, która chce uprawiać seks w miejscu przechadzek z tatusiem, musi być niebezpieczna.

Przestało padać, ale na dach spadają krople z drzew, a wiatr targa gałęziami, więc oprócz kropel spadają na nas również liście.

– Usiądziemy z tyłu? – pyta Laura bezbarwnym, obojętnym głosem, jakby, w razie mojej niezgody, mogła

zrobić to z kimś innym.

– Chyba tak... Chyba będzie nam... łatwiej.

Zaparkowała za blisko drzew, więc musi wyjść moja stronę.

– Wrzucić to wszystko pod okno.

Na tylnym siedzeniu leży plan Londynu, mapa samochodowa Królestwa, otwarta torebka Opal Fruits i kilka papierków po cukierkach. Nie śpieszę się, sprzątając bałagan.

– Wiedziałaś, że dobrze robię, wkładając spódnice – mówi, siadając z tyłu. Pochyliła się i całuje mnie w usta, z językiem i wszystkim innym, i wbrew sobie zaczynam odczuwać pewne zainteresowanie.

– Nie ruszaj się. – Poprawia coś przy spódnicy i siada na mnie. – Cześć. Ile to już czasu minęło, odkąd widziałam cię z tej perspektywy? – Uśmiecha się do mnie, całuje i sięga dłonią do mojego rozporoka. Potem jest jeszcze jakaś gra wstępna i wszystko inne, i nagle, sam nie wiem dlaczego, przypominam sobie o czymś, o czym powinno się pamiętać, ale zazwyczaj się zapomina.

– Czy z Rayem...

– Nieee, Rob, błagam tylko nie to!

– Nie, nie. To nie o to... Czy bierzesz pigułkę?

– Tak. Oczywiście. Nie musisz się martwić.

– Nie chodzi mi o to. Tylko... Nie używaliście niczego więcej?

Nie odpowiada. Zaczyna płakać.

– Posłuchaj, możemy zrobić to inaczej – mówię. – Albo pojechać do miasta i kupić coś.

– Nie płaczę dlatego, że nie możemy tego zrobić – mówi.

– To nie to. Tylko... mieszkałam z tobą, jeszcze kilka tygodni temu byłeś moim partnerem, a teraz martwisz się, czy cię nie zabiję, i masz do tego prawo. To okropne! Smutne! – Potrząsa głową, łka i schodzi ze mnie, i siedzimy obok siebie z tyłu auta, i żadne z nas nic nie mówi. Przyglądamy się kroplom ściekającym po szybach.

Później zastanawiam się, czy naprawdę martwiłem się tym, co robił Ray. Czy Ray jest biseksualny? Czy wstrzykuje sobie dożylnie narkotyki? Wątpię. (Brakuje mu jaj.) Czy spał kiedyś z osobą wstrzykującą sobie dożylnie narkotyki albo z kimś, kto spał z osobą biseksualną? Nie mam pojęcia, ale ów brak wiedzy daje mi prawo do żądania ochrony. Mówiąc jednak szczerze, bardziej interesowała mnie symbolika tego faktu niż prawdziwy strach. Chciałem jej dopiec, akurat tego dnia, bo po raz pierwszy odkąd odeszła, miałem okazję to zrobić.

Jedziemy do pubu, maleńkiej, udającej wiejską gospodę knajpki, w której podają niezłe piwo i drogie kanapki, siadamy w rogu i rozmawiamy. Kupuję papierosy i Laura natychmiast wypala połowę paczki: to znaczy zapala papierosa, zaciąga się, wykrzywia, gasi i po pięciu minutach wyjmuje następny. Gasi niedopałki tak gwałtownie, że nie da się ich uratować, a kiedy to robi, nie mogę skoncentrować się na tym, co mówi, bo za bardzo przejmuję się losem petów. W końcu zauważa to i stwierdza, że kupi mi paczkę, a ja czuję się podle.

Rozmawiamy głównie o jej ojcu, to znaczy o tym, jakie będzie życie bez niego. Potem rozmawiamy o tym, jakie

ogólnie będzie życie bez ojców i czy ich brak sprawia, że człowiek wreszcie czuje się dorosły. (Laura uważa, że nie, i posiłkuje się przy tym zaktualizowanym materiałem dowodowym.) Ja rzecz jasna wolałbym rozmawiać o czymś innym: o Rayu i o mnie, i o tym, czy jeszcze zdarzy się nam (Laurze i mnie) okazja do uprawiania seksu, i czy ciepło i intymność naszej rozmowy cokolwiek oznacza. Udaje mi się jednak opanować samolubne zamiary.

I wtedy – gdy zaakceptowałem już fakt, że nic z tego, o czym mówimy, nie będzie dotyczyło mnie – Laura wzdycha, opiera się wygodniej na krześle i stwierdza, uśmiechając się lekko i dosyć rozpaczliwie: – Jestem zbyt zmęczona, żeby z tobą nie być.

Chwila! Coś tu nie gra. W jej stwierdzeniu są jakby dwa przeczenia: „zbyt zmęczona” to przeczenie, bo nie afirmacja, i jeszcze to „nie być!” Przez dobrą chwilę zastanawiam się, o co jej chodzi.

– Chwileczkę, chwileczkę! Chcesz powiedzieć, że gdybyś miała więcej sił, nie bylibyśmy razem? Ale ponieważ jest tak, jak jest, i nie czujesz się na siłach, chcesz do mnie wrócić?

Kiwa głową. – To wszystko jest zbyt skomplikowane. Może w innych okolicznościach miałabym dosyć energii, żeby zostać sama, ale nie teraz.

– A co z Rayem?

– Ray to katastrofa. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodziło, naprawdę. Wygląda na to, że czasami potrzebny jest ktoś taki jak Ray... ktoś, kto wpadnie jak granat w sam środek bagna i rozerwie je na strzępy.

Chciałbym dowiedzieć się dokładniej, dlaczego Ray jest

katastrofą. Mówiąc szczerze, chciałbym zapisać to na podstawku do piwa i zachować po wsze czasy. Może innym razem.

– Czyli inaczej mówiąc, chcesz pozbierać te strzępy, które rozwalił Ray?

– Tak. Wiem, że nie brzmi to zbyt romantycznie, ale w przyszłości przyjdzie i na to czas. Muszę z kimś być, muszę być z kimś, kogo znam i z kim dobrze mi się układa, a ty dałeś mi jasno do zrozumienia, że chcesz, żebym wróciła, więc...

Tak jak można się było spodziewać, wpadam nagle w panikę, robi mi się niedobrze, bo przecież chciałem wymalować sypialnię nazwami wytwórni płytowych i chciałem spać z amerykańskimi artystkami. Biorę Laureę za rękę i całuję ją w policzek.

* * *

W domu czeka nas potworna scena. Pani Lydon jest zapłakana, Jo gniewa się, a reszta gości milczy i patrzy w kieliszki. Laura zabiera mamę do kuchni i zamyka drzwi, a ja zostaję w salonie z Jo, wzruszając ramionami, potrząsając głową, unosząc brwi, przestępując z nogi na nogę i robiąc wszystko, co wskazywałoby na to, jak bardzo jestem zażenowany, nieszczęśliwy, zawstydzony i sobie niechętny. Kiedy brwi zaczynają mnie boleć, głowa skrzypi w zawiasach, a stopy drętwieją od marszobiegu w miejscu, Laura wyłania się z kuchni w stanie wielkiego wzburzenia, chwyta mnie za rękaw i ciągnie w stronę drzwi.

– Jedziemy do domu – oznajmia.

Znów jesteśmy razem.

Dwadzieścia siedem

Pięć rozmów:

1. (Dzień trzeci, w barze, Laura płaci.)

– Założę się, że tak było, założę się, że pięć minut po moim wyjściu siedziałeś sobie w fotelu i paląc peta – zawsze akcentuje to słowo pokazując, jak bardzo przeciwna jest paleniu – mówiłaś do siebie: chłopie, jest świetnie, dam sobie radę.

A potem przyszedł ci do głowy jakiś głupi pomysł dotyczący mieszkania... już wiem, już wiem! Chciałeś zapłacić jakiemuś facetowi za wymalowanie nazw wytwórni płytowych na ścianach! Chciałeś to zrobić, zanim mnie poznałeś, prawda? Założę się, że siedziałeś sobie w fotelu, paliłeś peta i myślałeś: Ciekawe czy mam jeszcze numer telefonu do tego gościa?

Odwracam się, żeby nie widziała mojego uśmiechu, ale to na nic.

– Boże, mam rację, prawda? Mam tak wiele racji, że nie mogę w to uwierzyć! A potem... chwileczkę, chwileczkę... – dotyka palcami skroni, jakby odbierała sygnały z zaświetów – ... a potem pomyślałaś: w stawie pływa tyle rybek, od dawna marzyła mi się jakaś nowa szprotka... potem puściłaś muzykę i wszystko było okay w twoim żalonym, małym światku.

– I co dalej?

– Poszedłeś do pracy i nie mówiłaś niczego Barry'emu i Dickowi, i wszystko było w porządku, póki Liz nie chlapnęła

ozorem i nie wpadłeś w paranoję.

– A potem z kimś się przespałem.

Nie słyszy tego.

– Kiedy pieprzyłaś się z tym gnojem, Rayem, ja rznąłem amerykańską pieśniarkę, która wygląda jak Susan Dey z *LA Law*.

Wciąż nie słyszy. Odłamuje kawałek czosnkowego chleba i macza go w ostrym sosie z mango.

– I było świetnie. Dałem sobie radę całkiem nieźle, jeśli chcesz wiedzieć.

Żadnej reakcji. Może powinienem spróbować jeszcze raz, trochę głośniej.

– Wiesz wszystko, prawda?

Wzrusza ramionami, uśmiecha się i robi pewną siebie minę.

2. (Dzień siódmy, łóżko, po.)

– Chyba nie spodziewasz się, że ci to powiem?

– Dlaczego nie?

– A czemu to ma służyć? Mogłabym opisać ci każdą sekundę z każdego razu, chociaż nie było ich za wiele, ale poczułbyś się skrzywdzony i dalej nie rozumiałbyś, o co naprawdę chodziło.

– Wszystko jedno. Chcę wiedzieć.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jak było?

Wzdycha. – Jak seks. A jak miało być?

Nawet taka odpowiedź mnie rani. Miałem nadzieję, że to nie było jak seks. Miałem nadzieję, że było to coś znacznie

bardziej nudnego i nieprzyjemnego.

– Jak dobry seks czy jak zły seks?

– Co za różnica?

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

– Nigdy nie pytałam cię o twoje zajęcia dodatkowe.

– Owszem, pytałaś. Nie pamiętasz? „Bawiłeś się dobrze, najdroższy?”

– To było pytanie retoryczne. Posłuchaj, teraz jest okay. Przed chwilą było nam dobrze. Zostawmy to tak jak jest.

– Okay, okay. Mówisz, że było nam dobrze... Było lepiej, tak samo dobrze czy mniej dobrze niż wtedy, gdy było ci dobrze z nim?

Nie odpowiada.

– No, nie wygłupiaj się, Lauro. Powiedz cokolwiek. Możesz skłamać, jeśli chcesz. Poczuję się lepiej i przestanę zadawać ci pytania.

– Chciałam skłamać, ale teraz nie mogę, bo wiesz, że skłamię.

– To po co w ogóle chciałaś kłamać?

– Żebyś poczuł się lepiej.

I tak to wygląda. Chcę wiedzieć wszystko (choć oczywiście nie chcę wiedzieć) o wielokrotnych orgazmach, o dziesięciu stosunkach dziennie, o ciągnięciu druta i pozycjach, jakie w życiu nie przyszłyby mi do głowy, ale nie mam odwagi zapytać, a sama nigdy mi nie powie. Wiem, że to zrobili i już to wystarczy! Więc chciałbym zminimalizować straty. Chcę od niej usłyszeć, że było nudno, że było po bożemu, że myślała o Robie i że Meg Ryan lepiej bawiła się w delikatesach niż ona w łóżku Raya. Czy to tak

wiele?

Laura opiera się na łokciu i całuje mnie w piersi. – Posłuchaj, Rob. To się stało. I dobrze, że się stało, bo zmierzaliśmy donikąd, a teraz może gdzieś dojdziemy. A gdyby wspaniały seks był tak ważny, jak myślisz, i gdybym osiągnęła takie zadowolenie, o jakie mnie posądzasz, to uważasz, że leżelibyśmy teraz razem? To moje ostatnie słowo na ten temat, okay?

– Okay. – Są gorsze ostatnie słowa, chociaż wiem, że niewiele powiedziała.

– Mimo wszystko żałuję, że nie masz większego penisa. Takiego jak Ray.

Uwaga ta – sądząc po nasileniu i długości chichotów, prychnięć, parsknięć i wrzasków – jest najśmieszniejszą rzeczą, jaką udało się Laurze kiedykolwiek wyartykułować, mało tego, najzabawniejszym dowcipem w całej historii ludzkości. Jest – jak mniemam – przykładem znanego poczucia humoru feministek. Ale śmieszne, co nie?

3. (W drodze do jej mamy podczas drugiego weekendu, w tle gra kompilacja nagrana przez Laureę, zawierająca utwór „Bright Eyes” śpiewany przez Simply Red, Genesis i Arta Garfunkela.)

– Guzik mnie to obchodzi. Możesz się krzywić, ile chcesz. To jedna z rzeczy, jakie ulegają zmianie. Mój samochód. Moje stereo w samochodzie. Moja kompilacja. Słuchana po drodze do moich rodziców.

Liczba mnoga wisi w powietrzu. Czekamy, aż wróci tam, skąd przyszła, i zapominamy o niej. Po chwili uderzam

ponownie, tocząc najbardziej zacięty bój, jaki może rozegrać się między mężczyzną a kobietą.

– Jak możesz lubić Arta Garfunkela i Solomona Burke'a? To tak jakbyś powiedziała, że popierasz Izrael i Palestyńczyków.

– Zupełnie nie tak, Rob. Art Garfunkel i Solomon Burke nagrywają płyty z muzyką pop, a Izrael i Palestyńczycy akurat nie. Art Garfunkel i Solomon Burke nie prowadzą ze sobą ostrego sporu terytorialnego, a Izrael i Palestyńczycy owszem. Art Garfunkel i Solomon Burke...

– Okay, okay, ale...

– Poza tym kto ci powiedział, że lubię Solomona Burke'a? Tego już za wiele!

– Nie lubisz Solomona Burke'a? Nie lubisz „Got To Get You Off My Mind”?! To nasza piosenka! Solomon Burke związał nas ze sobą na dobre i na złe.

– Naprawdę? Masz numer jego telefonu? Chciałabym zamienić z nim dwa słowa.

– Naprawdę nie pamiętasz?

– Pamiętam piosenkę, ale nie kto ją śpiewa.

Potrząsam głową z niedowierzaniem.

– Wiesz, w takiej chwili jak ta mężczyźni opadają ręce. Naprawdę nie widzisz różnicy pomiędzy „Bright Eyes” i „Got To Get You Off My Mind?”

– Widzę oczywiście. Jedna mówi o zajęczkach, a w drugiej gra orkiestra dęta.

– Orkiestra dęta! Orkiestra dęta! To sekcja dęta, do kurwy nędzy!

– Obojętne. Rozumiem, dlaczego wolisz Solomona od

Arta. Naprawdę rozumiem. I gdyby zapytano mnie, który z nich jest lepszy, odpowiedziałabym, że Solomon. Jest autentyczny, czarny, owiany legendą i tak dalej. Ale lubię „Bright Eyes”. Ma ładną melodię, a o nic więcej mi nie chodzi. Jest tyle innych zmartwień. Wiem, że mówię teraz jak twoja mama, ale to tylko płyty z muzyką i jeśli jedna jest lepsza od drugiej, to co z tego? Nikomu nie robi to różnicy poza tobą, Barrym i Dickiem. To tak jakbyś kłócił się ze mną o to, czy lepszy jest McDonalds czy Burger King. Na pewno jeden jest lepszy, ale kogo to obchodzi?

Najokropniejsze w tym wszystkim jest to, że ja oczywiście wiem, który jest lepszy, że mam wysublimowany, naukowy pogląd na ten temat. Ale gdybym zaczął udowadniać teraz przewagę BK Flamers nad Ojuarter Pounds with Cheese, przyznałbym, chcąc nie chcąc, że racja jest po jej stronie, dlatego milczę.

Dyskutujemy dalej, a dyskusja wiję się, skręca i wraca po własnych śladach, i w końcu znajdujemy się w miejscu, w którym nigdy nie byliśmy razem – przynajmniej na trzeźwo i za dnia.

– Kiedyś zwracałaś większą uwagę na takie rzeczy jak piosenki Solomona Burke'a – mówię. – Kiedy cię poznałem, nagrałem ci ten kawałek, a ty naprawdę szalałaś. Powiedziałaś, cytując: „Po wysłuchaniu tej taśmy wstydzę się własnej kolekcji płyt”.

– Byłam bezwstydną, prawda?

– Co to znaczy?

– No... podobałaś mi się. Byłaś didżejsem i uważałam, że jesteś odjazdowy, a ja nie miałam chłopaka i bardzo chciałam

mieć.

– Więc w ogóle nie interesowała cię muzyka?

– No... trochę. Wtedy bardziej niż teraz. Takie jest życie, wiesz?

– Ale czy nie rozumiesz... że w niej jest wszystko, czym jestem! Nie ma nic innego. Jeśli nie interesuje cię moja muzyka, to nie interesuje cię nic, co ma związek ze mną. Nasz związek przestaje mieć sens!

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak. Popatrz na mnie. Rozejrzyj się po mieszkaniu. Czy jest w nim coś innego oprócz płyt, kompaktów i taśm?

– I myślisz, że tak jest dobrze?

Wzruszam ramionami. – No... nie całkiem.

– Dlatego twierdzę, że nasz związek ma sens. Masz w sobie potencjał. Jestem z tobą po to, żeby go wydobyć.

– Potencjał jako kto?

– Jako istota ludzka. Masz w sobie wszystkie podstawowe składniki. Naprawdę dasz się lubić, jeśli ci tylko zależy, umiesz być zabawny, gdy ci się chce, jesteś dobry i jeśli dojdiesz do wniosku, że ktoś ci się podoba, sprawiasz, że ten ktoś czuje się pępkiem wszechświata, a to bardzo erogenne uczucie. Problem w tym, że generalnie na niczym ci nie zależy i nic ci się nie chce.

– Nie. – Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Po prostu... po prostu nic nie robisz. Gubisz się w myślach, siadasz i rozważasz wszystkie za i przeciw, zamiast do czegoś się zabrać. Nie muszę dodawać, że głównie zajmują cię bzdury. Nigdy nie nadążasz za tym, co się dzieje.

– To już druga piosenka Simply Red na tej taśmie!

Jedna... powiedzmy pomyłka. Ale dwie! To zboczenie! Mogę to przewinać? – Przewijam, nie czekając na odpowiedź. Zatrzymuję się na jakiejś Dianie Ross z epoki post-Motown i jęczę. Laura kontynuuje, nie zważając na nic.

– Znasz takie wyrażenie: „Bujać w obłokach”? To cały ty.

– Więc co mam robić?

– Nie wiem. Cokolwiek. Możesz pracować. Spotykać się z ludźmi. Prowadzić drużynę harcerską, założyć klub. Chodzi o to, żebyś nie czekał tylko na zmiany, ciesząc się z tego, że masz wszystko przed sobą. Wiem, że chcesz mieć mnóstwo opcji i z żadnej nie zrezygnujesz do końca życia. Będziesz umierał na raka płuc albo inną wywoływaną przez palenie chorobę i na łożu śmierci powiesz sobie: „No tak, ale mam przynajmniej swoje opcje. Nigdy nie zrobiłem niczego, z czego nie mógłbym się wycofać”. Pamiętaj jednak, że tych opcji jest coraz mniej. Masz trzydzieści sześć lat i ani jednego dziecka. Kiedy chcesz je mieć? Po pięćdziesiątce? Okay, przypuśćmy, że masz lat czterdzieści i jakimś cudem rodzi ci się potomek. Przypuśćmy dalej, że twój potomek chce mieć dzieci w wieku trzydziestu sześciu lat. Wiesz, co to oznacza? Powiem ci: jeśli przyjdzie ci ochota choćby zerknąć na wnuka, to będziesz musiał pożyć znacznie dłużej niż przyznane ci statystycznie kolejne trzy dziesiątki lat. Widzisz, ile sobie odmawiasz?

– A więc tylko o to ci chodzi?

– O co?

– Róbnmy sobie dzieci albo się rozejdźmy. To takie trywialne.

– Odpierdol się, Rob. Nie o tym mówię. Guzik mnie

obchodzi, czy chcesz mieć dzieci czy nie. Ja chcę, wiem o tym, ale nie jestem pewna, czy chciałabym mieć je z tobą, bo ty nie wiesz, czy w ogóle chcesz je mieć. Muszę się nad tym zastanowić. A jeśli chodzi o ciebie, to staram się wyrwać cię z marazmu. Próbuję ci pokazać, że przeżyłeś połowę życia i nie masz z niego więcej niż dziewiętnastolatek, a nie mówię o pieniądzach, meblach czy samochodach.

Wiem, że nie mówi. Mówi o detalach, gratkach, balaście, który trzyma nas na miejscu.

– Jasne, tobie łatwo tak mówić, Wielka Pani Prawniczko z City. To nie moja wina, że sklep podupada.

– Jezu Chryste! – Zmienia biegi z zadziwiającą gwałtownością i nie odzywa się do mnie przez chwilę. Wiem, że jesteśmy blisko celu; wiem, że gdybym miał w sobie dość odwagi, przyznałbym jej rację, powiedziałbym, że jest mądra, że kocham ją i potrzebuję jej, i poprosiłbym ją o rękę czy coś takiego. Tylko że, wiecie, chcę mieć swoje opcje, a poza tym i tak nie ma na to czasu, bo Laura znów zaczyna swoje.

– Wiesz, co naprawdę mnie drażni?

– Taa. Przed chwilą mówiłaś o tym. O opcjach i tak dalej...

– Oprócz tego.

– Coś jeszcze? Nie wierzę.

– Mogę dokładnie... dokładnie... powiedzieć ci, co z tobą jest nie tak i co powinienes z tym zrobić, a ty tego nie potrafisz, nawet wobec mnie!

– Potrafię!

– Dobra. Słucham.

– Masz dosyć swojej pracy.

- Tylko tyle. Uważasz, że dlatego coś jest ze mną nie tak?
- Mniej więcej.
- Sam widzisz, że nie masz o niczym pojęcia.
- Daj mi szansę. Dopiero niedawno wróciłaś do mnie. Za kilka tygodni zauważę parę innych rzeczy.
- Ale to nieprawda. Wcale nie mam dosyć pracy. Mówiąc szczerze, nawet ją lubię.
- Mówisz tak, bo chcesz zrobić ze mnie idiotę.
- Nieprawda. Lubię swoją pracę. Działa na mnie stymulujące. Lubię ludzi, z którymi pracuję, o pieniądzach nie wspominając. Problem w tym, że nie lubię siebie za to, że ją lubię. I to wprowadza zamęt. Nie jestem tym, kim chciałam być, kiedy dorastałam.
- A kim chciałaś być?
- Na pewno nie chciałam być kobietą w kostiumiku z własną sekretarką i perspektywą udziału w firmie. Chciałam być doradcą prawnym, mieć chłopaka didżeja, ale to nie wyszło.
- Więc znajdź sobie didżeja. Mnie nic do tego.
- Wiem, że tobie nic do tego. Chcę tylko pokazać ci, że związek z tobą nie definiuje mnie do końca. Chcę ci pokazać, że układając nasze sprawy, nie układamy moich spraw. Mam inne wątpliwości, zmartwienia i ambicje. Nie wiem, jakie chcę prowadzić życie, nie mam pojęcia, w jakim chcę zamieszkać domu i przeraża mnie ilość pieniędzy, jaką będę zarabiała za dwa, trzy lata...
- Więc dlaczego o tym nie mówisz? Skąd mam o tym wszystkim wiedzieć? Czy to taka tajemnica?
- Żadna tajemnica. Pokazuję ci tylko, że to, co dzieje się z

nami, nie stanowi pełnego obrazu. Że będę dalej żyła, nawet jeśli nie będziemy razem.

W końcu sam bym do tego doszedł. W końcu zrozumiałbym, że jeśli wszystko mi się pieprzy, bo nie mam partnerki, to nie znaczy, że z innymi jest tak samo.

4. (Następnego dnia przed telewizorem.)

– ... gdzieś, gdzie jest ładnie. Do Włoch. Do Stanów. Nawet Do Indii Zachodnich...

– Wspaniały pomysł! Wiesz, co zrobię? Zgarnę jutro do pudła wszystkie nowiutkie siedemdziesiątki ósemki Elvisa Presleya wydane przez Sun i zapłacę nimi za wycieczkę. – Przypominam sobie panią z Wood Green i cudowną kolekcję singli jej niewiernego męża, i czuję ukłucie żalu.

– Rozumiem, że jest to sarkastyczny żart mężczyzny zbierającego płyty.

– Wiesz, że jestem goły.

– Wiesz, że za ciebie zapłacę. Choć nie oddałeś mi ostatniego długu. Jaki sens ma moja praca, jeśli przyjdzie mi spędzać wakacje w namiocie na wyspie Wight?

– No... a ja nie mam pieniędzy nawet na połówkę namiotu.

Przyglądamy się, jak Jack Duckworth chowa przed Verą pięćdziesiąt funtów wygranych na wyścigach.

– To nieważne... wiesz... pieniądze. Nie obchodzi mnie, jak mało zarabiasz. Chcę, żebyś był zadowolony z tego, co robisz, reszta nie ma znaczenia.

– Ale miało być inaczej. Kiedy się poznaliśmy, byliśmy tacy sami, a teraz nie jesteśmy, i...

– Pod jakim względem byliśmy tacy sami?

– Ty byłaś taka jak wszyscy, którzy przychodzili do Groucho, a ja byłem taki jak wszyscy, którzy puszczaali płyty. Nosiałaś skórzane kurtki i podkoszulki, i ja też... z tym że ja wciąż je noszę, a ty nie.

– Bo mi nie wolno. Noszę je wieczorami.

Usiłuję znaleźć inny sposób na wytłumaczenie jej, że nie jesteśmy tymi samymi ludźmi, co kiedyś, że nasze drogi się rozeszły, ale to ponad moje siły.

– Nie jesteśmy tymi samymi ludźmi, co kiedyś. Nasze drogi się rozeszły.

– Dlaczego mówisz takim idiotycznym głosem?

– Ze względu na cudzysłów. Usiłowałem znaleźć inny sposób na wytłumaczenie ci tego. Tak jak ty próbowałaś znaleźć nowy sposób na wytłumaczenie mi, że albo będziemy mieli dzieci, albo się rozejdziemy.

– To nieprawda...

– Żartowałem.

– To znaczy, że powinniśmy się rozstać? Czy o to ci chodzi? Bo jeśli tak, to stracę cierpliwość.

– Nie, ale...

– Ale co?

– Ale dlaczego nie jest istotne, że nie jesteśmy tymi samymi ludźmi, co kiedyś?

– Po pierwsze, czuję się zobligowana wykazać, że jesteś absolutnie bez winy.

– Dziękuję.

– Jesteś dokładnie taki sam, jak byłeś. Przez wszystkie lata naszej znajomości nie zmieniłeś niczego oprócz pary

skarpetek. Jeśli nasze drogi się rozeszły, to ja pojechałam dalej. Chociaż jedyne, co zrobiłam, to zmiana posady.

– I uczesania, ubrania, sposobu bycia i przyjaciół...

– To nie fair, Rob. Wiesz, że nie mogę chodzić do pracy ostrzyżona na jeża. I stać mnie na częstsze zakupy. I przez kilka ostatnich lat poznałam paru ludzi, których lubię. Został nam tylko sposób bycia...

– Jesteś twardsza.

– Może pewniejsza siebie...

– Silniejsza.

– Mniej neurotyczna. A czy ty masz zamiar zostać taki sam przez resztę życia? Chcesz spotykać się z tymi samymi ludźmi? Wybacz, zapomniałam, że nie masz przyjaciół... Chcesz pracować w tym samym miejscu? Mieć taki sam sposób bycia?

– Dobrze mi z tym.

– Jasne, że ci z tym dobrze. Ale nie jesteś ideałem i na pewno nie jesteś szczęśliwy. Więc co będzie, jeśli staniesz się szczęśliwy? Tak, wiem, że to tytuł albumu Elvisa Costella, użyłam go celowo, żeby zwrócić twoją uwagę. Uważasz mnie za kompletną idiotkę? Więc czy wtedy się rozstaniemy, bo jestem przyzwyczajona do oglądania cię w oplakanym stanie? Co będzie, jeśli... nie wiem... założysz własną wytwórnę płytową i odniesiesz sukces? Zmienisz dziewczynę?

– Jesteś głupia.

– Dlaczego? Wykaż mi różnicę pomiędzy twoją własną wytwórną płytową a moją zmianą pracy?

Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Chodzi mi jedynie o to, że jeśli wierzy się w długotrwałe związki monogamiczne, to trzeba zgodzić się z tym, że ludzie mogą się zmieniać, a także z tym, że ludzie mogą się nie zmieniać. Inaczej to nie ma sensu.

– Nie ma sensu – powtarzam, udając potulność, choć tak naprawdę jestem zdruzgotany jej inteligencją, siłą jej oddziaływania i tym, że ma zawsze rację. Przynajmniej na tyle, żebym się zamknął.

5. (Dwie noce później w łóżku, trochę przed, a trochę podczas, jeśli wiecie, co mam na myśli.)

– Nie wiem... przepraszam... to dlatego, że nie czuję się bezpiecznie...

– Wybacz, Rob, ale to nieprawda. Wszystko dlatego, że jesteś podпиты. Kiedy ostatnio mieliśmy ten problem, tak właśnie było.

– Ale nie teraz. Teraz... nie czuję się bezpiecznie... – Mam kłopoty z wymówieniem słowa „bezpiecznie”. W mojej wersji nie słyhać drugiego „i”, co rzecz jasna nie sprzyja mojej sprawie.

– Niby dlaczego nie czujesz się bezpiecznie?

Wydaję z siebie krótkie, bezlitosne „ha!” – podręcznikowy przykład sztuki pustego śmiechu.

– Niewiele mi to mówi.

– „Jestem zbyt zmęczona, żeby z tobą nie być...” i cała reszta. I Ray... i to, że... nie wiem... droczysz się ze mną przez cały czas. Gniewasz się, bo jestem taki beznadziejny...

– Dajemy sobie z tym spokój? – Mówi o uprawianiu seksu, a nie o rozmowie czy naszym byciu razem.

– Chyba tak... – Zsuwam się z niej i leżę, obejmując ją

ręką i gapiąc się w sufit.

– Wiem... Wybacz mi, Rob... Wiem, że... nie dałam ci odczuć, że bardzo mi na tym zależy...

– A dlaczego tak jest? Jak myślisz?

– Chwileczkę. Spróbujmy się nad tym zastanowić, okay? Myślałam, że łączy nas maleńka, prosta pępowina... nasz związek... i że wystarczy ją przeciąć, żeby wszystko wróciło do normy. Więc przecięłam ją, ale nic nie wróciło do normy. Dlaczego? Bo nie była to tylko jedna, maleńka pępowina, ale setki, tysiące pępowin pojawiających się w najbardziej niespodziewanych miejscach... jak choćby wtedy, kiedy Jo przestała się do mnie odzywać, bo usłyszała, że z tobą zerwałam, albo wtedy, kiedy było mi głupio podczas twoich urodzin, głupio... nie podczas seksu z Rayem, ale później... albo wtedy, kiedy znalazłam w samochodzie taśmę, którą dla mnie nagrałeś, i zastanawiałam się, co u ciebie słyhać, i zrobiło mi się tak niedobrze... Były miliony takich sytuacji. A potem okazało się, że przeżywasz to bardziej niż sądziłam i było mi coraz trudniej... a potem w dniu pogrzebu... to ja chciałam, żebyś przyjechał... nie mama... To znaczy było jej chyba miło, ale co do mnie... nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zaprosić Raya i chyba wtedy poczułam, że jestem tym wszystkim zmęczona. Nie byłam przygotowana do takiej pracy. Nie było warto jej podejmować... tylko po to, żeby się ciebie pozbyć. – Śmieje się krótko.

– Uważasz, że to, co mówisz, jest miłe?

– Wiesz, że nie jestem dobra w udawaniu. – Całuje mnie w ramię.

Słyszeliście? Nie jest dobra w udawaniu! A co ja mam

powiedzieć? Co ma powiedzieć każdy mężczyzna, który słyszał wiewiórkę Dusty Springfield śpiewającą „Spojrzenie miłości”? Nawiasem mówiąc, tak właśnie wyobrażałem sobie małżeństwo (kiedyś nazywałem to „małżeństwem” – teraz „stabilizacją” czy zgoła „ustatkowaniem”). Wyobrażałem je sobie jako seksowną kobietę o seksownym głosie i ciężkim, seksownym makijażu pokrywającym pory, z których emanuje oddanie. Dla mnie. Istotnie jest coś takiego jak spojrzenie miłości – Dusty nie nabijała nas do końca w butelkę – z tym że nie wygląda tak, jak się spodziewałem. Spojrzeniem miłości nie są olbrzymie, tęsknie i podniecająco wychodzące z orbit oczy, usytuowane na podwójnym łożu z zachęcająco odwiniętym przykryciem; jest nim natomiast spojrzenie łagodnej pobłażliwości, jakim matka obdarza niemowlę, spojrzenie pełnego rozbawienia poirytowania czy nawet spojrzenie zatroskanej boleści. Spojrzenie miłości Dusty Springfield? Możecie o nim zapomnieć. Mit – podobnie jak egzotyczna bielizna.

Kobiety myślą się, kiedy narzekają na obraz kobiety w mediach. Mężczyźni doskonale rozumieją, że nie każda może mieć piersi Bardot, szyję Jamie Lee Curtis czy tyłek Felicity Kendall. I wcale im to nie przeszkadza. Oczywiście wolimy oglądać Kim Basinger niż Hattie Jacques, podobnie jak kobiety wolą oglądać Keanu Reevesa niż Bernarda Manninga, ale w tej grze nie liczy się ciało, lecz stopień upokorzenia. Bardzo szybko doszliśmy do wniosku, że dziewczyny Bonda nie grają w naszej lidze, ale świadomość, że żadna nie spojrzy na nas tak jak Ursula Andress na Seana Connery'ego czy choćby Doris Day na Rocka Hudsona,

okazała się dla większości z nas trudniejsza do zaakceptowania. W moim przypadku wręcz niemożliwa...

Zaczynam przywykać do myśli, że Laura jest kobietą, z którą spędzę resztę życia (a przynajmniej zaczynam przywykać do myśli, że staję się bez niej tak bezradny, że nie warto myśleć o alternatywie). Jednak znacznie trudniej jest mi przyzwyczaić się do konceptu, że moje chłopięce wyobrażenie amorów – negliże, obiady przy świecach i długie, powłóczyście spojrzenia – nie ma pokrycia w rzeczywistości. Dlaczego kobietom na tym nie zależy? Mogłyby o to powalczyć, bo właśnie z tej przyczyny nie potrafimy funkcjonować prawidłowo w naszych związkach. Tu nie chodzi o pomarańczową skórkę czy kurze łapki, ale o... ale o... brak szacunku!

Dwadzieścia osiem

Po dwóch tygodniach bycia razem, po wielu rozmowach, mnóstwie seksu i dającej się znieść liczbie kłótni, idziemy na obiad do przyjaciół Laury: Paula i Mirandy. Pomyślicie, że to nic wielkiego, ale dla mnie rzecz jest niezwykle istotna, świadczy bowiem o zaufaniu, jakim obdarza mnie Laura, jest czekiem podżyrowanym w ciemno, znakiem mówiącym światu, że będę z nią przez kilka najbliższych miesięcy. Laura i ja mieliśmy do tej pory odmienne zdania o Paulu i Mirandzie – co wcale nie znaczy, że ich poznałem. Laura i Paul zaczęli pracę w kancelarii mniej więcej w tym samym czasie i zaprzyjaźnili się ze sobą, więc kiedy zaproszono ją (i mnie) do złożenia wizyty, po prostu odmówiłem. Nie podobało mi się brzmienie jego imienia ani zapał, z jakim wyrażała się o nim Laura, choć gdy usłyszałem o Mirandzie, przekonałem się, że jestem głupi, więc wykręciłem się mnóstwem innego siana. Powiedziałem, że na pewno jest typem, od jakich nie będzie się mogła opędzić, mając nową, wspaniałą posadę, i dodałem, że już się nie liczę, na co wpadła w gniew. Podbiłem stawkę, używając zaimka „ten” przed jego imieniem, bądź zgoła zastępując je rzeczownikiem „palant”. Przypisałem mu manieryczny sposób artykulacji i wiele innych cech i atrybutów, których zapewne nie miał, na co Laura wpadła w prawdziwy gniew i poszła sama. Nazwawszy go palantem tak wiele razy, wyobraziłem sobie, że Paul jest moim śmiertelnym wrogiem, i kiedy Laura zaprosiła go wraz z towarzyszką do nas, wyszedłem z domu i

nie było mnie aż do drugiej nad ranem, bo chciałem mieć pewność, że ich nie spotkam (choć wiedziałem, że mają dziecko i muszą wyjść o wpół do dwunastej). Więc kiedy Laura oznajmiła mi, że znów nas zaproszono, pomyślałem sobie, że rzecz jest naprawdę wielka, nie tylko dlatego, że była gotowa spróbować jeszcze raz, ale przede wszystkim dlatego, że musiała powiedzieć im, że znów jesteśmy razem, co koniec końców nie było takie złe.

Stoimy na schodach przed ich domem (nic wielkiego – zwykły tarasowiec z trzema sypialniami w Kensal Green), a ja gmeram nerwowo przy guzikach rozporka moich 501, co jest irytującym nawykiem potępianym mocno przez Laurę z... wiadomych przyczyn. Potępianym, ale... nie dzisiaj. Dzisiaj Laura patrzy na mnie i uśmiecha się, i dotykając mojej dłoni (tej drugiej, tej, która nie drapie gorączkowo po kroczu), ściska ją szybko, i po chwili jesteśmy już w środku pośród uśmiechów, pocałunków i formalności.

Paul jest wysoki i przystojny, ma długie (niemodne, w rodzaju tych nie-mam-czasu-ich-ściąg noszonych przez maniaków komputerowych – czego przeciwieństwem są długie, pielęgnowane przez fryzjera) ciemne włosy i chmurny wyraz twarzy. Ubrany jest w stare, brązowe sztruksy i podkoszulek z Body Shop przedstawiający coś zielonego: jaszczurkę, drzewo albo jarzynę. Żałuję, że nie rozpiąłem paru guzików przy rozporku, bo nie chciałbym wydać się zbyt elegancki. Miranda – podobnie jak Laura – ma na sobie powypychany sweter i legginsy. Na nosie całkiem odjazdowe, okrągłe okulary. Jest ładna i krągła – nie tak krągła jak Dawn French, ale wystarczająco, by zwrócić na

siebie uwagę. Nie jestem więc onieśmielony ich domem ani strojami. Oni sami także są mili. W zasadzie są tak mili, że aż chce mi się płakać, bo nawet tak niestabilny emocjonalnie osobnik jak ja potrafi zauważyć, że Paul i Miranda cieszą się z mojej obecności. Może doszli do wniosku, że jestem tego wart; może Laura powiedziała im, że jest ze mną szczęśliwa? (A jeśli coś mi się pomyliło i tylko udają, to nic nie szkodzi – przyjemnie mieć do czynienia z takimi aktorami.)

Nikt nie pyta nas, jak byśmy dali na imię psu – po części dlatego, że wiemy, co każde z nas robi (Miranda uczy angielskiego w college'u), po części zaś z tej prostej przyczyny, że mówimy zupełnie o czym innym. Gospodarze pytają Laurę o ojca. Laura opowiada im o pogrzebie, to znaczy o jego pierwszej części. Wspomina też o paru rzeczach, o których nie słyszałem – mówi na przykład o podnieceniu, które pojawiło się na krótką chwilę, zanim ogarnął ją ból i rozpacz, cytując: „Wiecie, coś takiego, jak... Boże... to chyba najbardziej dorosły moment, jaki przyszło mi przeżyć”.

Miranda wspomina swoją zmarłą mamę, a Paul i ja zadajemy pytania, potem Paul i Miranda pytają o moich rodziców, a potem mówimy ni stąd, ni zowąd o naszych aspiracjach, o tym, co chcemy osiągnąć i co nas najbardziej martwi i... sam nie wiem. To, co powiem, zabrzmii głupio, ale pomimo poważnych tematów rozmowy dobrze się bawię – nikogo się nie obawiam, bo ludzie biorą poważnie to, co mówię, i Laura spogląda na mnie z lubością od czasu do czasu, co – jak wiecie – doskonale działa na morale. Nie chodzi o to, że ktokolwiek powiedział coś godnego uwagi,

mądrego czy przenikliwego; chodzi bardziej o nastrój. Po raz pierwszy w życiu czuję się tak, jakbym grał w odcinku *Trzydziestolatków*, a nie w jakimś nienakreconym jeszcze serialu komediowym o trzech facetach pracujących w sklepie z płytami, którzy całymi dniami rozmawiają o kanapkach i solówkach saksofonowych. Podoba mi się to. Wiem, że *Trzydziestolatki* to amerykański banał, nuda i szmira – zdaję sobie z tego sprawę. Ale gdy siedzi się samotnie w jednosypialnianym mieszkaniu w Kanapowym Zaułku i rozmyśla o interesie, który właśnie ścieka wraz z wodą do kibla, i o dziewczynie, która odeszła z sąsiadem z góry, to główna rola w odgrywanym naprawdę odcinku *Trzydziestolatków* – razem z dziećmi, małżeństwami, pracą, grillami na świeżym powietrzu, kompaktami k. d. Iang i mnóstwem innych rzeczy, które łączą się z tym wiekiem – wydaje się wszystkim, czego człowiek może żądać od życia.

Po raz pierwszy w życiu zadurzyłem się jakieś cztery do pięciu lat przed romansem z Alison. Byliśmy na wakacjach w Kornwalii i przy stole obok jadła śniadania para nowożeńców. Poznaliśmy ich, a ja zadurzyłem się w obojgu. Nie w pani ani w panu, ale w parze. (Gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że moje nierealistyczne oczekiwania co do związku dwojga ludzi wzięły się nie tyle z piosenki Dusty Springfield, co z przykładu tych dwojga.) Wydaje mi się, że każde z nich – idąc śladem wielu młodych małżeństw – usiłowało pokazać, jak doskonale radzi sobie z dziećmi, że on byłby wspaniałym tatą, a ona idealną mamą; czerpałem z tego korzyści: zabierali mnie nad morze, puszczała ze mną

kaczki i nawet kupili mi okulary przeciwsłoneczne. Kiedy wyjechali, pękło mi serce.

Dzisiaj jest podobnie z Paulem i Mirandą. Zakochuję się w obojgu – zakochuję się w tym, co mają, w sposobie, w jaki odnoszą się do siebie, i w sposobie, w jaki sprawiają, że czuję się nowym pępkiem ich świata. Uważam, że są wspaniali i chcę spotykać się z nimi dwa razy w tygodniu przez resztę tygodni mojego życia.

Dopiero pod koniec wieczoru zdaję sobie sprawę, że zastawiono na mnie pułapkę. Miranda jest na górze z synkiem; Paul poszedł sprawdzić, czy w kredensie nie wala się jakaś butelka z resztkami świątecznego likieru, którym można by podlać nastrój wywołany ciepłem z płonącego kominka.

– Możesz obejrzeć ich płyty – oznajmia Laura.

– Nie muszę. Wiesz... czasami udaje mi się przetrwać bez wtykania nosa w cudze albumy.

– Proszę! Zależy mi na tym.

Podchodzę do półki, przekrzywiam głowę i mrużę oczy. Jak można się było spodziewać, stoję oko w oko z obszarem kłęski żywiolowej, kolekcją kompaktów tak niesmacznie potworną, że należałoby zamknąć ją w stalowej skrzyni i wysłać na składowisko śmieci w jakimś kraju Trzeciego Świata. Czegóż tam nie ma! Tina Turner, Billy Joel, Kate Bush, Pink Floyd, Simply Red, The Beatles, oczywiście Mike Oldfield (*Dzwony rurowe część I i II*), Meat Loaf... nie mam czasu, żeby przyjrzeć się wszystkim, ale zauważam jeszcze kilka płyt The Eagles i coś, co podejrzenie przypomina album Barbary Dickson.

Paul wraca do pokoju.

– Rozumiem, że śmiejesz się w duchu, widząc te płyty, prawda?

– No... nie wiem. Niezły zespół... Beatlesi...

Paul uśmiecha się. – Obawiam się, że nie jesteśmy na bieżąco. Odwiedzimy kiedyś twój sklep i wtajemniczysz nas we wszystko.

– Nie należy spierać się o upodobania.

Laura zerka na mnie. – To coś nowego! Nigdy tak nie mówiłeś. Wydawało mi się, że sentencja „nie należy spierać się o upodobania” równa się wyrokowi śmierci w nowym, wspaniałym świecie Fleminga.

Uśmiecham się krzywo i podstawiam kieliszek od brandy pod lepką butelkę ze starożytnym Drambuie.

– Zrobiłaś to specjalnie – mówię jej po drodze do domu.

– Wiedziałaś przez cały czas, że podoba mi się u nich. To była sztuczka.

– Jasne. Podstępem zwabiłam cię do odwiedzenia ludzi, których polubiłeś. Wmanewrowałam cię w miły wieczór.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Wiara wymaga poświęceń. Pomyślałam sobie, że fajnie będzie poznać cię z kimś miłym, a potem pokazać, że zbiera płyty Tiny Turner i sprawdzić stan twoich uczuć.

Moje zasady pozostają niezmiennie. Przynajmniej mam taką nadzieję. Ale dzisiaj skłonny jestem przyznać (oczywiście w cichości ducha), że w pewnych dziwnych, anormalnych i zapewne niepowtarzalnych okolicznościach nie liczy się to, co lubisz, ale to, jaki jesteś. Mimo wszystko nie odważę się wytłumaczyć tego Barry'emu.

Dwadzieścia dziewięć

Zabieram Laurę na koncert Marie. Jest zachwycona.

– Ona jest cudowna! – mówi. – Dlaczego ludzie jej nie znają? Dlaczego pub nie był pełny?

Brzmi to dosyć ironicznie, jeśli weźmie się pod uwagę, że przez cały czas, gdy jesteśmy razem, usiłuję nakłonić ją do słuchania ludzi, którzy powinni być znani, ale nie są. Nie zadaję sobie jednak trudu, by jej to wytknąć.

– Żeby ją docenić, trzeba mieć odrobinę dobrego smaku, którego, jak sądzę, brakuje większości ludzi.

– I była u ciebie w sklepie?

Taa. Spałem z nią nawet. Nieźle, he?

– Taa. Obsłużyłem ją nawet. Nieźle, he?

– Obsługujesz gwiazdy, he? – Kiedy Marie skończyła piosenkę, Laura bije brawo, klaszcząc w dłoń trzymającą Guinnessa.

– Może namówiłbyś ją, żeby wystąpiła w sklepie? Koncert wśród płyt... Czegoś takiego jeszcze nie było.

– Bo nie znałem nikogo takiego jak ona.

– Więc masz okazję. Spróbuj! Nie musisz się nawet martwić o mikrofon.

– Gdyby śpiewała do mikrofonu w Championship Vinyl, oznaczałoby to, że ma chore struny głosowe.

– Mógłbyś sprzedać parę jej kaset, a oprócz tego coś ze swoich rzeczy. Mógłbyś postarać się, żeby napisali o tym w informatorze koncertowym „Time Out”.

– Wystarczy, Lady Macbeth! Uspokój się i słuchaj

muzyki.

Marie śpiewa balladę o jakimś zmarłym wuju, a niektórzy słuchacze piorunują nas wzrokiem, bo Laura nie może opanować podniecenia.

Ale podoba mi się ten pomysł. Prywatny koncert! Jak u królowej! (Ciekawe, czy ludzie podpisują kasety? Podejrzewam, że muszą.) Jeśli występ Marie uda się, może zjawią się inni – może nawet zespoły... a jeśli to prawda, co piszą o Dylanie, który podobno kupuje dom w północnym Londynie... hmm, dlaczego nie? Wiem, że supergwiazdy nieczęsto występują w sklepach, by pomóc w sprzedaży swoich starych edycji z drugiej ręki, ale gdyby udało mi się opchnąć po przyzwoitej cenie ten egzemplarz mono *Blonde On Blonde*, podzieliłbym się z nim po połowie. Może nawet dałbym mu sześćdziesiąt procent, gdyby zgodził się podpisać.

A po małym, jednorazowym koncercie Boba Dylana w Championship Vinyl (po którym można by wydać w ograniczonym nakładzie klubowy album „na żywo”... choć na pewno byłyby z tym kontraktowe korowody, ale wszystko jest do załatwienia, jak sądzę) człowiek z ufnością mógłby spojrzeć w przyszłość. Może udałoby mi się otworzyć nowe Rainbow? Sala jest niedaleko od nas i z tego, co wiem, nikt jej nie chce. Na początek zorganizowałbym koncert charytatywny, może powtórzyłbym występ Claptona...

W przerwie podchodzimy do Marie, która sprzedaje kasety.

– Oooo czeeeść! Widziałam Roba z osobą towarzyszącą i pomyślałam sobie, że to na pewno ty. – Artystka zwraca się do Laury, uśmiechając się od ucha do ucha.

Byłem tak zajęty działaniami promocyjnymi, które układałem w głowie, że zapomniałem zaniepokoić się spotkaniem dwóch kobiet. (Dwie kobiety, jeden mężczyzna, każdy idiota domyśliłby się, że będą kłopoty.) Wychodzi na to, że muszę wyjaśnić parę rzeczy. Po pierwsze, twierdziłem, że obsługiwałem Marie kilka razy w sklepie, skąd w takim razie artystka wie, że Laura to Laura. („Należy się pięć funtów i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów. Ach, moja dziewczyna ma taką samą portmonetkę. To znaczy, moja była dziewczyna. Chciałbym ci ją przedstawić, ale niedawno się rozstaliśmy itd. ”)

Laura przybiera stosownie zdziwioną minę, ale brnie dalej.

– Bardzo podobają mi się twoje piosenki. I to, jak je śpiewasz... – Czerwieni się lekko i niecierpliwie potrząsa głową.

– Cieszę się. Rob miał rację: jesteś wyjątkowa. – („Cztery funty i jeden pens reszty. Moja dziewczyna jest wyjątkowa”.)

– Nie wiedziałam, że tak dobrze się znacie – mówi Laura z kwaśnym uśmiechem, co, jak wiadomo, nie działa dobrze na trawienie.

– Och, znamy się z Robem, odkąd tu przyjechałam. I z Dickiem, i Barrym. Sprawili, że czuję się jak w domu.

– Lauro, pozwólmy Marie sprzedawać kasy.

– Chwileczkę. Marie, czy zagrałabyś prywatny koncert w sklepie Roba?

Marie wybucha śmiechem. Śmieje się i nie odpowiada. Stoimy jak kołki w płocie.

– Żartujesz, prawda?

– Wcale nie. W sobotnie popołudnie, kiedy do sklepu przychodzi dużo ludzi. Mogłabyś siedzieć na ladzie. – Ten ostatni element to pomysł Laury i patrzę na nią zdumiony.

Marie wzrusza ramionami. – Jasne, ale musiałabym zatrzymać pieniądze z kaset.

– Oczywiście – znów Laura. Nie spuszcza z niej oczu i wpatruję się w nią wytrwale.

– Dzięki. Miło było cię poznać.

Wracamy na nasze miejsca.

– Widzisz – mówi – jakie to łatwe?

Przez kilka pierwszych tygodni po powrocie Laury zastanawiam się od czasu do czasu, jakie jest teraz życie: lepsze czy gorsze? Zastanawiam się nad stanem moich uczuć do Laury. Czy uległy zmianie, a jeśli tak, to czy jestem szczęśliwszy niż byłem, lub czy może znów zaczną swędzić mnie stopy. Czy Laura jest inna, czy żyje się z nią inaczej? Odpowiedzi są łatwe: lepsze, trochę, trochę, nie zaczną, niezupełnie, przyjemniej – ale nie w pełni satysfakcjonujące, bo wiem, że nie pochodzą z głębi serca. Jednak dziwnym zrządzeniem losu, odkąd wróciła, mam mniej czasu na zastanawianie się. Jesteśmy zajęci rozmowami, pracą, seksem (którego w tej chwili jest mnóstwo, głównie za moją sprawą, traktuję bowiem seks jako antidotum na brak poczucia bezpieczeństwa), jedzeniem albo chodzeniem do kina. Może powinienem zwolnić tempo i dać sobie czas na porządne przemyślenia, bo czasy są doniosłe. Z drugiej strony, może nie powinienem. Może tak się to robi. Może w ten sposób ludziom udaje się istnieć w związkach.

– Cudownie! Nas nigdy nie prosiłeś o występ!

Barry. Bałwan. Mogłem się spodziewać, że przyczepi się do pomysłu występu Marie w sklepie i zacznie jęczeć.

– Naprawdę? Myślałem, że prosiłem, a ty powiedziałaś „nie”.

– Jak mamy wypłynąć na szerokie wody, jeśli nawet nasi znajomi nie dają nam szansy!

– Rob pozwolił ci wywiesić plakat. Graj fair, Barry... – Dostyc stanowcza wypowiedź jak na Dicka, który zresztą od początku nie pałał miłością do zespołu Barry'ego. W rozumieniu Dicka granie w zespole to „akcja”, a nie „gwiazdorstwo” – tak jak chciałby Barry.

– Nie pierdol! Wielkie mi co! Plakat!

– Zespół nie zmieści się tutaj. Musiałbym wykupić sklep obok, a nie stać mnie na to... nawet dlatego, żebyś mógł sobie pohłasować w sobotnie popołudnie.

– Zagralibyśmy akustycznie.

– Jasne. Kraftwerk bez prądu. Chciałbym to usłyszeć.

Dick wybucha śmiechem, a Barry patrzy na niego ze złością.

– Zamknij się, baranie. Mówiłem ci, że nie gramy już jak Niemcy.

– Okay. Ale po co wam ten koncert? Macie coś do sprzedania? Nagraliście płytę? Nie? No więc o co chodzi?

Siła mojej logiki jest tak druzgocąca, że Barry musi się zadowolić zgrzytaniem zębami przez pięć minut. Potem siada na ladzie i chowa głowę w stary egzemplarz „Hot Press”. Od czasu do czasu wyrzuca z siebie prostackie argumenty w

rodzaju: „Wszystko dlatego, że ją zwałeś" albo „Jak można prowadzić sklep z płytami, nie znając się na muzyce?" i tak dalej. Głównie jednak milczy i kontempluje, jak wyglądałoby życie, gdyby Barrytown zagrali w Championship Vinyl.

Ten koncert to nic wielkiego, drobiazg niewart zapamiętania. Kilka piosenek zaśpiewanych z akustyczną gitarą dla półtuzina ludzi. Mimo to nie mogę się go doczekać i fakt ów bardzo mnie przygnębia. Jeszcze bardziej przygnębia mnie to, jaką radość sprawiły mi przygotowania (kilka plakatów, kilka telefonów z prośbą o kasety itd.). Bo co będzie, jeśli znów poczuję niezadowolenie? Co wtedy zrobię? Przeraza mnie świadomość, że ilość... życia, jaką mam na talerzu, może mnie nie nasycić. Myślałem, że ludzie wydalają z siebie każdy nadmiar i żywią się resztą, ale teraz nie jestem już taki pewny.

Wielki Dzień pamiętam jak przez mgłę. Tak musiał się czuć Bob Geldof podczas koncertu Live Aid. Przychodzi Marie, przychodzi też mnóstwo ludzi, żeby jej posłuchać (sklep pęka w szwach, Marie nie siedzi na ladzie, ale stoi za nią na kilku skrzynkach przyniesionych specjalnie w tym celu). Ludzie klaszczą, bawią się, a po koncercie kupują taśmy Marie, niektórzy kupują także inne rzeczy. Moje wydatki zamknęły się kwotą dziesięciu funtów, sprzedałem towaru za trzydzieści do czterdziestu, więc cieszę się, śmieję, chichoczę. W każdym razie jestem zadowolony.

Marie robi mi reklamę. Śpiewa dwanaście piosenek, ale tylko połowa jest skomponowana przez nią. Przed koncertem spędza w sklepie kilka godzin, szperając pomiędzy płytami,

sprawdzając, czy mam na składzie resztę jej repertuaru i spisując nazwiska wykonujących go artystów i ceny ich albumów. Gdy okazuje się, że nie mam jakiejś płyty, Marie wykreśla piosenkę z listy i wybiera nową.

– Teraz zaśpiewam piosenkę Emmylou Harris zatytułowaną „Boulder to Birmingham” – zapowiada jeden z utworów.

– Znajdziecie ją na albumie *Pieces Of The Sky*, który dzisiejszego wieczoru jest sprzedawany za niewiarygodną cenę pięciu funtów i dziewięćdziesięciu dziewięciu centów. Szukajcie go na stelażu oznaczonym „Artystki country”.

– Tę piosenkę napisał Butch Hancock i znajdziecie ją... – Na końcu, gdy ludzie chcą kupować płyty, ale zapomnieli nazwisk, Marie pomaga im odnaleźć właściwych wykonawców. Jest wspaniała, a kiedy śpiewa, żałuję, że znów mieszkam z Laurą i że nie udała mi się pierwsza noc z Marie. Może następnym razem – jeśli będzie jakiś następny raz – nie będę tak zrozpaczony z powodu odejścia Laury i wyjdzie mi lepiej z Marie i... nie, zawsze będę czuł się zrozpaczony po odejściu Laury. To jedno wiem na pewno. Więc powinienem się cieszyć, że zostaje, prawda? Tak to powinno wyglądać, co nie? I tak wygląda. Przeważnie. Kiedy o tym nie myślę.

Można postawić tezę, że mój malutki koncert jest – na swój sposób – większym osiągnięciem niż Live Aid – przynajmniej pod względem technicznym. Nie ma żadnych poślizgów, nie psuje się aparatura (choć trudno wyobrazić sobie, co mogłoby się popsuć, poza pękniętą struną czy głosem Marie) i wydarza się tylko jeden nieprzyjemny

incydent: po dwóch piosenkach z tyłu sklepu odzywa się znajomy głos:

– Zagra pani „Wszystkiego po trochu”?

– Nie znam tej piosenki – odpowiada słodko Marie. – Gdybym znała, z chęcią zaśpiewałabym ją dla pana.

– Nie zna jej pani?

– Niecee.

– Nie zna jej pani?

– Nie, powtarzam.

– Chryste, kobieto! Ta piosenka wygrała Konkurs Eurowizji!

– W moich stronach jej nie grali. Ale obiecuję, że następnym razem na pewno ją zaśpiewam.

– Lepiej, żeby tak, kurwa, było!

Dopycham się do drzwi i razem z Johnnym wykonujemy nasz mały taniec. Johnny jest już na dworze, a ja zacieram ręce. To drobiazg w porównaniu z wyjąłym mikrofonem Paula McCartneya, który na Live Aid usiłował zaśpiewać „Let It Be”.

* * *

– Świetnie się bawiłam – mówi Marie po wszystkim. – Myślałam, że się nie uda, ale udało się! I zarobiliśmy kupę pieniędzy! Po czymś takim zawsze czuję się lepiej.

Ja nie czuję się lepiej. Żałuję, że już się skończyło. Przez jedno popołudnie pracowałem w miejscu, do którego chcą przychodzić ludzie. Nie macie pojęcia, jaka to różnica! Czuję się, czuję się, czuję się... no dalej, wyduś to z

siebie... czułem się bardziej mężczyzną! Uczucie piękne i wstrząsające zarazem.

Mężczyźni nie pracują na cichych, zapomnianych bocznych uliczkach w Holloway: pracują w City albo na West Endzie, albo w fabrykach, kopalniach, na stacjach, lotniskach czy w prywatnych gabinetach. Pracują tam, gdzie pracują inni ludzie, i muszą walczyć o swe miejsce pracy, i prawdopodobnie dlatego nie odnoszą wrażenia, że prawdziwe życie toczy się gdzie indziej. Ja natomiast nie czuję się środkiem własnego świata. Jak więc, na Boga, mam być środkiem świata obcych? Po wyjściu ostatniej osoby zamykam drzwi sklepu i wpadam w nagłą panikę. Wiem, że muszę coś zrobić z tym miejscem – sprzedać, spalić, cokolwiek – i zabrać się za karierę.

Trzydzieści

Ale popatrzcie na:

Moich pięć wymarzonych zawodów 1. Dziennikarz w „New Musical Express” w latach 1976 – 1979 Poznaję Clash, Sex Pistols, Chrissie Hynde, Danny'ego Bakera itd. Dostaję mnóstwo darmowych, całkiem dobrych płyt. Prowadzę własny quiz w telewizji albo coś w tym rodzaju.

2. Producent, Atlantic Records, 1964 – 1971 (ca) Poznaję Arethę, Wilsona Picketta, Solomona Burke'a itd. Dostaję mnóstwo darmowych (zapewne), całkiem dobrych płyt. Zarabiam kupę pieniędzy.

3. Muzyk, obojętnie jaki (z wyjątkiem symfonika i rapera) Zawód mówiący sam za siebie. Nie proszę o to, żeby zostać Hendrixem, Jaggerem czy Otisem Reddingiem – wystarczy mi posada jednego z Memphis Horns.

4. Reżyser filmowy Znów obojętnie jaki, byle nie niemiecki i niemy.

5. Architekt Na miejscu 5. niespodzianka. Wiem. Ale w szkole byłem całkiem dobry z rysunku technicznego.

To wszystko. Problem w tym, że przytoczona lista nie jest nawet moją górną piątką. Problem w tym, że dalej nie ma szóstego czy siódmego miejsca, które musiałbym pominąć ze względu na założenia początkowe zestawienia. Mówiąc szczerze, wcale nie marzyłem o tym, żeby zostać architektem, ale pomyślałem sobie, że będzie głupio, jeśli nie

dojadę nawet do piątej pozycji.

Ta lista to pomysł Laury. Nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy, więc wygląda tak, jak wygląda. Nie chciałem jej pokazywać Laurze, ale coś mi się porobiło – przeżyłem jakiś napad litości nad samym sobą czy zazdrości wobec innych, nie wiem... – i pokazałem.

Laura niczego nie daje po sobie poznać.

– Wynika z tego, że została ci tylko architektura.

– Chyba tak.

– Siedem lat studiów.

Wzruszam ramionami.

– Jesteś na to przygotowany?

– Niezupełnie.

– Tak myślę.

– Nie jestem pewny, czy chcę zostać architektem.

– Dajesz mi listę pięciu zawodów, które z chęcią byś wykonywał, gdyby na przeszkodzie nie stanęły ci kwalifikacje, czas, historia i pieniądze, a teraz mówisz, że jeden z nich guzik cię obchodzi?

– Wiesz... umieściłem go na piątym miejscu.

– Taa. A czy jesteś pewny, że wolałbyś zostać dziennikarzem w „NME”, a nie na przykład szesnastowiecznym podróżnikiem albo królem Francji?

– Oczywiście.

Potrząsa głową.

– A ty co byś wybrała?

– Setki rzeczy... mogłabym zostać dramatopisarką, tancerką, muzykiem... tak jak ty... ale też i malarką, uczoną, powieściopisarką, kuchmistrzynią...

- Kucharką?
- Tak. Bardzo chciałabym mieć taki talent. A ty nie?
- Wszystko mi jedno. Ale wolałbym nie pracować wieczorami... – I nie pracowałbym, na pewno!
- Wychodzi na to, że możesz zostać w sklepie.
- Jak do tego doszłaś?
- Wolisz pracować w sklepie czy być architektem?
- Chyba to pierwsze.
- Sam więc widzisz. Architekt jest dopiero na piątym miejscu na twojej liście, a ponieważ pozostałe cztery są zupełnie nierealne, ciesz się tym, co masz.

Dick i Barry nie wiedzą, że myślę o zwinięciu interesu. Mimo to pytam ich o pięć wymarzonych zawodów.

- Wolno posługiwać się podkategoriami?
- Nie rozumiem.
- No... czy saksofonista i pianista liczą się jako dwa zawody?
- Chyba tak.

W sklepie zapada cisza. Przez kilka chwil Championship Vinyl jest szkolną klasopracownią, w której zarządzono zajęcia własne. Marszczą się brwi, przybywa śladów po ugryzieniach na ołówkach i zamasztych wykreśleń na kartkach. Zaglądam jednemu i drugiemu przez ramię.

- A co z gitarzystą basowym i prowadzącym?
- Nie wiem. To chyba jeden zawód...
- Co?! To znaczy, że według ciebie Keith Richards i Bill Wyman zajmują tę samą posadę?
- Nie powiedziałem, że...

– Ktoś powinien ich o tym poinformować. Jeden z nich oszczędziłby sobie wielu kłopotów.

– A co powiesz na... przypuścimy... krytyka filmowego i płytowego? – pyta Dick.

– Jeden zawód.

– Wspaniale. Będę miał miejsce na inne.

– Taaa? Jakie na przykład?

– Choćby pianista i saksofonista. I tak mam jeszcze dwie wolne pozycje.

I tak dalej, i tym podobne. Chodzi jednak o to, że moja lista nie okazała się absurdalna. Każdy mógł ją sporządzić. Prawie każdy. W każdym razie każdy, kto tu pracuje. Nikt z nas nie pyta, jak się pisze „prokurator”. Nikt nie chce wiedzieć, czy „weterynarz” i „lekarz” to dwa różne zawody. Moi współpracownicy są teraz daleko, zagubieni w studiach nagraniowych, garderobach i barach hoteli Holiday Inn.

Trzydzieści jeden

Jedziemy z Laurą odwiedzić moich rodziców i wygląda to dosyć oficjalnie, jakbyśmy mieli zamiar coś ogłosić. Trzeba dodać, że wygląda to tak w ich oczach, a nie w naszych. Mama włożyła sukienkę, a ojciec nie kręci się po całym domu w poszukiwaniu pucharów uwydatniających bukiet trującego wina własnej roboty ani nie gmera przy telewizyjnym pilocie; siada w fotelu, słucha i zadaje pytania, a w innym świetle przypominałby zwykłą ludzką istotę rozmawiającą z gośćmi.

Łatwiej jest mieć rodziców, gdy ma się dziewczynę. Nie wiem dlaczego tak jest, ale to prawda. Mama i tato bardziej mnie lubią, gdy jestem z kimś, jakby sprawiało im to osobistą satysfakcję. Laura staje się czymś w rodzaju ludzkiego mikrofonu, do którego mówimy po to, by inni mogli nas słyszeć.

– Ogląda pan *Inspektora Morse'a*? – pyta Laura a propos niczego.

– Nie – odpowiada indagowany. – To powtórka, prawda? Mamy wszystkie odcinki na taśmie od pierwszego razu. – Boże, jakież to typowe dla mojego ojca! Nie wystarczy mu, gdy powie, że nigdy nie ogląda powtórek, co czyni go, zapewne, najlepszym w całej klasie. Musi dodać niepotrzebny i kłamliwy ozdobnik.

– Nie mieliście magnetowidu, kiedy puszczał go po raz pierwszy – wytykam mu nie bez racji. Ojciec udaje, że nie słyszy. – Dlaczego wprowadzasz ją w błąd? – pytam. Ojciec

mruka do Laury, jakby dopuszczając ją do hermetycznego, rodzinnego żartu. Laura odwzajemnia się uśmiechem. Czyja to rodzina, do cholery?

– Kasety z tym serialem można kupić w sklepie – oznajmia tato. – Kasety firmowe.

– Wiem, ale ich nie masz, prawda?

Znów udaje, że nie słyszy i gdybyśmy byli teraz tylko w swoim gronie, wybuchłaby kłótnia. Powiedziałbym mu, że jest psychiczny i/lub zakłamany; matka poprosiłaby mnie, żebym nie robił z igły wideł, na co zapytałbym ją, czy musi słuchać takich bzdur całymi dniami, i wtedy zaczęłoby się na dobre.

Ponieważ jednak jest między nami Laura... Hmm, nie posunąłbym się do stwierdzenia, że Laura aktywnie lubi moich rodziców, ale z pewnością uważa, że rodzice jako kategoria są czymś dobrym, w związku z czym należy wybaczać im, ba! kochać ich małe słabostki i idiotyzmy, które w kontaktach z innymi ludźmi staralibyśmy się eksponować. Bajeczki, zmyślenia i przechwałki mojego ojca traktuje jak fale, olbrzymie bałwany, po których ślizga się umiejętnie i nie bez przyjemności.

– Są drogie, prawda? Te kasety firmowe... – Laura podtrzymuje temat. – Kilka lat temu kupiłam Robowi na urodziny parę takich kaset i zapłaciłam wtedy prawie dwadzieścia pięć funtów!

Laura jest bezwstydną! Nie uważa dwudziestu pięciu funtów za duży wydatek, ale wie, że w ich świecie suma ta jest niebotyczna, co potwierdza mama, wydając z siebie natychmiast głośny, przerażony, dwudziestopięciofuntowy

okrzyk. W związku z czym rozmowa przechodzi na ceny – czekolady, domów, wszystkiego, co przyjdzie nam do głowy – a oburzające kłamstwa ojca zostają zapomniane.

Mniej więcej to samo dzieje się podczas rozmowy z mamą, gdy zmywamy naczynia.

– Cieszę się, że wróciłaś i zabrałaś się za niego – oznajmia moja rodzicielka. – Bóg jeden wie, jak wyglądałoby to mieszkanie, gdyby został sam.

Jej uwaga doprowadza mnie do szewskiej pasji, bo a) powiedziałem jej, żeby nie wspominała o niedawnej nieobecności Laury; b) nie mówi się żadnej kobiecie – a szczególnie Laurze – że jedną z jej podstawowych zalet jest umiejętność opiekowania się mną; c) w naszym związku to ja jestem osobą schludniejszą, a po odejściu Laury w mieszkaniu było czystiej niż poprzednio.

– Nie wiedziałem, mamo, że odwiedzasz mnie po kryjomu i sprawdzasz stan mojej kuchni.

– Dzięki Bogu nie muszę. I tak wiem, jaki jesteś.

– Wiedziałaś, jaki jestem, gdy miałem osiemnaście lat. Teraz o niczym nie wiesz! Bankowo! – Skąd do cholery wzięło mi się to „bankowo?” Infantylnie sarkastyczne i po chłopięcemu rozdrażnione. No tak! Już wiem! Wprost z roku pańskiego 1973.

– Rob jest schludniejszy ode mnie – stwierdza posepnie Laura. Słyszałem to zdanie, wypowiedane z dokładnie taką samą intonacją, dziesiątki razy, odkąd zostałem zmuszony do przyprowadzenia tutaj Laury.

– Rob to dobry chłopiec. Gdyby tylko zabrał się za siebie...

– Zabierze. – Obie patrzą na mnie z miłością. Zostałem zeszmacony, zgwałcony niechcianymi zmartwieniami i potraktowany w najohydniej protekcyjny sposób tylko po to, by w kuchni mógł rozbłysnąć prawdziwy żar trójdzielnej miłości zamiast lodowatego chłodu rodzinnych antagonizmów, które skończyłyby się maminymi łzami i trzaskaniem drzwi. Mówiąc szczerze, wolę, gdy jest tak jak teraz, i dziękuję komu trzeba za obecność Laury.

Trzydzieści dwa

Uliczne plakaty. Uwielbiam je. Jedyne twórczy pomysł, jaki przyszedł mi kiedykolwiek do głowy, dotyczył wystawy fotograficznej ilustrującej zmienne koleje losu ulicznych plakatów. Zebranie odpowiedniej liczby zdjęć zabrałoby dwie albo trzy dekady, ale rzecz prezentowałaby się wspaniale. Na zabitym deskami sklepie po przeciwnej stronie ulicy wiszą ważne dokumenty historyczne: plakaty reklamujące walkę Franka Bruno, zwołujące na wiec antyfaszystowski, zachęcające do kupna nowego singla Prince'a i rozśmieszające widokiem komika z Indii Zachodnich. Jest także cała masa ogłoszeń o koncertach. Za kilka tygodni wszystko zniknie pokryte ruchomym piaskiem historii – albo przynajmniej reklamami nowej płyty U2. Patrząc na uliczne plakaty, czuje się ducha czasów, prawda? (Zdradzę wam pewien sekret: przed laty zacząłem przygotowania do wystawy. W roku 1988 zrobiłem Instamatikiem trzy zdjęcia pustego sklepu przy Holloway Road. Później ktoś wynajął sklep, a ja straciłem entuzjazm. Zdjęcia wyszły okay – okayowato w każdym razie – ale nikt przecież nie pozwolił na zrobienie wystawy z trzema zdjęciami, prawda?)

Tak czy inaczej, od czasu do czasu robię sobie test: zerkam na zabity deskami sklep po przeciwnej stronie i sprawdzam, czy słyszałem o wszystkich reklamujących się tam zespołach. Wychodzi na to, że nie. Tracę kontakt. Kiedyś znałem każdą poszczególną nazwę – choćby i najgłupszą – i

każde poszczególne miejsce – choćby i najmniejsze – w którym występował zespół. Potem, jakieś trzy, cztery lata temu, przestałem pochłaniać fakty, o których piszą w prasie muzycznej, i zauważyłem, że nie rozpoznaję grup grających w pubach czy małych klubach. W zeszłym roku w Forum wystąpiło kilka kapel, których nazwy nic mi nie mówiły. W Forum! W sali mieszczącej półtora tysiąca! Tysiąc pięćset osób kupiło bilety, żeby obejrzeć zespół, o którym nigdy nie słyszałem! Gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, wpadłem w depresję trwającą przez cały wieczór, może dlatego, że zwierzyłem się z własnej ignorancji Dickowi i Barry'emu (który potraktował mnie jak śmiecia; Dick tylko patrzył na dno kufła z piwem – zbyt zażenowany, żeby spojrzeć mi w oczy).

Znów tak czy inaczej, sprawdzam stan mojej wiedzy (Prince trwa, jak trwał, więc nie grozi mi nul points; któregoś dnia, gdy zaliczę nul points, powieszę się, Bóg mi świadkiem!) i dostrzegam znajomy plakat. NA ŻĄDANIE SZEROKIEJ PUBLICZNOŚCI – głosi napis – KLUB GROUCHO PONOWNIE OTWIERA SWE PODWOJE! I pod spodem: KAŻDEGO PIĄTKU OD 20 LIPCA, PIES I BAŻANT. Stoję i patrzę na plakat. Trwam tak godzinami i czuję, jak opada mi szczęka. Plakat ma taki sam rozmiar i kolor jak nasze stare ogłoszenia. Uzurpatorzy mieli nawet czelność zerznąć nasz projekt i logo – okulary i wąsy Groucho Marxa nad drugim „o” w Groucho i cygaro wychodzące z brzuszka (nie jest to termin techniczny, ale tak na to mówiliśmy) „b” w słowie „klub”.

Na naszych starych plakatach u dołu był wiersz

informujący o rodzaju muzyki, jaką grałem, a na końcu nazwisko utalentowanego, cudownego didżeja, które umieszczałem tam w nadziei (niemającej niestety pokrycia w późniejszych faktach) na zorganizowanie sobie kultowego zaplecza. Na nowym plakacie nie widać ostatniego wiersza, bo zasłaniają go małe ogłoszenia jakiegoś bezczelnego zespołu. Odrywam je po kolei i oto, co widzę: STAX ATLANTIC MOTOWN R&B SKA MERSEYBEAT, A OD CZASU DO CZASU SINGEL MADONNY – MUZYKA DO TAŃCA DLA ZAAWANSOWANYCH WIEKIEM – DJ ROB FLEMING. To miło, że wciąż to robię mimo upływu lat.

Co się dzieje? Są tylko trzy możliwości: a) plakat wisi tu od roku 1986 i został niedawno odkopany przez plakatowego archeologa; b) postanowiłem otworzyć klub, wydrukowałem plakaty, rozwiesiłem je na ulicach, po czym przydarzył mi się skomplikowany atak amnezji; c) ktoś inny postanowił otworzyć dla mnie klub. Dochodzę do wniosku, że punkt „c” zasługuje na bliższą uwagę i wracam do domu, gdzie czekam na Laurę.

– To spóźniony prezent urodzinowy. Wpadłam na ten pomysł, kiedy mieszkałam z Rayem i tak mi się spodobał, że byłam wściekła, że nie jesteśmy razem. Może dlatego wróciłam. Cieszysz się? – pyta. Po pracy poszła na drinka z jakimiś ludźmi i język trochę się jej płacze.

Nie myślałem o tym wcześniej, ale cieszę się. Jestem zdenerwowany i przestraszony – tyle płyt do znalezienia, tyle sprzętu do kupienia – ale cieszę się. Mówiąc szczerze, jestem

wstrząśnięty!

– Nie miałaś prawa – oznajmiam. – Przypuśćmy... – Co?
– Przypuśćmy, że robiłbym coś, czego nie mógłbym odwołać...

– Czy kiedykolwiek robiłeś coś, czego nie można było odwołać?

– Nie o to chodzi... – Nie wiem, dlaczego taki jestem. Nie wiem, dlaczego muszę być taki surowy, nadąsany i wstrętny dla świata. Powinienem zalewać się łzami miłości i wdzięczności, ale nie potrafię.

Laura wzdycha, opada na sofę i zrzuca buty.

– Nie masz wyjścia. Robisz to.

– Może.

Któregoś dnia, kiedy wydarzy się coś takiego, powiem jej tylko: dzięki, to cudowne, jesteś wspaniałomyślna, naprawdę nie mogę się doczekać... ale jeszcze nie teraz.

– Wiesz, że gramy w środku twojego programu – mówi Barry.

– Po moim trupie.

– Laura nas zaprosiła. Pod warunkiem, że pomogę jej przy plakatach.

– Chryste! Chyba nie będziesz tego od niej egzekwował?

– Dlaczego nie?

– Dam wam dziesięć procent z biletów, jeśli nie zagracie.

– I tak tyle dostaniemy.

– Kurwa! W co ona leci! Okay, dwadzieścia procent.

– Nie. Musimy zagrać.

– Sto dziesięć procent. To moje ostatnie słowo.

Barry wybucha śmiechem.

– Nie żartuję. Jeśli przyjdzie sto osób i każda zapłaci po piątce, dam wam pięćset pięćdziesiąt funtów. Jestem gotów dać tyle, byle was nie słyszeć.

– Nie jesteśmy tacy źli, jak myślisz, Rob.

– Wiem, to niemożliwe. Posłuchaj, Barry, tam przyjdą ludzie, z którymi Laura pracuje. Ludzie, którzy mają psy, dzieci i płyty Tiny Turner. Jak sobie z nimi poradzisz?

– Powinieneś zapytać, jak oni poradzą sobie z nami? Przy okazji, nie nazywamy się już Barrytown. Wszystkim robiło się niedobrze od tego... wiesz... Barry/Barrytown. Teraz występujemy jako AZM. Akustycznie Zdechła Małpa.

– Akustycznie Zdechła Małpa!

– Co myślisz? Dickowi to się podoba.

– Barry, masz już ponad trzydzieści lat i zasługujesz na lepszy los. Twój przyjaciele, twoja mama i twój tata, wszyscy zasługujemy na coś lepszego niż twoja obecność w zespole o nazwie Akustycznie Zdechła Małpa.

– Zasługuję na to, by stanąć na scenie, Rob. Na krawędzi, jak mój zespół, a nawet krok dalej.

– Przysięgam, że stoczysz się na samo dno, jeśli zbliżysz się do mnie w piątek wieczorem!

– Tego właśnie nam trzeba! Reakcji! A jeśli burżuazyjni prawnicy od Laury nie poradzą sobie z nami, to pierdolę ich! Niech się wściekają, jesteśmy przygotowani. Liczymy na to.

– Wydaje z siebie demoniczny chichot, będący żalną imitacją chichotu znarkotyzowanych gwiazd rocka.

Niektórzy zapamiętają ów piątek do końca życia. Będą opowiadali sobie o nim anegdoty, będą je układali w głowie

jeszcze w trakcie rozrywania pubu na strzępy przez łkających, krwawiących z uszu prawników, tratujących się nawzajem przy wyjściu. Będą... ale nie ja. Jedyne, co mi pozostaje, to zwinąć wszystko w twardą kulę nerwowego podniecenia i umieścić ją sobie w żołądku, gdzieś między pępkiem a tyłkiem, i czekać, co będzie dalej. Dziwne tylko, że Laura wcale się nie martwi.

– To tylko jeden raz. I powiedziałam im, że nie mogą grać dłużej niż pół godziny. Jasne, że możesz stracić kilku moich znajomych, ale i tak nie wszyscy co tydzień znajdują opiekunki do dzieci.

– Muszę wpłacić kaucję i forszę za wynajem sali.

– To już załatwione.

I właśnie to jedno, króciutkie zdanie sprawia, że coś we mnie pęka. Nie mogę wydobyć głosu i czuję, że się duszę. Nie chodzi o pieniądze, chodzi o to, że pomyślała o wszystkim! Któregoś ranka obudziłem się i ujrzałem, jak przegląda moje single, wyciąga te, które zapamiętała sprzed lat i układa je w specjalnej torbie do noszenia płyt, z której korzystałem niegdyś i którą schowałem na samo dno szafy. Laura wiedziała, że trzeba mi było kopa w tyłek. Wiedziała także, ile radości dawało mi didżejowanie. Obojętnie pod jakim spojrzeć na to kątem, robi to, ponieważ mnie kocha.

Zapadam się w coś, co nigdy nie potrafiło się uzewnętrznić, i przytulam się do niej.

– Wybacz... wiem, że byłem okropny. Naprawdę cieszę się tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś i wiem, że chcesz jak najlepiej. Kocham cię, naprawdę cię kocham, chociaż udaję, że jest inaczej.

- Nic nie szkodzi, Rob. Choć mógłbyś mniej się gniewać.
- Wiem. Nie rozumiem sam siebie.

Gdyby jednak przyszło mi zgadywać, powiedziałbym, że gniewam się, bo wiem, że wpadłem na dobre i wcale mi się to nie podoba. Byłoby fajniej – pod wieloma względami – gdybym nie był tak do niej przywiązany; byłoby fajniej, gdyby wciąż były aktualne te wszystkie cudowne możliwości, pełne rozmarzenia nadzieje, jakie przeżywa się w wieku piętnastu, dwudziestu czy nawet dwudziestu pięciu lat, kiedy czeka się na tę jedyną, idealną i piękną, która zaraz wejdzie do klasy, biura czy na prywatkę... Byłoby fajniej, gdyby to wszystko było jeszcze przede mną... w kieszeni dżinsów albo w dolnej szufladzie. Ale minęło i jest już po wszystkim, i to chyba wystarczający powód, żeby się gniewać. Laura jest z tym, kim teraz jestem, i nie ma sensu udawać, że będzie inaczej.

Trzydzieści trzy

Caroline przychodzi zrobić ze mną wywiad do swojej gazety i z miejsca zakochuję się w niej – nie bujam! – kocham ją, gdy stoi jeszcze przy barze i czeka, żeby kupić mi drinka. Dzień jest gorący – pierwszy w tym roku – i siadamy na dworze przy stoliku pod markizą, i przyglądamy się ulicy. Caroline ma różowe policzki i ubrana jest w bezkształtną letnią sukienkę bez rękawów, a na nogach ma ciężkie buty. Strój ten prezentuje się na niej doskonale. Chociaż dzisiaj podobałby mi się każdy. Pogoda sprawia, że czuję się tak, jakbym stracił wszystkie martwe zakończenia nerwowe, przez które nie mogłem odczuwać, a poza tym jak można nie zakochać się w kimś, kto przyszedł przeprowadzić z nami wywiad?

Caroline pisuje do „Tufnell Parker”, jednego z wielu darmowych magazynów ogłoszeniowych, które wpychają nam pod drzwi, a my wyrzucamy je na śmieci. Tak naprawdę Caroline jest studentką – studiuje dziennikarstwo i właśnie odbywa praktykę. Tak naprawdę nie wie, czy jej wydawca zechce wydrukować wywiad, bo nigdy nie słyszał o moim sklepie ani o klubie, a Holloway leży na granicy jego parafii, terytorium, strefy wpływów, czy jakkolwiek się to nazywa. Caroline przychodziła do klubu w dawnych czasach i chce dać nam szansę.

– Nie powinienem był cię wpuszczać – mówię. – Musiałaś mieć mniej niż szesnaście lat...

– Ojej! – krzyczy i nie rozumiem dlaczego, póki nie

uświadamiam sobie własnej gafy. Chodzi o to, że uwaga o jej wieku nie miała być żalonym ozdobnikiem rozmowy, w ogóle nie miała być częścią rozmowy! Chciałem jej powiedzieć, że jeśli jest teraz studentką, to w tamtych czasach musiała być w szkole, choć z wyglądu dałbym jej ponad dwadzieścia pięć, a nawet trzydzieści lat. Kiedy dowiaduję się, że studiuje zaocznie i pracuje jako sekretarka w jakimś lewicowym wydawnictwie, próbuję zatrzeć nieszczęsną gafę, nie dając jej przy tym do zrozumienia, że wygląda staro. Jeśli rozumiecie, o co mi chodzi, wiecie, dlaczego tak dużo o tym mówię. – Kiedy powiedziałem, że nie powinienem cię wpuszczać, nie chodziło mi o to, że wyglądasz młodo. Zupełnie nie... – Chryste! – Nie wyglądasz też staro. Wyglądasz na tyle, ile masz... – Kurwa mać! A jeśli ma czterdzieści pięć lat? – No wiesz... trochę młodziej... ale nie za bardzo... Tyle, ile trzeba. Zapomniałem... wiesz... że można studiować zaocznie... – Chyba wolałbym być obleśnym staruchem śliniącym się do nastolatek niż jękającym się niezrozumiale przygłupem, na jakiego wychodzę.

Nie mija więcej niż pięć minut, a ja z rozrzewnieniem wspominam jękającego się przygłupa; faktycznie jest przyjemniejszy niż moja wymarzona inkarnacja: Obleśny Staruch.

– Musisz mieć olbrzymią kolekcję płyt – mówi Caroline w trakcie rozmowy.

– Jasne! – wykrzykuję. – Chcesz je obejrzyć?

Naprawdę o to mi chodzi! Naprawdę! Pomyślałem sobie, że może zechcą wydrukować moje zdjęcie obok płyt albo coś

takiego. Ale kiedy Caroline zerka na mnie znad słonecznych okularów, cofam taśmę i przesłuchuję jeszcze raz to, co powiedziałem, po czym wydaję z siebie słyszalny jęk rozpaczy. Słyszając to, przynajmniej się uśmiecha.

– Normalnie... nie jestem taki, przysięgam.

– Nie przejmuj się. Nie sędzę, żeby pozwolił mi nakreślić twój obiektywny profil... wiesz... taki jak w „Guardianie”.

– Nie o tym myślałem...

– W porządku. Naprawdę...

O wszystkim zapominam, słyszając jej następne pytanie. Przez całe życie czekałem na tę chwilę, a kiedy nadeszła, nie wierzę własnym uszom: jestem zupełnie nieprzygotowany i nie wiem, co odpowiedzieć.

– Wymień pięć swoich ulubionych płyt wszech czasów – prosi.

– Że co?

– Pięć ulubionych płyt. Takich, które zabrałbyś na bezludną wyspę, minus... ile... trzy?

– Minus trzy co?

– Trzy płyty. W rubryce „Płyty z bezludnej wyspy” drukują osiem tytułów, prawda? Więc osiem minus pięć jest trzy, zgadza się?

– Taa, z tym, że plus trzy, a nie minus trzy.

– Nie... powiedziałaś... nieważne. Twoich pięć płyt wszech czasów?

– Gdzie? W klubie? W domu?

– A czy to ważne?

– OCZYWIŚCIE... – Zbyt wrzaskliwie. Udaję, że coś drapie mnie w gardło, odchrząkuję i zacynam od nowa: –

No... w zasadzie tak. Mam pięć płyt wszech czasów do tańca i pięć płyt wszech czasów. Widzisz, jedną z moich ulubionych płyt wszech czasów jest „Sin City” Flying Burrito Brothers, ale nigdy nie puściłbym jej w klubie, bo jest to ballada country-rockowa i wszyscy poszliby do domu.

– Nieważne. Podaj dowolną piątkę, to znaczy cztery...

– Jak to cztery?

– No jeśli jedną z nich jest „Sin City”, to zostały nam tylko cztery.

– NIE! – Tym razem nie ukrywam paniki. – Nie powiedziałem, że „Sin City” jest w mojej piątce wszech czasów! Mówiłem, że jest jedną z moich ulubionych płyt! Może szóstą albo siódmą...

Robię z siebie idiotę, ale nic na to nie poradzę: sprawa jest zbyt poważna i zbyt długo czekałem na taką okazję. Ale gdzie się podziały, gdzie zniknęły te płyty, które od lat układałem sobie w głowie – tak na wszelki wypadek, bo zawsze istniała możliwość, że zadzwoni do mnie Ron Plomley, Michael Parkinson, Sue Lawley czy inny z prowadzących audycję *Moja ulubiona dwunastka* w Radio One, i zapyta o moją listę, bo akurat ktoś znany spóźnił się do studia. Z jakiegoś powodu nic nie przychodzi mi do głowy, poza piosenką „Respect”, która zresztą wcale nie należy do moich ulubionych utworów Arethy.

– Czy mogę iść do domu i przemyśleć sobie całą sprawę, a potem dać ci znać? Za jakiś tydzień?

– Posłuchaj, jeśli nic nie wymyślisz, to nieważne. Zrobię to za ciebie. Napiszę o moich pięciu ulubionych piosenkach ze starego klubu Groucho, albo coś w tym rodzaju.

Ona to za mnie zrobi! Pozbawi mnie jedynej szansy na opublikowanie własnej listy w gazecie! O NIE!

– Niecee, coś wymyślę...

„A Horse With No Name”. „Beep Beep”. „Ma Baker”. „My Boomerang Won't Come Back”. Aż mi się roi w głowie od tytułów ohydnych singli i zaczynam cierpieć na hiperwentylację.

– Okay... zapisz „Sin City”... – W historii muzyki pop musiała być jeszcze jakaś inna dobra piosenka!

– „Baby Let's Play House...”

– Czyje to?

– Elvisa Presleya.

– Aha... no tak...

– I... – Aretha. No... pomyśl, Aretha!

– „Think” Arethy... Franklin.

– Nudne, ale niech będzie. Są już trzy. Zostały dwie.

Dalej, Rob!

– „Louie, Louie” Kingsmen. „Little Red Corvette” Prince'a.

– Fajnie... wspaniale...

– To już wszystko?

– No... chciałabym jeszcze z tobą porozmawiać, jeśli masz chwilę czasu?

– Jasne. Ale czy to już wszystko, jeśli chodzi o listę?

– Zapisałam pięć tytułów. Chcesz coś zmienić?

– Czy mówiłem o „Stir It Up” Boba Marleya?

– Nie.

– Hmm, musiałem zapomnieć.

– Co mam wyrzucić?

– Prince'a.

– Nie ma sprawy.

– A zamiast „Think” wpisz „Angel”.

– W porządku... – Spogląda na zegarek. – Teraz zadam ci kilka pytań, bo niedługo muszę pędzić... Dlaczego chcesz otworzyć klub od nowa?

– Tak naprawdę to był pomysł znajomej... – Znajomej! Żałosne! – ... która o niczym mi nie mówiąc, zorganizowała to wszystko... niejako w prezencie urodzinowym. Aha, pomyślałem, że warto by dodać Jamesa Browna... „Papa's Got A Brand New Bag” zamiast Elvisa...

Obserwuję ją bacznie, gdy dokonuje odpowiednich zmian.

– Miła znajoma.

– No...

– Jak się nazywa?

– Emmm... Laura.

– A nazwisko?

– Lydon... po prostu...

– A to motto „Muzyka taneczna dla osób zaawansowanych wiekiem”... Sam je wymyśliłeś?

– Nie, Laura.

– Co ono oznacza?

– Posłuchaj, przepraszam, ale wołałbym „Family Affair” Sly and the Family Stone zamiast „Sin City”...

Wykreśla, co trzeba, i wpisuje nowy tytuł.

– „Muzyka do tańca dla zaawansowanych wiekiem”?

– Eee... no wiesz... wielu ludzi chciałoby jeszcze pochodzić do klubów, ale są zbyt starzy na acid jazz, garaż i

wszystko, co się z tym wiąże. Chcą posłuchać Motown i prawdziwego funky, i Staxa, i paru nowych rzeczy... takiego miszmaszu... rozumiesz... i nie mają dokąd pójść...

– Racja. To mi wystarczy... – Dopija sok pomarańczowy.

– Zdrówko! Nie mogę się doczekać piątku. Bardzo lubiłam to, co grałeś.

– Jeśli chcesz, mogę ci nagrać kasetę...

– Naprawdę? Zrobiłbyś to? Miałabym własny klub Groucho w domu!

– Nie ma sprawy. Bardzo lubię nagrywać kasyety.

Wiem, że to zrobię, pewnie jeszcze dzisiaj. I wiem również, że zdejmując celofan z pudełka i wciskając guzik pauzy, będę się czuł jak zdrajca.

– Nie wierzę! – mówi Laura, gdy wspominam jej o Caroline.

– Jak mogłeś!

– Co?

– Odkąd tylko cię znam, słyszałam, że najlepszą płytą wszech czasów jest „Let's Get It On” Marvin'a Gaye'a, a teraz nie ma jej nawet w górnej piątce?!

– O kurwa! No tak! Szlag by to... Wiedziałem, że...

– A co się stało z Alem Greenem? I z Clash? A Chuck Berry? A ten facet, o którego się kłóciliśmy? Solomon jakiś tam... ?

Chryste!

Następnego ranka dzwonię do Caroline. Nie ma jej. Zostawiam wiadomość. Nie oddzwania. Znów dzwonię.

Znów zostawiam wiadomość. Sprawa się komplikuje, ale muszę dołożyć „Let's Get It On” do tej listy! Za trzecim razem łapię ją i przeprasza mnie nie wiadomo za co, ale odpręża się, gdy mówię, że chodzi o płyty.

– Okay, posłuchaj, ostateczna wersja górnej piątki: miejsce pierwsze „Let's Get It On” Marvinina Gaye'a, miejsce drugie „This Is The House That Jack Built” Arethy Franklin, miejsce trzecie „Back In The USA” Chucka Berry'ego, miejsce czwarte „White Man In The Hammersmith Palais” Clash i na zasłużonym... cha, cha... miejscu piątym „So Tired Of Being Alone” Ala Greena.

– Z tym że nie mogę już tego zmienić, wiesz?

– Aha.

– Ale pomyślałam sobie, że można by wydrukować listę twoich ulubionych płyt klubowych. A przy okazji, wydawcy podobała się ta historia... szczególnie ta część z Laurą.

– No...

– W takim razie, czy mógłbyś podać mi szybko listę pięciu kawałków do tańca? Chyba że nie chcesz?

– Nie... to znaczy chcę... doskonale je pamiętam... – Podaję tytuły (choć gdy artykuł ukazuje się drukiem, znajduje na liście piosenkę „In The Ghetto”, która, jak wiecie, jest kawałkiem Elvisa, a nie tym, o co mi chodziło; Barry natychmiast wychwytuje ten błąd i oskarża mnie o ignorancję).

– Kończę tę taśmę dla ciebie...

– Naprawdę? Jesteś przemiły!

– Mam ją wysłać, czy umówisz się ze mną na drinka?

– Eeee... wolę drinka. Postawię ci jednego jako

podziękowanie.

– Świetnie.

Taśmy, he? Zawsze się sprawdzają.

– Dla kogo to? – pyta Laura, widząc, jak ustawiam poziomy szumów, spisuję tytuły i czasy.

– Ach, to dla tej kobiety, która robiła ze mną wywiad do darmówki. Carol? Caroline? Nie pamiętam... Mówiła, że byłoby jej łatwiej pisać, gdyby wiedziała, co gram... – Nie potrafię jednak powstrzymać rumieńca i nie mogę oderwać oczu od magnetofonu. Wiem, że mi nie wierzy. Któż poza nią ma pojęcie, czym są taśmy kompilacyjne?

Dzień przed spotkaniem z Caroline stwierdzam u siebie wszystkie podręcznikowe symptomy zadurzenia: niepokój w żołądku, długie okresy snu na jawie, niemożność przypomnienia sobie, jak wygląda. Pamiętam sukienkę i buty, i jej postać w ogólnych zarysach, ale twarz pozostaje pusta i wypełniam ją szczegółami z wypożyczalni ideałów – dodaję jej nadąsane usta, choć spodobał mi się w niej głównie ich typowo angielski, czysty kontur; oczy w kształcie migdałów, choć przez cały czas zasłaniała je okularami; i białą, nieskazitelną skórę, choć wiem, że była piegowata. Kiedy ją zobaczę, na pewno będę rozczarowany – to ma być ta, przez którą cierpiałem na rozstrój żołądka?! – ale później znajdę w niej coś wartego podziwu: choćby to, że w ogóle przyszła, że ma seksowny głos, jest inteligentna, dowcipna, cokolwiek. A między drugim i trzecim spotkaniem narodzi się całkiem nowy zestaw mitów.

Jednak tym razem dzieje się coś dziwnego. Wszystko

przez te sny na jawie! Nie robię niczego nadzwyczajnego i jak zwykle wyobrażam sobie w najdrobniejszych szczegółach nasz przysły związek, od pierwszego pocałunku, poprzez łóżko, wspólne mieszkanie, do małżeństwa (w przeszłości wymyślałem nawet kolejność piosenek puszcanych na weselu). Wyobrażam sobie, jak cudownie wygląda w ciąży, wymyślam imiona dla dzieci – gdy nagle zdaję sobie sprawę, że nie ma już nic, co mogłoby się... no... stać! Załatwiłem wszystko, przeżyłem cały związek w głowie. Obejrzałem film w przyśpieszonym tempie, znam fabułę, zakończenie, warte zapamiętania fragmenty. A teraz nie pozostaje mi nic innego, jak cofnąć wszystko i rozpocząć oglądanie od nowa, w czasie rzeczywistym. I co z tego za przyjemność?

I kurwa... kiedy to się, kurwa, skończy? Czy mam do końca życia skakać z kamienia na kamień, dopóki nie braknie mi sił? Czy mam biec za każdym razem, kiedy poczuje swędzenie? Bo czuję je raz na kwartał, zawsze wtedy, gdy przychodzą rachunki za prąd. A bywa, że i częściej po zmianie czasu na letni. Myślę dupą, odkąd skończyłem czternaście lat, a mówiąc szczerze i tylko między nami, moja dupa ma gówna zamiast mózgu.

Wiem, co jest nie tak z Laurą. Chodzi o to, że nigdy nie zobaczę jej już po raz pierwszy, drugi i trzeci. Już nigdy nie będę się poccił przez dwa albo trzy dni, próbując przypomnieć sobie, jak wygląda, już nigdy nie przyjdę do pubu pół godziny wcześniej, żeby broń Boże nie kazać jej czekać, i nie będę gapił się przez to pół godziny w ten sam gazetowy artykuł i spoglądał co trzydzieści sekund na zegarek, i już nigdy myślenie o niej nie wzbudzi we mnie takich uczuć,

jak... powiedzmy... słuchanie „Let's Get It On”. Jasne, że ją kocham i lubię, i dobrze się nam rozmawia, wspaniale współżyje w łóżku i namiętnie kłóci, jasne, że dba o mnie, martwi się o mnie i załatwia mi klub Groucho, ale to wszystko przestaje się liczyć, gdy staje przede mną ktoś z gołymi ramionami, o miłym zapachu, w Doktorach Martensach na nogach. Gdy przychodzi do sklepu i prosi mnie o wywiad. Wszystko przestaje się liczyć, a nie powinno!

Pierdolę! Wyślę pocztą tę kurewską taśmę! Może...

Trzydzieści cztery

Spóźnia się o kwadrans, co oznacza, że gapiłem się w ten sam gazetowy artykuł przez czterdzieści pięć minut. Jest jej przykro, ale wcale nie entuzjastycznie przykro, jeśli się nad tym zastanowić. Nie robię jej jednak żadnych uwag. Dzisiaj nie można.

– Zdrówko! – mówi, trącąc kieliszkiem szprycera moją butelkę Sola. Jej makijaż spłynął częściowo z potem od dzisiejszego upału, ale policzki pozostały różowe. Wygląda cudownie. – Miła niespodzianka.

Milczę. Jestem zbyt zdenerwowany, by mówić.

– Martwisz się, co będzie jutro?

– Niezupełnie... – Pochłania mnie wpychanie kawałka limonki w szyjkę butelki.

– Będziesz ze mną rozmawiał, czy mam wyjąć gazetę?

– Będę rozmawiał.

– W porządku.

Mieszam piwo, chcąc nadać mu prawdziwie limonowaty smak.

– O czym będziesz ze mną rozmawiał?

– Będę z tobą rozmawiał o tym, czy wyjdiesz za mnie czy nie. Za męża.

Śmieje się bardzo długo. – Cha cha cha. Chi chi chi.

– Poważnie.

– Wiem.

– Dzięki, kurwa, choć za to.

– Och, wybacz. Ale przed dwoma dniami byłeś

zakochany w kobiecie, która robiła z tobą wywiad do miejscowej gazety, prawda?

– Wcale nie zakochany, tylko...

– Taa. Sam rozumiesz, że nie jesteś najpewniejszą lokatą na tym świecie.

– Wyszłabyś za mnie, gdyby było inaczej?

– Nie. Chyba nie.

– Właśnie. Okay, idziemy do domu?

– Nie masz się co dąsać. Skąd ten nagły pośpiech?

– Nie wiem.

– Jesteś bardzo przekonujący.

– A ty dasz się przekonać?

– Nie. Nie sądzę. Jestem tylko ciekawa, jak w ciągu dwóch dni można przeskoczyć przepaść dzielącą nagrywanie kaset miłosnych dla jednej pani od oświadczyn wobec drugiej. Wystarczy?

– Wystarczy.

– Więc?

– Myślę o tym przez cały czas i mam już tego dosyć.

– Czego?

– Wszystkiego. Miłości i małżeństwa. Chcę myśleć o czymś innym.

– Zmieniam zdanie: to najbardziej romantyczne oświadczyzny, jakie w życiu słyszałam! „Wyjdź za mnie, bo mam tego dosyć!”

– Zamknij się. Staram się wyjaśnić ci wszystko...

– Och, przepraszam. Kontynuuj...

– Widzisz... zawsze bałam się małżeństwa, bo... no wiesz... jest to kula u nogi, a ja chciałem być wolny i takie

tam... Ale kiedy myślałem o tej głupiej dziewczynie, nagle doszedłem do wniosku, że jest akurat odwrotnie: jeśli żenisz się z kimś, o kim wiesz, że go kochasz, stajesz się wolny, bo małżeństwo wyzwala cię z innych zobowiązań. Wiem, że nie wiesz, co czujesz wobec mnie, ale wiem, co ja czuję... do ciebie. Wiem, że chcę z tobą zostać, ale bez przerwy udaję, że jest inaczej, udaję przed sobą i przed tobą... i wszystko między nami kuleje. Bo wygląda to tak, jakbyśmy co kilka tygodni podpisywali ze sobą nowy kontrakt, a ja już tego nie chcę. Chcę wziąć ślub, bo wiem, że gdy się pobierzemy, potraktuję to poważnie i przestanę się już wygłupiać.

– A decyzję o tym podejmujesz ot tak! Z zimną krwią, między papierosem a piwem... Jeśli zrobię to, to stanie się tamto, a jak nie zrobię tego, to... itd. Nie jestem pewna, czy to tak działa.

– Właśnie, że tak! Dokładnie. Wiesz, to że łączy nas związek opierający się na uczuciach, nie znaczy, że nie możemy podejmować wobec niego intelektualnych decyzji. Czasami tak trzeba, bo inaczej nigdzie się nie dojedzie. W tym właśnie nie miałem dotąd racji: pozwalałem pogodzie, mięśniom brzucha i ładnemu pasażowi akordowemu z singla Pretenders na decydowanie o mnie. Teraz chcę wziąć sprawę we własne ręce.

– Może...

– Co to znaczy „może?”

– To znaczy... może masz rację. Ale to, co myślisz, wcale mi nie pomaga, prawda? Zawsze taki byłeś. Wymyślałeś coś sobie i wszyscy musieli się dostosować. Naprawdę sądziłeś, że powiem „tak”?

– Nie wiem. Nie myślałem o tym, naprawdę... Ważna była tylko ta pierwsza. część...

– Okay, wykonałeś ją. – Wcale nie mówi tego z gniewem, przeciwnie, jest słodka, jakby wiedziała, że to, co wykonałem, jest naprawdę miłe i ma jakieś znaczenie, którym, co prawda, nie jest zainteresowana, ale czuje się w obowiązku powiedzieć: Dziękuję.

Trzydzieści pięć

Wszystko idzie wspaniale do chwili pojawienia się zespołu. Dawnymi czasy rozgrzanie ludzi trwało z pół godziny, ale dzisiaj z miejsca chwytają, o co chodzi. Wynika to głównie z tego, że większość z nich jest o kilka lat starsza niż przed paru laty, jeśli wiecie, co mam na myśli. Inaczej mówiąc, jest to dokładnie ta sama banda sprzed lat, nie jej ekwiwalent Anno Domini 1994.

Ludzie nie chcą czekać do wpół do pierwszej czy pierwszej z wyjściem na parkiet: teraz są na to zbyt zmęczeni, niektórzy muszą iść wcześniej do domu, by zwolnić opiekunki do dzieci. Poza tym panuje tu prawdziwie imprezowa atmosfera w rodzaju baw-my-się-póki-grają, jaką można spotkać na weselach albo przyjęciach urodzinowych, nie w klubach, które będą w tym samym miejscu za tydzień, może nawet i dwa.

Należy również dodać, że jestem kurewsko dobry, że nie straciłem niczego ze swego starego wdzięku. Sekwencja – The O’Jays („Back Stabbers”), Harlod Melvin and the Bluenotes („Satisfaction Guaranteed”), Madonna („Holiday”) – zakończona brawurową wersją „The Ghetto” (nagrodzoną takimi oklaskami, jakbym to ja ją wykonywał, nie Donny Hathaway) i „Nelsonem Mandelą” The Specials, dobija ich bezlitośnie. A potem jest przerwa i czas na zespół.

Powiedziano mi, że mam ich przedstawić. Barry napisał nawet na kartce to, co powinienem powiedzieć: „Panie i panowie, bójcie się... bardzo się bójcie! Oto nadchodzi...

AKUSTYCZNIE ZDECHŁA MAŁPA!" Ale pieprzę, nie będę się wygłupiał i tylko bąkam do mikrofonu nazwę grupy.

Są ubrani w garnitury ozdobione cieniutkimi krawatami. Kiedy podłączają się do aparatury, odzywa się tak piekielne sprzeżenie, że wpadam w panikę. Boję się, że to ich pierwszy numer. Ale Akustycznie Zdechła Małpa nie jest już tym, czym była kiedyś. Mówiąc szczerze, zmieniła nawet nazwę.

– Nie jesteśmy już Akustycznie Zdechłą Małpą – oznajmia Barry, dorywając się do mikrofonu. – Myślmy o nazwie Futuryści, ale to jeszcze nic pewnego. Dziś wieczór jesteśmy BACK-BEAT! Raz, dwa, trzy... WELL SHAKE IT UP BABY... – I wyobraźcie sobie, że Barry i zespół zaczynają grać „Twist and Shout”. Nuta w nutę, bez futurystycznych odjazdów! Wszyscy szaleją.

Okazuje się, że Barry umie śpiewać.

Potem grają „Route 66”, „Long Tali Sally”, „Money” i „Do You Love Me?”, a na bis „In The Midnight Hour” i „La Bambę”. Każda piosenka jest – mówiąc krótko – prościutka i łatwo rozpoznawalna i daje stuprocentową gwarancję rozbawienia tłumu trzydziestolatków, dla których hip-hop jest czymś, czego obecnie uczą dzieci w szkole. Tłum rzeczywiście tak się rozbawił, że przesiaduje moją sekwencję piosenek, przygotowanych specjalnie z myślą o wprowadzeniu go w dobry nastrój po przerażającym i konfundującym występie Akustycznie Zdechłej Małpy – Co to było? – pytam Barry'ego, gdy ten pojawia się przy konsolecie, spocony, podpity i zadowolony z siebie.

– Nieźle, co nie?

– Lepiej niż myślałem.

– Laura powiedziała nam, że zagramy, jeśli nauczymy się kilku przyzwoitych piosenek. Spodobało nam się. Chłopaki nie chcą już być gwiazdami popu, myślą o graniu na srebrnych weselach...

– I co ty na to?

– Wiesz... w porządku. Zastanawiałem się nad kierunkami naszego rozwoju i... wiesz... wolę, żeby ludzie tańczyli „Long Tali Sally”, niż uciekali, zakrywając uszy...

– Podoba ci się w klubie?

– Jest okay... Może trochę za... populistycznie, jak na mój gust. – Barry nie żartuje.

Reszta wieczoru wygląda jak koniec filmu. Tańczy cała obsada: Dick z Anną (Dick stoi sztywno i przebiera nogami, Anna trzyma go za ręce i próbuje rozruszać), Marie z T-Bone'em (Marie jest pijana, T-Bone ogląda się przez ramię, zerkając na... Caroline! która musiała wpaść mu w oko), Laura z Liz (która – poruszona – rozprawia o czymś gniewnie).

Puszczam „Muszę wykreślić cię z mej pamięci” Solomona Burke’a i wszyscy kręcą się w kółko, z poczucia obowiązku, bo tylko najlepsi tancerze mogą sobie z tym poradzić, takich nie ma na sali, nie ma nawet przeciętnych. Laura – słysząc pierwsze takty – okręca się na pięcie i uśmiecha, i podnosi do góry kciuk, ja zaczynam układać w głowie taśmę, którą jej nagram, coś, na czym pełno będzie tego, co zna i czego chciałyby słuchać. Dzisiaj – chyba po raz pierwszy – wiem, jak to się robi.